

Bridget Asher

Pożyczona miłość

Asher Bridget

Pożyczona miłość

*Zgodziłabyś się udawać żonę byłego chłopaka?
Gwen się zgodziła, a jej mąż nawet ją do tego
zachęcił. Z wielką treścią wkroczyła na nową drogę
życia. Wkrótce dowiedziała się, czyją żonę tak
naprawdę udawała...*

CZESC 1

ROZDZIAŁ 1

Tamtego lata, gdy po raz pierwszy zostałam żoną na niby, nie byłam jeszcze do końca świadoma, że skomplikowane problemy często na początku przybierają maskę spraw prostych. To dlatego tak trudno ich uniknąć albo przynajmniej przygotować się na nie. Nauczona doświadczeniem z dzieciństwa powinnam była to wiedzieć, a jednak nie przewidziałam komplikacji związanych z pojawieniem się Elliota Hulla, być może dlatego, że nie chciałam o nich myśleć. Skończyło się na tym, że stałam na zaśnieżonej ulicy, patrząc jak dwóch dorosłych mężczyzn - mój mąż na niby i ten prawdziwy - bije się na trawniku przed domem wśród rozsypanych na śniegu kijów do golfa. W przyćmionym świetle lampy na ganku cała scena była zamazana, nie mogłam nawet odróżnić, który jest który. Moment ten miał się stać jedną z najbardziej wodewi- lowych, a zarazem przejmujących chwil w moim życiu, ostrym wirażem na długiej drodze pełnej łagodniejszych, pozornie prostszych zakrętów. Początek całej tej historii był dość zwyczajny. Stałam w kolejce w zatłoczonej lodziarni przy ladzie z matowego szkła - szumiał blender, wilgoć wlewała się przez drzwi dzwoniące

z każdym otwarciem. Był jeden z ostatnich dni upalnego lata. Pod sufitem szumiał klimatyzator. Zatrzymałam się na chwilę w strumieniu chłodu, powodując chwilowy zastój w kolejce. Peter pogrążony był w rozmowie z Garym, kolegą z pracy, również anestezjologiem - mężczyzną w pasiastej różowej koszulce polo otoczonym gromadką pulchnych dzieci, które trzymały w dłoniach różki z lodami owinięte w rozmiękle serwetki. Dzieci były na tyle małe, że nie robiło im różnicy zjadanie razem z lodami kawałków owych serwetek. Gary zaś był zbyt zajęty rozmową, by to zauważyć. Poklepywał Petera po plecach, śmiejąc się przy tym głośno. Ludzie często reagują na Petera w ten sposób. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że szczerze go lubią. Życzliwość, z jaką odnosi się do każdego, jest rozbijająca. Jego sposób bycia kojarzy się z kimś, kto należy do klubu, jakiego - nie wiem, ale Peter jest jakby jego zrelaksowanym prezesem i gdy się z nim rozmawia, człowiek czuje, że sam staje się członkiem tego klubu. Jednak w tamtej chwili skupiałam się na dzieciach Gary'ego - było mi ich szkoda - i postanowiłam, że kiedyś będę jedną z tych matek, które nie pozwalają, by ich dzieci zjadały kawałki rozmięklej serwetki. (Nie pamiętam, jaka była moja matka - zajęta, nadopiekuńcza, a może, co najbardziej prawdopodobne, jedno i drugie? Umarła, gdy miałam pięć lat. Na niektórych fotografiach patrzy na mnie czule, krojąc tort podczas przyjęcia urodzinowego w ogrodzie, z włosami rozwianymi na wietrze, ale na zdjęciach grupowych jest zawsze wpatrzona w bok, w dół lub w jakiś odległy punkt za fotografującym - niczym zapalona obserwatorka ptaków. Mój ojciec nigdy nie był dobrym źródłem informacji na jej temat. Mówienie o niej sprawiało mu ból, więc rzadko to robił).

Uważnie przyglądałam się scenie w lodziarni - zwłaszcza Peterowi, ponieważ zamiast oswajać się z faktem, że mam męża, po trzech latach małżeństwa byłam tym coraz bardziej

zdziwiona. A może bardziej dziwiło mnie to, że ja byłam jego żoną, że byłam czyjąkolwiek żoną. Słowo „żona” było takie... żonowate. Sprawiało, że ścisnął mi się żołądek - kojarzyło mi się z fartuchami, klopsami i środkami czyszczącymi. Wydawać by się mogło, że przez tyle czasu skojarzenia te powinny ewoluować - może nawet tak się działo w przypadku większości ludzi - ja niestety pozostałam w tej kwestii z tyłu niczym jakieś prehistoryczne stworzenie leżące na brzegu i rozpaczliwie usiłujące złapać powietrze w skrzela.

Chociaż Peter i ja byliśmy razem już ponad pięć lat, czasami zdawało mi się, że w ogóle go nie znam. Na przykład wtedy, gdy facet w różowym pasiastym polo szturchał go i poklepywał po plecach, czułam się, jakbym napotkała jakiś rzadki gatunek zwany „mężem” w jego naturalnym otoczeniu i zastanawiała się, czym się żywi, jakie odgłosy wydaje, jaką ma rozpiętość skrzydeł, zwyczaje godowe, przeciętną długość życia? Trudno to wyjaśnić, ale ostatnio coraz częściej zdarzało mi się patrzeć w ten sposób na życie - jakbym była reporterką „National Geographic” mówiącą z brytyjskim akcentem i postrzegającą swoje życie jako nie tyle podniecające, co interesujące.

W lodziarni panował tłok i dwie nastoletnie sprzedawczynie były wyraźnie zestresowane. Miały spocone, napięte twarze, grzywki przyklejone do czoła i identyczne rozmazane makijaże. W końcu dotarłam do półokrągłej lady i złożyłam zamówienie. Po chwili trzymałam w ręku lody pistacjowe dla Petera i czekałam już tylko na swoją porcję mrożonego jogurtu waniliowego.

To właśnie wtedy bardziej oblegana przez kupujących dziewczyna skończyła obsługiwać poprzedniego klienta i krzyknęła do następnej osoby:

- Co dla pana?
- Dwie gałki Gwen Merchant poproszę - odpowiedział mężczyzna stojący za mną.

Obróciłam się pewna, że się przesłyszałam, bo przecież to ja jestem Gwen Merchant - a w każdym razie tak się nazywałam, zanim wyszłam za męża. W kolejce tuż za mną stał duch z mojej przeszłości - Elliot Hull. Jego widok zaparł mi dech w piersiach - Elliot Hull, ze swymi gęstymi ciemnymi włosami i pięknymi brwiami, stojący z rękami w kieszeniach, delikatny i chłopiący. Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się, jakbym cały czas czekała na niego, sama o tym nie wiedząc, i nie tyle ucieszyłam się, co poczułam ulgę, że znów pojawił się w moim życiu. Jakaś dziwna, ale ważna część mnie zapragnęła rzucić mu się na szyję jak wybawcy i krzyknąć: „Dzięki Bogu, jesteś wreszcie! Czemu tak długo? Chodźmy już stąd”.

Nie, to chyba niemożliwe, żebym tak myślała. Nie wtedy.

Najprawdopodobniej przenoszę swoje obecne uczucia na przeszłą sytuację - musi być na to jakiś naukowy termin. Nie mogłam oczekiwać, że Elliot Hull przybył, by mnie uratować, ponieważ nie wiedziałam nawet, że potrzebuję pomocy. Teraz przychodzi mi do głowy, że Elliot reprezentował utraconą część mnie. Na jakimś poziomie świadomości musiałam zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę nie tylko za nim tęskniłam. Tęskniłam za osobą, którą byłam, gdy go znałam, za tamtą Gwen Merchant - beztroską, lekko zwariowaną, zdecydowanie „nieżonowatą”. Dwie gałki tamtej Gwen poproszę.

A poza tym, czy naprawdę tak dobrze znałam Elliota? Spotkaliśmy się na imprezie integracyjnej dla studentów pierwszego roku Loyola College w Baltimore. Dwa lata później, na wiosnę, przeżyliśmy intensywny, chaotyczny, krótki romans -byliśmy nierozłączni trzy tygodnie, po czym związek skończył się tym, że dałam mu w twarz w jakimś barze. Ostatni raz zaś widziałam go podczas przyjęcia z ciastkami i pon-czem po ceremonii rozdania dyplomów na wydziale anglistyki przed dziesięcioma laty.

Mimo czasu, który dzielił nas od tamtych zdarzeń, poczułam wzruszenie, oczy zaszyły mi łzami. Podmuch powietrza

muskał moje włosy, więc odsunęłam się spod klimatyzatora i postanowiłam udawać niepewną, czy to naprawdę on.

- Elliot Hull? - zapytałam. Zachowałam się tak chyba dlatego, że przeraziła mnie fala radości, która wezbrała mi w piersi. Poza tym pamiętałam nasz związek na tyle dobrze, że nie chciałam dać mu satysfakcji. Triumfowałby, gdybym dała po sobie poznać, jak się poczułam.

Niewiele się postarzał. Jego szczupła sylwetka wskazywała, że należy do mężczyzn, którzy mają szansę dobrze się zestarzeć (to ten typ, który po siedemdziesiątce określa się mianem „dziarskiego”). Miał na sobie bladobłękitny, lekko wystrzępiony pod szyją T-shirt, czerwoną bejsbolówkę z logo drużyny Red Sox i nieco zbyt obszerne szorty.

- Gwen - odezwał się, a w jego głosie brzmiał smutek. - Długo się nie widzieliśmy.

- Co ty tutaj robisz? - zapytałam. To tylko Elliot Hull, pomyślałam. Nie pamiętałam, dlaczego wtedy dałam mu w twarz, wiedziałam jednak, że zasłużył sobie na to. Zdarzyło się to w barze w Townsen, zaledwie kilka kilometrów od lodziarni, w której właśnie się znajdowaliśmy.

- To zabrzmiało jak oskarżenie - odrzekł. - Jestem niewinny. Przyszedłem na lody.

- Eee, proszę pana? Naprawdę nie mamy takiego smaku - odezwała się dziewczyna zza lady. - Wybierze pan coś wreszcie? - Dzisiejsza młodzież bywa naprawdę bardzo bezpośrednia.

- Podwójne czekoladowe z piankami, fistaszkami, gorącym sosem toffi i karmelem. - Nachylił się w stronę tablicy na ścianie i zmrużył oczy. - Do tego bita śmietana i trzy wisienki.

- Trzy? - powtórzyła dziewczyna oburzona nieuzasadnionymi wymaganiami rodzaju ludzkiego, z którymi zapewne często się spotykała w swej pracy.

- Trzy. - Elliot odwrócił się do mnie.

- Naprawdę trzy? - zapytałam.

- Lubię wisienki - odparł.
- Zostałeś raperem? - spytałam, wskazując na jego obszerne szorty. Był to prymitywny komentarz. Kiedyś nie potrafiłam inaczej flirtować, z czasem się wyrobiłam, ale w obecności Elliota jakbym cofnęła się w rozwoju, a może powróciłam do jakiejś bardziej pierwotnej części siebie?
- Potrafię zarymować - odrzekł. - Chcesz posłuchać?
- Nie, nie - wycofałam się, bo wiedziałam, że jest do tego zdolny. - Proszę, nie.

Zapadła cisza, pozwoliłam, żeby trwała. Dlaczego miałabym dalej z nim rozmawiać? Byłam już przecież mężatką. Czy chciałam, byśmy zostali przyjaciółmi? Mężatki nie zaprzyjaźniają się nagle z mężczyznami, z którymi zerwały wiele lat wcześniej, policzkując ich w barze. Ale Elliot ciągnął rozmowę.

- Właściwie to jestem filozofem - powiedział. - Filozofuję. Jestem również nauczycielem, zdarza mi się więc i nauczać.
- To by się zgadzało - stwierdziłam. - Moje koleżanki na studiach nazywały cię myślicielem. A teraz stałeś się myślicielem zawodowym. Filozofowie chyba dużo rozmyślają? - Mój ojciec był profesorem, biologiem morskim. Gdy byłam dzieckiem nieraz ciągnano mnie na wydziałowe kolacje, gdzie powietrze było aż sztywne od rozmyślań.
- Naprawdę tak dużo rozmyślałem?
- Pod koniec studiów stałeś się w tym mistrzem.
- Jednak wbrew moim nadziejom rozmyślanie nie stało się narodowym trendem.
- Zadowolenie z siebie jest chyba bardziej na czasie - odparłam. - Ślepe zadowolenie.
- No cóż, zbliża się jednak Doroczny Zjazd Myślicieli, będę głównym mówcą, więc... Co porabiasz, Gwen?
- Ja? Od niedawna mam nowe zajęcie. Marketing. Trochę projektowanie wewnątrz. Mieszmasz - odpowiedziałam. Często

zmieniałam zajęcia i nie był to dla mnie powód do dumy. Moje CV było jak sito. Właśnie zrezygnowałam z pracy w dziale rekrutacji pewnej szkoły z internatem. Twierdziłam wprawdzie, że mam dosyć elitaryzmu, ale już wkrótce podjęłam kolejną mało ambitną pracę na niepełny etat, gdzie stykałam się z bogatymi ludźmi: zostałam asystentką projektantki wnętrz, której specjalnością było przygotowywanie ekskluzywnych domów do sprzedaży. Ja zajmowałam się rozmowami z potencjalnymi klientami o przyziemnych szczegółach i przekonywaniem ich, za pomocą rozmaitych wykresów i tabel, jak wiele mogą zyskać, oddając nieruchomość przed sprzedażą w ręce mojej pracodawczyni, podczas gdy ona, eteryczna, wątła kobieta w rozwianej garderobie, biegła po całym domu, udając artystyczne natchnienie. Miała na imię Eila, ale po kilku dniach wyznała mi, że tak naprawdę nazywa się Sheila. „Kto jednak zaufa artystce o tak pospolitym imieniu? Nie miałam wyjścia”. Następnie, wachając własną apaszkę, dodała: „Czy mi się zdaje, czy ten ostatni dom czuć było dobermanem?”.

- Projektowanie wnętrz? - powtórzył Elliot zaintrygowany. - Nie pamiętam, żebyś pokój w akademiku urządziła zgodnie z zasadami *feng shui*. Nie wisiał przypadkiem w twojej malutkiej kuchence hamak?

- Cóż, widocznie zawsze miałam do tego dryg.

Z oddali dobiegł mnie głos jednej ze sprzedawczyń:

- Proszę pani! Proszę pani! - Oczywiście nie wzięłam tego do siebie, bo wciąż czuję się za młoda, by tak się do mnie zwracano. Ale Elliot powiedział:

- Hm, proszę pani? - i wskazał na dziewczynę za ladą. - Twoje lody.

- Proszę - dziewczyna wręczyła mi porcję mrożonego jogurtu waniliowego.

- Dziękuję - odrzekłam. - Bardzo. - Przesunęłam się w stronę kasy, zamierzając wyjść chyłkiem, gdy tylko zapła-

cę. - Miło było cię zobaczyć, Elliot - powiedziałam tonem, którego używam, gdy chcę zakończyć rozmowę.

- Poczekaj - zatrzymał mnie. - Spotkajmy się. Właśnie się tu przeprowadziłem. Mogłabyś pokazać mi miasto.

- Poradzisz sobie - odrzekłam, wręczając kasjerce banknot. - Mądry z ciebie chłopiec.

W tym momencie Elliot uśmiechnął się do mnie tym swoim bystrym uśmiechem, który był zawsze nieodłączną częścią jego osobowości, jakby się z nim urodził.

- Co powiesz na dzisiejszy wieczór? - zapytał, przepychając się przez tłum; już po chwili staliśmy obok siebie. - Może zaproszę cię na kolację, a potem ty weźmiesz mnie na wycieczkę po mieście?

- Mam plany na dziś wieczór - odrzekłam. - Przykro mi.

- Jakie plany? Zawahałam się.

- Wybieram się na imprezę.,

- Możesz mnie ze sobą wziąć. Przedstawić swoim znajomym. Zrobisz dobry uczynek, a potem niech oni już się ze mną męczą. Zawsze byłaś typem osoby, która robi dobre uczynki. Nie sprzedawałaś kiedyś przypadkiem ciastek na cele charytatywne? Pamiętam, że kupowałem je od ciebie, a ty machałaś mi przed nosem jakimś plakatem.

Na jego twarzy malowała się nadzieja. Przestraszyłam się, że zaraz zaprosi mnie na randkę.

- Ale ja mam męża - wyznałam w końcu. Roześmiał się.

- Zabawne.

- Co w tym zabawnego?

- Nie, nic... tylko...

- Tylko co? Zdaje ci się, że nie mogę mieć męża?

- Ty go po prostu nie masz.

- Owszem, mam.

- Nie masz.

- Nazywam się teraz Gwen Stevens. - Na dowód pokazałam mu obrączkę. Elliot był w szoku.

- Naprawdę... jesteś mężatką?

- To zabrzmiało jak oskarżenie - odparłam. - Jestem niewinna. Jestem niewinną żoną.

- Po prostu nie sądziłem, że ludzie jeszcze się pobierają. Małżeństwo to taka barbarzyńska instytucja. Podobnie jak myślistwo.

- Widzisz, Elliot, to właśnie tego typu obraźliwe uwagi sprawiają, że ludzie dają ci w twarz - odpowiedziałam.

Elliot uniósł brwi i lekko odrzucił głowę do tyłu.

- Tak naprawdę nie uderzyłaś mnie - powiedział. - Po prostu złapałaś mnie za twarz. Bardzo mocno. Ale to i tak niewiele dało. - Rozłożył ręce, jakby był dowodem nieskuteczności łapania za twarz.

- A ty nie byłeś przypadkiem zaręczony z tamtą dziewczyną, Ellen jakąś tam? - spytałam. Nazywała się Ellen Maddox. Wciąż miałam przed oczami jej twarz. - Myślałam, że po naszym rozstaniu znów się zeszlście...

- Zostawiła mnie zaraz po skończeniu college'u dla jakiegoś stewarda, nie stewardesy. - Jego ton świadczył, że wolałby to drugie. - W każdym razie nie odwołuję swoich słów, które sprawiły, że złapałaś mnie za twarz. Nie odwołuję ich, ponieważ powiedziałem prawdę.

Musiałam spojrzeć na niego pytająco. Nie pamiętałam, co dokładnie wtedy powiedział, ale nie miałam już czasu, by o to spytać. Jedna z dziewcząt zza lady wręczyła Elliotowi jego gargantuiczną porcję lodów. Elliot zaczął grzebać w portfelu i w tym momencie pojawił się przy nas Peter.

- Dzień dobry! - powiedział, patrząc na Elliota uprzejmie. Peter potrafi zaprezentować nienaganne maniery niczym uczeń prywatnej szkoły z internatem w latach pięćdziesiątych, który rekompensuje sobie brak miłości rodzicielskiej,

trzymając emocje na wodzy. Jego układność była jednak pozą. Peter został wychowany na człowieka pewnego siebie w każdej dziedzinie, być może przede wszystkim w miłości. Wręczyłam mu jego lody.

- Poznajcie się, to jest Elliot Hull. Kiedyś, jeszcze w college[^], kupił ode mnie ciastko, by pomóc w zbiórce pieniędzy na wydry morskie.

- Nieszczęsne wydry morskie! - Peter wyciągnął rękę. -Cześć, jestem Peter.

Elliot uściśnął podaną mu dłoń i rzucił mi spojrzenie mówiące: „Tylko na niego spójrz! Ty naprawdę masz męża! W dodatku wysokiego!”, po czym powiedział:

- Gwen zaprosiła mnie na dzisiejszą prywatkę. Jestem nowy w mieście.

- Świetny pomysł! - rzekł Peter i zanim zdołałam wyjaśnić sytuację, tłumaczył już Elliotowi, jak trafić na miejsce. Nadal byłam przytłoczona tym, że Elliot Hull znów pojawił się w moim życiu i stało się to tak nagle. Bo widzicie, to była naprawdę prosta sprawa. O to chodzi. Nie ja zaczęłam. Stałam w kolejce po lody, a już po chwili patrzyłam, jak Peter wykonuje rękami gesty, które najprawdopodobniej oznaczały, że Elliot powinien skrócić na rondzie, a następnie wskazuje w lewo, ramieniem ustawionym prostopadle do tułowia, przez co znów przyszedł mi na myśl zwrot „rozpiętość skrzydeł”. Peter jest wysoki i ma wspaniałą rozpiętość skrzydeł.

Obok niego stał Elliot Hull - nie był wysoki, nie miał też nienaganych manier i w dodatku ledwie słuchał słów Petera. Był tym samym co zawsze Elliotem Hullem, bez wątpienia pogrążonym w rozmyślaniach.

Dziesięć lat wcześniej myśleliśmy chyba, że się kochamy.

Peter skończył tłumaczyć.

- Zapamiętasz? - upewnił się.

- Zapamiętam - odpowiedział Elliot i spojrzał na mnie.

Miałam właśnie pożegnać się niezobowiązująco, ale on powiedział:

- Gwen Merchant. Po tylu latach. - Nagle poczułam się jak rzadki okaz ptaka. Byłam nieco speszona. Może nawet pierwszy raz od dawna zaczerwieniłam się.

- Do zobaczenia wieczorem! - powiedział Elliot, polizał swoją nieprzyzwoitą porcję lodów i wyszedł, jedną rękę trzymając w kieszeni obszernych szortów.

ROZDZIAŁ 2

Istnieje pewna teoria, która wyjaśnia, dlaczego ludzie nie pamiętają własnego niemowlęctwa oraz wczesnego dzieciństwa. Według niej pamięć nie istnieje, jeśli nie ma się do czego odwołać. Pamiętamy coś, ponieważ łączy się to w naszej głowie z wcześniejszym doświadczeniem. Wspomnienia kształtują się, ponieważ życie ma konstrukcję warstwową. W tym ujęciu pamięć nie jest warstwą ułożoną na warstwie doświadczenia niczym lodowa czapa na szczycie góry, lecz raczej formuje się pod nią jak podziemna rzeka.

Tak samo wygląda mój związek z Elliotem Hullem. Aby w pełni zrozumieć falę radości, która zalała mnie, gdy zobaczyłam go w lodziarni, a także wszystko, co wydarzyło się potem, potrzebny jest mi Peter. Elliot nie może w pełni istnieć bez Petera. Peter zaś nie zaistniałby w moim życiu, gdyby nie mój ojciec - człowiek ukształtowany i zdefiniowany przez poczucie straty, którego przyczyną była przedwczesna śmierć mojej matki.

Pozwólcie zatem, że przedstawię tę historię warstwa po warstwie. Petera poznałam w poczekalni kliniki dla zwierząt. Przywiózł tam starego cocker-spaniela swej matki, który miał pro-

bierny z trzymaniem moczu, ja zaś, umazana krwią, czytałam książkę o ludzkim mózgu. Tego ranka obcy pies wybiegił mi prosto pod koła. Jechałam właśnie na zajęcia z psychologii, choć oficjalnie nie byłam studentką. Miałam dwadzieścia pięć lat i właśnie rzuciłam posadę w marketingu, która wypalała mnie wewnątrz. Z radością powróciłam do pracy kelnerki. Zastanawiałam się nad studiami uzupełniającymi z psychologii i w ogóle próbowałam różnych rzeczy, które ominęły mnie jako studentkę anglistyki.

W owym czasie byłam zachwycona psychoterapią - głównie dlatego, że od niedawna zaczęłam chodzić do terapeutki, uroczej starszej pani w okularach o grubych szklach, które tak powiększały jej oczy, że zdawała się bez przerwy bacznie mi przyglądać. Nie przywykłam do tego rodzaju uwagi i choć z jednej strony mnie peszyła, to jednocześnie jej potrzebowałam. Terapeutka słuchała opowieści o moim dzieciństwie przez godzinę tygodniowo. Tak naprawdę pozwalała mi po prostu pograżać się w marzeniach o matce i o tym, jak wyglądałoby moje dzieciństwo, gdyby żyła. Analizowałyśmy te fantazje z nadzieją na... jakąś elementarną prawdę? Tylko co to było? Moja matka zginęła w wypadku samochodowym, gdy miałam pięć lat. Miało to coś wspólnego z mostem i wodą - zwykły wypadek, który wpłynął na moje życie w niezwykle skomplikowany sposób. Zmienił mojego ojca w ostrożnego wdowca w cichobiegach i warkoczowych swetrach, który poświęcił życie badaniu odgłosów ryb, człowieka, który większość czasu spędzał pod wodą. Czułam się, jakby oboje moi rodzice utonęli - jedno dosłownie, drugie w przenośni.

Nigdy nie powiedziałam mojej terapeutce jednego: że w momencie wypadku byłam z matką w samochodzie. Ta pilnie strzeżona rodzinna tajemnica wysnęła się kiedyś mojej leciwej cioci, gdy szczotkowała mi włosy w czasie wizyty, jaką jej złożyliśmy w domu starców podczas wycieczki na Cape Cod. Gdy wyszliśmy od niej i wsiedliśmy do samochodu, ojciec powiedział

nu, że ciocia Irenę odpływa. „Wszystko jej się miesza” - stwierdził. Wydaje mi się, że gdyby moja terapeutka zwracała choć trochę uwagi na to, co do niej mówię, domyśliłaby się prawdy. Tak naprawdę najważniejsze było to, że pozwalała mi mówić, o czym mi się żywnie podobało. Słuchała. Czego więcej chcieć? Ja sama mogłabym chyba pomagać ludziom w ten sposób.

Tamtego ranka mknęłam przez opary gęstej mgły starym volvo należącym kiedyś do ojca, słuchając jednocześnie kaset, których nie puszczałam mniej więcej od czasów liceum - tego ranka akurat byli to The Smiths. Auto miało uszkodzoną rurę wydechową i wewnątrz wypełniał spalinowy zaduch. Mgła, The Smiths i spaliny nadawały porankowi surrealistyczną, senną atmosferę.

To był żółty labrador, budową przypominał trochę nauczyciela WF-u - krępy, ale muskularny. Pojawił się znikąd. Zahamowałam ostro, ale uderzyłam w tylną część jego tułowia. Pies odbił się od samochodu i pokoziołkował z boczem schodzącym w stronę rzeki.

Zostawiłam samochód na pustej drodze i zgramoliłam się na dół. W pobliżu nie było nikogo. Pamiętam szkliste oczy psa i klatkę piersiową, która poruszała się gwałtownie. Na szyi miał wytartą czerwoną obrożę ze srebrnymi identyfikatorami. Właściwie nie lubiłam psów. Dorastając, nigdy nie miałam zwierzęcia - chociaż jako samotne dziecko powinnam mieć. Może byłoby mi łatwiej. Ale idea psa w domu - świadomość, że jakiś zwierz mógłby w każdym momencie przeczła-pać przez salon - zawsze wydawała mi się dziwna.

Bałam się, że mnie ugryzie, przedstawiłam się więc i pogłaskałam go po szyi. Potem wsunęłam rękę pod futrzasty ciężar. Był cięższy, niż się spodziewałam. Uniosłam go. Identyfikatory przy obroży zadźwięczały jak dzwonki, a ja na chwiejnych nogach zaczęłam się wspinać po zboczu. Położyłam zwierzątko na tylnym siedzeniu, przykryłam go kocem i zawróciłam samochód.

W głębi duszy, choć sama spowodowałam wypadek, byłam podekscytowana, gdyż zawsze pragnęłam udzielić pomocy w trudnej sytuacji, być świadkiem, dzięki któremu ofiara przeżyje. Zawsze się zastanawiałam, czy był ktoś, kto widział samochód mojej matki ześlizgujący się z mostu do jeziora. Może ktoś wracał wtedy akurat do domu z prywatki u znajomych albo z nocnej zmiany? No i oczywiście podstawowe pytanie: czemu matka o tak późnej porze jechała ze mną samochodem?

Recepcjonistka w klinice zadzwoniła pod numer podany na identyfikatorze i zostawiła wiadomość. Pies nazywał się Ripken, jak gwiazda drużyny Baltimore Orioles. Wyobraziłam sobie właścicieli Ripkena - dwoje fanów baseballu, którzy wejdą w pewnym momencie do poczekalni w identycznych czapczkach z daszkiem i z gwizdkami na szyjach. I tak byłam już spóźniona na zajęcia, postanowiłam więc zostać z psem i przekonać się, czy przeżyje operację. Chyba już wtedy pokochałam Ripkena. Gdy kładłam go na tylnym siedzeniu, spojrzał na mnie, jakby rozumiał, że ratuję mu życie.

Operacja trwała długo. Próbowałam zająć myśli lekturą obowiązkową. Zatopiona w opisach impulsów elektrycznych w synapsach ludzkiego mózgu nie zauważyłam wejścia Petera, gdy więc podniosłam wzrok, nagle go zobaczyłam - wysokiego mężczyznę w świeżo wyprasowanej koszuli i spodniach z kantem, z wyleniałym pieskiem na kolanach. Przyłapałam go na tym, że mi się przygląda, więc szybko odwrócił wzrok. W poczekalni byliśmy tylko my, nie licząc akwarium i dużej klatki z czwórką kociaków. Spojrzałam w stronę biurka recepcjonistki, mając nadzieję, że ściągnę jej uwagę i czegoś się dowiem. Akurat rozmawiała przez telefon.

Wtedy Peter zapytał:

- Mogę pani w czymś pomóc? Wszystko w porządku?
- Słucham?
- Nie chciałbym być wścibski ani nic z tych rzeczy. Po prostu widać, że sporo pani dziś przeszła.

Po raz pierwszy zastanowiłam się nad tym, jak muszę wyglądać: z włosami potarganymi na wietrze, ubraniem w nieładzie, umazana krwią.

- Rzeczywiście, to był dziwny dzień.

- Czy to pani zwierzątko jest właśnie operowane?

- To pies, ale nie jest mój - odparłam. - Ach.

- Potrąciłam go. Czekam, aż zjawią się właściciele. Właściwie to ja tu jestem czarnym charakterem.

- Ale przywiozła go pani... to szlachetne. I została pani z nim. - Na dźwięk tych słów pomyślałam, że to on jest szlachetny. Uśmiechnął się, pokazując dołeczki, i był to cudowny uśmiech.

- Przynajmniej będę miała o czym opowiedzieć psychoterapeutce - rzuciłam. Wiedziałam już wtedy, że pies będzie w jakiś sposób symbolizował moją zmarłą matkę, i że wywoła to długą dyskusję.

- Zawsze szuka pani nowych tematów dla psychoterapeut-ki? - zapytał.

- Staram się dostarczać jej rozrywki. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Ja wolę dusić w sobie problemy - zauważył żartobliwie. - Hodując w ten sposób wrzody żołądka.

- To bardzo w stylu Hemingwaya.

- Jak polowanie na grubego zwierza.

- Jak gonitwy byków w Pampelunie.

W tym momencie odezwała się recepcjonistka:

- Lillipoo Stevens? Peter spojrzał na nią.

- To my! - zawołał i odwrócił się do mnie. - To pies mojej matki - wyjaśnił zażenowany.

- Oczywiście - powiedziałam. Wtedy Peter zaprosił mnie na drinka.

- Ach, więc będziemy razem hodować nasze wrzody? - zapytałam. - Nie powinien pan umawiać się z zakrwawiony-

mi kobietami. W zależności od tego, jak potoczą się sprawy, mogę okazać się morderczynią...

- Cóż, nigdy wcześniej nie byłem na randce z morderczynią...

Wydało mi się to staroświeckie. Nazywanie randki randką.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że przyjdzie pan z Lillipoo.

Dałam mu swój numer telefonu. Aby go zapisać, musiałam wygrzebać z torebki długopis i paragon na coś innego niż lekarstwo na zgagę czy tampony - taki upokarzający mały rytuał. A potem Peter szczerym tonem powiedział:

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

- Dzięki - odpowiedziałam.

I wyszedł z Lillipoo za pazuchą, a jej kołyszący się ogon wystawał mu spod pachy.

Peter i ja spotykaliśmy się przez rok, zanim postanowiliśmy razem zamieszkać - we trójkę, on, ja i pies. Operacja Rip-kena była kosztowna. Właściciele, których nigdy nie poznałam, ale którzy wciąż tkwią w mojej głowie wraz ze swymi lśniącymi gwizdkami, odziedziczyli psa po leciwej ciotce po tym, jak przeniosła się do domu starców. Pozwalali mu włóczyć się po okolicy, gdyż cierpiał na wzdęcia. Odmówili sfinansowania operacji i tak naprawdę w ogóle nie chcieli go z powrotem. Przejęłam więc Ripkena, mojego własnego wuefistę z problemami gastrycznymi, mojego pierwszego psa - bez jednej nogi.

Minął następny rok. Peter i ja zaręczyliśmy się, wkrótce wzięliśmy ślub.

Wszystko było idealnie wydzielone jak z dozownika karmy dla kota.

Peter nie wodził za mną kochającym wzrokiem, rzucał mi tylko krótkie, pełne miłości spojrzenia. Nasz związek cechowała leniwa satysfakcja, na którą mogliśmy sobie pozwolić dzięki zniewalającej pewności siebie Petera. Wychowało go dwoje wyjątkowo pewnych siebie ludzi. Są osoby, którym rzadko przydarza się coś złego, choć czasem dopada ich statystyczne prawdopodobieństwo - trudno

przeżyć życie, ani razu nie doświadczając tragedii. A jednak rodzice Petera jej uniknęli - nieszczęścia nie miały się Gail i Hala Stevensów. Udało im się znaleźć furtkę. Ich rodzice umarli, lecz nie gwałtownie - dzieci miały przed ich śmiercią wystarczająco dużo czasu, by się pożegnać, lecz za mało, by cierpieć. Nieszczęścia spadały na bliźnich, nigdy na nich. Oboje chodzili do kościoła i chociaż nie byli głęboko religijni, doszli do wniosku, że Bóg ma dla nich specjalne względy, co okazuje, chroniąc ich od upośledzeń, wypadków samochodowych, raka, samobójstw czy uzależnień. Uznali, że nie tyle mają szczęście, ile zasługują na nie, i to przekonanie przekazali Peterowi. A ja byłam zachwycona, że poprzez małżeństwo furtka do szczęśliwego życia otworzyła się i przede mną. Uwielbiałam tę poduszkę powietrzną zadowolenia, która zapewniała ochronę przed wstrząsami. Życie z Peterem było bezpieczne jak nowiutkie volvo.

Czasy wspólnych randek i pierwszy rok po ślubie wspominam wspaniale. Jedliśmy bajgle i piliśmy luksusową kawę sprowadzaną z Seattle. Znow znalazłam pracę w marketingu, musiałam przecież w końcu dorosnąć. Po co komu dyplom z psychologii, gadanie nikomu jeszcze nie pomogło. Peter za to pomógł mi - on i jego furtka. Moja wielkooka terapeutka przeszła na emeryturę, a ja nikogo nie znalazłam na jej miejsce. Z ulgą wyswobodziłam się spod jej spojrzenia - gdy ma się przed sobą otwartą furtkę, terapia przestaje być potrzebna. Poza tym Peter był anestezjologiem. Nauczyłam się więc łykać małą tabletkę szczęścia, a resztę smutku stłumiła konsumpcja. Eleganckie kafelki - trawertyn i marmur - sofy i stoliki, komódki i ekspresy do kawy. Naszym nałogiem były komplety kieliszków. Nauczyłam się przygotowywać desery bananowo-lodowe i gdy przychodzili goście, podpalałam je -płoneły pięknym błękitnym płomieniem.

Czy w tamtych czasach myślałam kiedykolwiek o Elliocie Hullu, o tym, jak na mnie patrzył w jarzeniowym świetle bi-

blioteki, wsparty na łokciu na trawniku przed uczelnią, nawet w stłumionym świetle tamtego obskurnego baru? Owszem, myślałam. Oddawałam się wspomnieniom, kiedy w radio usłyszałam szczególną piosenkę albo gdy myśli zaczynały dryfować w stronę mej nieuporządkowanej przeszłości. Elliot nie był jakimś nieuchwytnym wspomnieniem, zamazaną twarzą. Był konkretną postacią - taką, na której można polegać. Pamiętałam, że nie zerkał na mnie jak Peter ani nawet nie wpatrywał się jak powiększone oko terapeutki. Nie. On patrzył na mnie całym sobą. Patrzył nie tyle na mnie, ile we mnie. Był zbyt intensywny, na granicy dobrego smaku. Nie potrafiłby zrozumieć, jak podzielić miłość i dawkować ją we właściwych porcjach. Uczucie, jakie mi ofiarował, było zbyt mocne, zbyt mocne, zbyt mocne...

ROZDZIAŁ 3

Tego wieczoru malowałam rzęsy w łazience ubrana jedynie w lawendową bieliznę, która sprawiała, że moja skóra wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle. Źle reaguję na słońce. Po dniu spędzonym na plaży wyglądam jakby mnie ugotowano, po czym wyskakują mi na skórze plamki jak u pstrąga. Wolę już być blada. Silne światło w łazience tylko pogarszało sprawę. Mieszkaliśmy z Peterem w Canton, dzielnicy japiszo-nów w południowo-wschodnim Baltimore, w starej kamienicy zamienionej w ekskluzywny apartamentowiec. Mimo założeń projektantów unowocześnienie budynku zepsuło staroświecki urok kryjący się w drewnianych podłogach i ciężkich drzwiach. Oświetlenie było zbyt jaskrawe. Tęskniłam za przytłumioną poświatą niskowatowych żarówek. Ripken leżał na dywaniku przy wannie. Zawsze wyczuwał mój niepokój i trzymał się wtedy blisko. Popatrzyłam na niego, a on na mnie. Potem przekrzywił głowę i pomachał kikutem, usiłując podrapać się za uchem swą kończyną widmem. Schyliłam się i zrobiłam to za niego. Byłam zdenerwowana ponownym spotkaniem z Elliotem. Czy w obecności Petera będę z nim prymitywnie flirtować? Czy znowu stanę się daw-

22

na Gwen, a moje obecne ja zacznie się odwijać jak bandaże mumii, by w końcu spocząć na podłodze w poplątanych zwojach? Nie chciałam być na każde zawołanie Elliota Hulla ani uwikłać się w jakąś ryzykowną wymianę zdań. Czy Peter będzie potrafił mnie w porę uratować?

- Musimy wymyślić hasło! - zawołałam.

- Jakie hasło? - Peter przebierał się w sypialni. Usłyszałam brzęk klamry jego paska.

- Coś w stylu: „Nie mówmy obcemu facetowi o imprezie”.

- Nie jest obcy. Zdaje się, że przyjaźniliście się w college'u.

- Niezupełnie. - Chodziło mi o to, że byliśmy czymś mniej, a jednocześnie czymś więcej niż przyjaciółmi. Powinna być na to jakaś nazwa.

- W każdym razie to nie moja wina, Gwen - westchnął głośno Peter. Wystawiłam głowę przez drzwi.

- Dzięki ci, Święty Piotrze od Rozpaczliwych Westchnień. -Peter, ze swymi nienagannymi manierami, lepiej niż ktokolwiek inny umiał okazywać rozczarowanie za pomocą ciężkich westchnień. Były one skomplikowane i rozbudowane, wręcz ekstrawaganckie. Wyrażały całe akapity tego, jak potrafiłam być męcząca. Peter potrafił westchnieniami opowiedzieć historię naszego związku od początku aż do chwili, gdy stałam się tak potwornym utrapieniem. Umiał westchnąć trzyczęściową harmonię lub całą włoską operę. Czasem nazywałam go Wielkim Tenorem Westchnień albo po prostu Pavarottim.

- No dobra. W każdym razie to ty go zaprosiłaś.

Moja twarz w lustrze była niewyraźna. Położyłam zbyt dużo podkładu. Zdarza mi się to czasem. To część instynktownej potrzeby zniknięcia, która uaktywnia się, gdy odczuwam szczególny niepokój. A ponieważ jestem z natury nerwowa, często miewam niewyraźną twarz.

- Właśnie że go nie zaprosiłam. Kłamał.

- To dlaczego nie powiedziałaś po prostu: „Słuchaj, nie chcę żebyś przychodził”.

Nie powiedziałam tego, ponieważ równie mocno chciałam, by Elliot przyszedł na imprezę, jak pragnęłam, by się nie zjawiał. Bałam się tego uczucia przytłoczenia, które poczułam w lodziarni. Pomyślałam o Elliocie Hullu w luźnych szortach rapera, bejsbolówce, z tym uporczywie bystrym uśmiechem. Wyobraziłam go sobie, jak stoi w sali wykładowej jakiegoś podrzędnego college'u, zjadając fantastycznie wariacką porcję lodów i mamrocząc coś o Heideggerze, z jedną ręką w kieszeni.

- Na pewno jest człowiekiem na poziomie. Żli ludzie chyba nie mogą zajmować się filozofią?

- Żli ludzie mogą zajmować się czymkolwiek - odpowiedział Peter. Mało kto wiedział o tym, że Peter wierzył, iż ludzie są z natury źli i muszą walczyć, by to zło w sobie pokonać. Zawsze ukrywał przed innymi cyniczną stronę swego charakteru, dlatego wiedziałam, że jego ostatnia uwaga była bardzo osobista.

- Pewnie masz rację - odparłam.

- Po prostu staraj się go unikać.

Ripken puścił bąka, odwrócił się i kłapnął paszczą. Ciężko pracowałam, by za pomocą diety zaradzić jego wzdęciom, raz na jakiś czas zdarzało się jednak, że dopadał śmietnika albo kradł mi z torebki batonik czekoladowy i problem powracał.

Rzuciłam mu posępne spojrzenie i wyszłam z łazienki. Peter miał na sobie koszulę z krótkim rękawem w bialo-niebieską kratkę, z kieszonką na piersi.

- Ta koszula kojarzy mi się z doktorem Fogelmanem - powiedziałam.

- Z Bennym Fogelmanem, sąsiadem twojego ojca? - Tak.

Fogelmanowie i mój ojciec są sąsiadami od ponad trzydziestu lat. Doktor Fogelman to dentysta ojca. Niestety, jest

partaczem. Ojciec wciąż musi wymieniać źle założone korony i powtarzać leczenie kanałowe. Od lat cierpi z bólu, ponieważ nie chce zranić uczuć Benny'ego Fogelmana. Doktor Fogelffian zapełnił piwnicę żywnością w puszkach, wodą w butelkach i lekarstwami w oczekiwaniu na pluskwę milenijną, a potem on i jego żona przez cały rok nie jedli nic poza konserwami. „Czasami trzeba zjeść złą inwestycję”, powiedział mi kiedyś. Pan Fogelman jest pesymistą o pokrytych osadem zębach z przodozgryzem, a pani Fogelman, jego zaufana towarzyszka i pomocnica, za plecami nazywa go „starym piernikiem”.

- Nie wkładaj tej koszuli - poprosiłam. - Przygnębia mnie. - Wciąż nieubrana usiadłam na skraju łóżka. - Sprawia, że czuję, jakbyśmy byli starym małżeństwem...

- Jak państwo Fogelman?

Pokiwałam głową, skubiąc kołdrę. Czy była to kołdra starego małżeństwa?

- Lubię tę koszulę. Jest retro.

Nie była retro. Była nudna. Peter jednak nie dostrzegał tej subtelnej różnicy.

- Może Elliot spodoba się Helen. Helen jest ładna.

- Tylko na zdjęciach.

- Niemożliwe. Albo ktoś jest ładny, albo nie.

- Widziałem ją na zdjęciach w czasach, gdy zaczęliśmy się spotykać, a potem ją poznałem. Śmieje się za głośno, a kiedy skończy, zachowuje się jak jedna z tych ruchomych figurek, Goofy'ego czy coś w tym stylu, naciskasz guzik i wszystko opada.

- Hm - mruknęłam, zastanawiając się, od jak dawna Peter myśli tak o Helen i dlaczego nigdy mi o tym nie powiedział. Ile jeszcze ukrywa przede mną takich drobnych, dziwacznych spostrzeżeń, a może niektóre dotyczą także mnie? Wiedziałam, że Peter nie lubi moich koleżanek, ale sama też nie byłam pewna, czy je lubię. Przyjaźnie z kobietami zawsze były dla mnie

trudne. Nie radziłam sobie z rozmowami pełnymi podtekstów, z tym, jak cichym tonem wyrazić tyle ciężkiej treści. Kobiety mają nadnaturalną umiejętność prowadzenia wyrafinowanych dialogów, a ja zawsze dawałam się zagonić w koziego róg. Czasem nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, orientowałam się po godzinie lub dwóch. „Zaraz, chwileczkę...” Ale wtedy już było za późno. Zwłaszcza Helen była trudnym przypadkiem. Wciąż jeszcze nie znalazła tego jedyne i ostatnio zaczęła brać to do siebie. Jeszcze kilka lat wcześniej okazywała nam, swym „zaobrączkowanym” przyjaciółom współczucie, przeprowadzając na nasze kolejne wesela coraz to nowych facetów i tańcząc z nimi jak szalona na kolejnych parkietach. Potem zaczęła kwestionować swój gust dotyczący mężczyzn. Skończyło się na tym, że nasze małżeństwa traktowała jak obelgę pod swoim adresem, w związku z czym w odpowiedzi bywała wredna. Ja zaś stanowiłam łatwy cel. Winiłam za to dorastanie bez matki. Matki z pewnością udzielają córkom wyczerpujących lekcji uników i reagowania na ciosy. Mnie to ominęło.

- Może Elliot lubi Goofy'ego - powiedziałam. Peter nie znalazł na to odpowiedzi. Spróbowałam rozluźnić odrobinę mięśnie twarzy.

- Może potrzebujemy nosy? - zaproponowałam.

- Jak Eskimosi? Czemu mielibyśmy to robić?

- Każde potrzebuje swój. O tak. - Potarłam nos. - Nasze hasło! Żebyś wiedział, kiedy przybyć mi na ratunek, gdy Elliot osaczy mnie na imprezie.

- A jeśli będziesz musiała potrzebować nos nie z powodu jakiegoś idiotycznego alarmu tylko dlatego, że cię zaswędzi? Przy twoich alergiach... - Peter jak zwykle był praktyczny.

- To może podbródek - zaproponowałam. - Jak często swędzi mnie podbródek?

- A może zaczniemy zachowywać się jak dorośli, nie jak dzieci, które wymyślają tajemne szyfry? Nie chcę wyglądać jak trener baseballowy przy trzeciej bazie.

Nie chciałabym, aby w mojej opowieści Peter jawił się jako dobry albo zły. Małżeństwa odbywają co jakiś czas takie drobne, ale pełne napięć rozmowy które, spisane, wyglądają na małostkowe i brzydkie. I my, od czasu do czasu, bywaliśmy małostkowi i brzydcy. Czy kochałam Petera? Tak. Miał wiele cudownych cech do kochania i, jak się potem okazało, równie wiele godnych pogardy.

Ale czy w tamtym momencie on kochał mnie? Wierzę, że tak, że kochał mnie głęboko. Co więcej, wydaje mi się, że miłość, jaką mnie darzył, czasami zaskakiwała jego samego i między innymi z tego powodu czuł, że wciąż powinien trzymać ją w ryzach. Ja zaś nie protestowałam. Może było mi tak wygodnie? Rodzice Petera wiedli wprawdzie spokojne, pozbawione wstrząsów życie, ale mimo że byli takimi szczęściarzami, niewielu pragnęłoby znaleźć się na ich miejscu. Czasami bywali nieczuli. Peter miał więcej wdzięku, był życzliwszy, hojniejszy, lecz mimo to pozostawał ich marką, ich produktem. Czy można go za to winić? Wciąż siedziałam na łóżku, a on podszedł do mnie, schylił się i trzy razy poklepał mnie lekko po nagim kolanie. Ostatnio często mu się to zdarzało. W ten sposób Benny Fogelman mógłby próbować uspokoić swoją żonę Ginny zbyt podnieconą jakimś tematem. Wydało mi się to okropne. Z zewnątrz jego gest mógł wyglądać na czuły, ale czy tak naprawdę Peter nie okazywał mi w ten sposób swojej wyższości? Być może gdyby jeszcze kilka lat wcześniej poklepał mnie tak po kolanie, uznałabym to za coś zabawnego - uroczego i staroświeckiego, lecz w gruncie rzeczy nieszkodliwego - teraz jednak odnosił się tak do mnie coraz częściej.

Peter wyszedł z pokoju.

- Będiesz mnie teraz poklepywać po kolanie? - zawołałam za nim. - A gdzie twoje wycucie ironii?

- Co mówisz? Usłyszałam tylko „pochrapywać na dywanie” i coś o ironii!

- krzyknął Elliot z salonu. Rozległ się pstryk

włączanego telewizora, po czym dobiegły mnie odgłosy meczu piłki nożnej: tłum, zbyt donośne trąbki i komentarz po hiszpańsku. - Ubierz się wreszcie, bo się spóźnimy!

- Co mówisz? Usłyszałam tylko: „zwierz” i „śpimy”! -odkrzyknęłam.

Ripken wyszedł z łazienki i położył się u moich stóp.

- Co? - krzyknął Peter.

- Z czym? - odpowiedziałam.

Nasza kłótnia oficjalnie osiągnęła poziom absurdu. Wstałam więc, by dokończyć ubieranie się.

ROZDZIAŁ 4

Elliot Hull. Myśliciel. Jak już wspomniałam, poznaliśmy się na spotkaniu integracyjnym studentów pierwszego roku, mającym na celu przełamanie lodów. Impreza była obowiązkowa. Musiała być, bo w innym wypadku zjawiliby się na niej tylko niereformowalni ekstrawertycy, a my, wszyscy pozostali, już do końca żylibyśmy każde w swojej lodowej bryłce.

Na sali gimnastycznej była około setka ludzi. Podzielono nas na czteroosobowe grupy. W jednej z nich znaleźliśmy się ja i Elliot.

Pozostała dwójka - chłopak i dziewczyna - od dawna są dla mnie już tylko zamazanym wspomnieniem. Czy byli mili, nieśmiali, nadęci, smutni? Nie wiem. Może już wtedy nie dostrzegałam ich wyraźnie? Z niektórymi ludźmi tak bywa. Prawdopodobnie żyją teraz, każde z nich swym cudownie zintegrowanym życiem.

Pamiętam tylko jedno z zadanych nam ćwiczeń. Chodziło o to, by poinstruować osobę stojącą obok, co ma powiedzieć do studenta z innej grupy. Miało to być jakieś zapoznawcze zdanie. Podano przykład: „Podejź do tamtego człowieka, uściśnijcie sobie dłonie i powiedz mu, że ma ładne buty”. Powinnam w tej chwili wspomnieć, o ile jeszcze nie wydaje się

to oczywiste, że college, do którego chodziłam, był raczej nudny. Można sobie spokojnie wyobrazić, że od około 1954 roku przechował się w nienaruszonym stanie, zatopiony w lawie i wulkanicznym pyłe niczym Pompeje. (Czy wszystkie moje metafory dotyczące college'u muszą mieć coś wspólnego z zatopieniem w lawie lub lodzie? Możliwe. Chciałam się wyrwać z domu ojca na szeroki świat, jednak nie udało się. Wciąż byłam przerażona. Czym? Nie wiem. W każdym razie wciąż broniłam się przed życiem, co więcej, spędziłam lata studiów i po studiach na doskonaleniu się w tej sztuce).

Jak Elliot wtedy wyglądał? Jak my wszyscy. Jak odrobinę delikatniejsza, bardziej zaróżowiona, smuklejsza i świeższa wersja dzisiejszego siebie. Oto pierwsze słowa, jakie do mnie wypowiedział:

- Co za bzdurna impreza.
- Kompletnie bzdurna - odpowiedziałam.
- Nie każ mi tylko robić czegoś głupiego - poprosił. Spojrzałam na niego.
- Zostawię to tobie.
- Jesteś dowcipna - stwierdził.
- Nie, nie jestem dowcipna - odpowiedziałam, i rzeczywiście nie byłam, a w każdym razie nigdy tak o sobie nie myślałam, ponieważ nie zwykłam doprowadzać ludzi do śmiechu.
- Jaka więc jesteś? - zapytał. - A może jesteś mołem książkowym?
- Mołem książkowym?
- Wyglądasz na mola książkowego.

Poczułam się obrażona, mimo że rzeczywiście byłam mołem książkowym. Ostatnie cztery lata liceum spędziłam, udając, że nim nie jestem, czekając, aż wreszcie będę mogła ujawnić się w college'u.

- Czytam książki, jeśli o to ci chodzi.
- Ja jestem czasami mołem książkowym - powiedział Elliot. - Kiedy mam na to nastrój. - W tym momencie na chwi-

łę pogрузył się w rozmyślaniach, ale szybko znów zwrócił wzrok na mnie.

- A gdzie reszta? - zapytał. - Przed chwilą tu byli.

- Poszli ścisnąć dłonie obcym i komplementować ich buty.

- A propos - powiedział Elliot - masz ładne buty. Są w porządku. Nie nadzwyczajne czy szalone, rozsądne, ale nie nudne. Podobają mi się.

- Zdaje się, że nie chodzi o to, by je oceniać, lecz komplementować - powiedziałam.

- Aha - odrzekł. - Cóż, chciałem po prostu być szczery. Po krótkiej, niezręcznej chwili ciszy, powiedziałam:

- Mnie też podobają się twoje buty.

- Ach, więc tak się to robi.

Elliot Hull spodobał mi się od pierwszego wejrzenia - buty i cała reszta. I odtąd podobał mi się już zawsze, nawet gdy policzkowałam go w tamtym barze, choć w pewnym sensie również go nienawidziłam. Polubiłam go nie dlatego, że był sympatyczny (właściwie nie był, a w każdym razie nie w ogólnie przyjętym przez społeczeństwo znaczeniu tego słowa). Ale wiecie, jak to jest: raz na jakiś czas trafiamy na człowieka, z którym natychmiast zaczynamy się czuć swobodnie - może być to ktoś spotkany w kolejce do odprawy celnej, siedzący obok w poczekalni biura ubezpieczeń albo kelnerka w restauracji. Nagle ni stąd, ni zowąd jedno z nas przestaje się pilnować i stwierdza, że świat jest do dupy, a drugie to potwierdza. Krótka chwila zrozumienia, po której wzdychamy i każde z nas udaje się w swoją stronę - chyba że nie musimy. Elliot od samego początku był dla mnie kimś takim. Owszem, irytował mnie, ale w szczery sposób. Podobała mi się ta szczerość.

- Wiem, co chciałabym, żebyś zrobił.

- OK. Co?

- Podnieś tamtą dziewczynę. Podnieś ją i okręć w powietrzu. -

Wskazałam na dziewczynę stojącą niedaleko, szczupłą,

by nie nadwyrężył mięśni. Miała miękkie brązowe włosy i ciemne oczy. Nie wiem, dlaczego wybrałam dla niego takie zadanie. Chyba chciałam być romantyczna. Zbyt wiele razy oglądałam *Oficera i dżentelmena*. Złapał mnie za rękę.

- A może tamtą? - zaproponował, wskazując na dziewczynę w bardzo krótkich szortach.

- Nie, tę - odpowiedziałam, ponownie pokazując szatynkę. Elliot skierował mój palec w inną stronę.

- A może tamtą? - powiedział, wskazując wyższą dziewczynę.

- Nie, tę - powtórzyłam uparcie. - Podnieś ją i okręć, wiesz, jakby właśnie skończyła się wojna albo coś w tym stylu.

- Która wojna? - zapytał.

- Wszystko jedno. Którakolwiek.

- Oczywiście, że nie wszystko jedno - . powiedział. - Zupełnie inaczej okręcało się dziewczyny w powietrzu po drugiej wojnie światowej niż na przykład po wojnie w Wietnamie. Nie sądzę, żeby po Wietnamie w ogóle ktokolwiek robił coś takiego.

- Dobrze, niech będzie tak jak po drugiej wojnie światowej.

- W porządku - powiedział Elliot i podszedł do dziewczyny. Ta spostrzegła go. Obserwowałam jej twarz. Uśmiechnęła się, zaniepokojona, a on przyspieszył kroku. Gdy znalazł się przy niej, wyglądała, jakby wiedziała, co dalej nastąpi. Elliot objął ją w cienkiej talii, podniósł wysoko i okręcił, jakby był żołnierzem, który dopiero co wrócił z drugiej wojny światowej i spędził ostatnie kilka tygodni, nie robiąc nic poza podnoszeniem dziewcząt i okręcaniem ich w powietrzu. Tamta dziewczyna nazywała się Ellen Maddox. Wkrótce zaczęli się spotykać i pozostali parą przez następne trzy i pół roku. Widywałam wówczas Elliota od czasu do czasu. Na jednym czy dwóch kursach byliśmy w tej samej grupie. Za każdym razem, gdy go spotykałam, przypominał mi tamten dzień,

dziękując, że wybrałam dla niego właściwą dziewczynę, albo po prostu chwalił moje buty i było to jak sekretny język, który rozumieliśmy tylko my dwoje.

Aż pewnej wiosny, na ostatnim roku studiów, Elliot ujrzał mnie na kocu, na środku trawnika, jak uczyłam się samotnie do egzaminu. Sesja zbliżała się wielkimi krokami. Wtedy byłam już zupełnym mołem książkowym i wcale się z tym nie kryłam - nosiłam okulary, włosy wiązałam w kucyk, może nawet miałam ołówek za uchem. Elliot podszedł do mojego szerokiego koca i położył się na skraju. Podparł się na łokciu i wpatrzył we mnie, zamyślony. W końcu powiedział:

- Pomyliłaś się.
- W jakiej sprawie? - zapytałam.
- Wybrałaś nie tę dziewczynę. -Co?
- Na imprezie integracyjnej - odrzekł. - Wybrałaś nie tę dziewczynę.
- Och, naprawdę? -Aha.
- A kogo powinnam była wybrać?
- To jest właśnie najzabawniejsze - powiedział. - To ty jesteś właściwą dziewczyną. Powinnaś była wskazać na siebie.

ROZDZIAŁ 5

Helen urządziła wspaniałe imprezy. Oryginalne drinki, egzotyczne przekąski i muzyka - awangardowa, lecz nigdy ponura (coś nieznanego, co jednak wypada znać, muzyka, która piętnowała prowincjonalizm). Zawsze wykazywała się talentem do kompletowania osobliwych zestawów gości, a ponieważ większość z nich była singlami, na przyjęciach panowała wyraźnie naładowana erotyzmem atmosfera. Helen miała koleżankę, profesjonalną dominę o imieniu Vivica, która pracowała w centrum miasta. Vivica wzięła kiedyś od nas adres, w związku z czym od czasu do czasu dostawaliśmy pocztą utrzymane w gotyckim stylu kartki z motywami sado-maso, reklamujące jej występy. Na odwrocie były ręcznie wypisane komunikaty typu: „Wpadnijcie, proszę! Całuski, Vivica”. Zawsze myślałam wtedy o naszym listonoszu Richardzie, i o tym, jak sortując pocztówki w swym jeepie, zmienia opinię na nasz temat. Richard był myśliwym, lubił Ripkena. „Żal tej łapy”, mawiał zawsze. „Mógłby być z niego pierwszorzędny pies myśliwski”. Ciekawe, co Richard o nas myślał. Czy wracał do domu i opowiadał żonie o ludziach z psem na trzech łapach i pornograficznymi pocztówkami? Czy byliśmy

jego prywatnymi zboczeńcami? W głębi serca chciałam być czyimś zboczeńcem.

Na imprezach u Helen zdecydowanie nikomu nie kojarzyłam się perwersyjnie. Przede wszystkim nigdy nie byłam odpowiednio ubrana. Gdy założyłam kiedyś ironiczną w zamyśle sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych - taką, w której Helen zmieniła się zabójczego wampa o czerwonych ustach i głębokim dekolcie - skończyło się na tym, że wyglądałam jak przykładna pani domu. Naszyjnik z pereł, który na Helen wyglądał obiecująco i tajemniczo, na mnie pozostawał zwykłym naszyjnikiem z pereł i niczym więcej.

Przyjęcia te również Petera wprawiały w niecodzienny nastrój. Mniej przejmował się manierami. Za dużo pił. Od czasu do czasu próbował karmić mnie z ręki, co z jakiegoś powodu uważał za seksowne, choć mnie to tylko peszyło. U Helen zawsze się rozdzielaliśmy. Zawarliśmy pakt: dziel i rządź. Tuż po przybyciu na imprezę sunęliśmy w przeciwnych kierunkach, by chłonąć tyle dziwactw, ile się dało, tylko co jakiś czas wpadając na siebie, a później, w domu, w łóżku, dzieliliśmy się wrażeniami. W ten sposób przeżywaliśmy imprezę podwójnie - samemu i ponownie oczami drugiej osoby. Teraz, z perspektywy czasu widzę, że teoretycznie był to dobry plan. Sprawdziłby się, gdybyśmy byli dla siebie prawdziwymi powiernikami, którzy dzielą się najintymniejszymi sprawami. Nie byliśmy nimi jednak. Przelotne miłosne zerknięcia nie dopuszczają takiej zażyłości. Być może Peter i ja wyczekiwaliśmy po prostu okazji, by się rozdzielić, gdyż każde z nas szukało czegoś innego. Gdy tylko weszłam na imprezę, poczułam się niezręcznie, drżąc przed wizją towarzyskiej porażki. Tym razem miałam jeszcze więcej do stracenia. Przypomniały mi się brytyjskie powieści salonowe, w których jedno uchybienie podwieczorkowej etykiety mogło zrujnować pozycję towarzyską albo wręcz spowodować odesłanie do klasztoru. Miałam przeczucie,

że Elliot Hull może wprowadzić chaos w mój uporządkowany świat. Stanowił zagrożenie dla konsumpcyjnego stylu życia, jaki prowadziłam, stuprocentowego zadowolenia z siebie. Przerażała mnie ta myśl. Jeszcze bardziej przerażało mnie to, jak bardzo chciałam znów go zobaczyć, bardziej, niż byłam skłonna przyznać się przed sobą.

Gdy dotarliśmy na przyjęcie, szybko obrzuciłam wzrokiem mieszkanie w poszukiwaniu Elliota. Nigdzie go nie dojrzałam.

- Widzisz? - powiedział Peter, który też zdążył już się rozejrzeć. - Nie ma go. Pewnie w ogóle się nie zjawi. Przyjście samemu na imprezę jest trudniejsze, niż ci się zdaje. My na szczęście już prawie nie pamiętamy, jak to jest. - Często o tym mówiliśmy. Jak bardzo żał nam singli.

Poprawialiśmy sobie w ten sposób samopoczucie.

- Co za ulga - powiedziałam, choć wcale tak nie czułam. Byłam zdenerwowana. Przygnębiona i jednocześnie spięta.

Młoda kobieta wcisnęła nam w dłonie po butelce piwa. Wyglądało na to, że przydzielono jej to zadanie. Peter podryfował w stronę rozświetlonego blaskiem świec, pełnego rozleniwionych palaczy balkonu, ja zaś skierowałam się w stronę stołów z jedzeniem.

Tam właśnie wpadłam na Jasona. Półtora roku wcześniej Jason ożenił się z Faith, moją przyjaciółką ze studiów. To właśnie między innymi ona ochrzciła Elliota mianem „myśliciela”. Zaraz po ślubie z Jasonem Faith zgodnie z planem zaszła w ciążę i teraz mieli dziewięciomiesięczne dziecko. Zawsze lekko się peszyłam, wpadając na inne małżeństwa na imprezach u Helen, które tak bardzo różniły się od naszych wspólnych kolacji (wliczając w to urządzone u nas wieczory z płonącymi deserami). Aż dziwne, że potrafiliśmy odnaleźć się w tak swobodnej i naładowanej erotyzmem atmosferze. Podczas wieczorów spędzanych w gronie innych małżeństw, owszem, flirtowaliśmy, jak inaczej można to określić? Przed

pozostałymi parami usiłowaliśmy być zabawni, czarujący i błyskotliwi. Pragnęliśmy uwieść ich naszym dobrym gustem dotyczącym importowanych dywaników. Był to jednak zawsze flirt ukryty, dlatego nasze spotkania odbywały się w dusznej atmosferze, jakby przykryła nas gruba warstwa eleganckich dekoracyjnych poduszek, których zresztą wszyscy mieliśmy o wiele za dużo.

- Cześć - przywitałam Jasona. - Co słyhać?

Miał pełne usta. Wystawił przed siebie palec. Jason był roslým mężczyzná, przy czym często wygládał na stropionego. Zerknęłam w stronę drzwi wejściowych, by sprawdzić, czy pojawił się już Elliot. Wciąż go nie było. Zauważyłam za to nowe zdobione lustro, prawdziwego potwora, w drugim końcu pokoju. W założeniu było chyba pionowe, jednak Helen powiesiła je poziomo, wzdłuż swej eleganckiej białej sofy. Peter i ja kupiliśmy ostatnio rozkładaną kanapę w ciemne paski.

Uważałam ją za nieco zbyt ostentacyjnie męską, ale Peter zwrócił uwagę na to, że przyda się dla gości, przy czym ciemne paski sprawia, że nie będzie widać plam. Któregoś dnia będziemy mogli przenieść ją do pokoju zabaw dla dzieci. Dzieci. Często o nich mówiliśmy, o naszym przyszłym potomstwie. „To będzie dobre dla dzieci. Kiedyś przyjedziemy tu z dziećmi. Nie chciałbym, żeby dzieci coś takiego zobaczyły”. Dzieci były coraz bardziej obecne w naszym życiu, co było dziwne, zważywszy, że jeszcze nie istniały.

- Cześć - odpowiedział w końcu Jason. Przełknął ostatni kęs hors d'oeuvre i szybko dodał: - Nie mów Faith, że mnie tu widziałas.

- Jak to? A gdzie ona jest? - Rozejrzałam się dookoła.

- Nie chciała, żebyśmy przychodził. Powiedziała, że nie podoba się jej moje zachowanie na tego rodzaju galach. Wolała, żebyśmy został w domu z Edwardem. - Nazwali synka Edward. Przez jakiś czas był to za ich plecami temat do dyskusji, które jednak stopniowo ucichły i teraz dziecko wyglądało już na

Edwarda, a może zmieniała się wizja Edwarda w naszej wspólnej świadomości. Chłopiec był słodki i to pomogło. - Ona miała przyjść zamiast mnie.

- Ale nie przyszła.

- Nie. Ja jestem, ale ona o tym nie wie. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

- Ale czemu nie przyszliście oboje z Edwardem, jak ostatnio?

- Na imprezę, którą Helen zorganizowała dla sprośnego magazynu? To było dziwaczne. Dziewczyny w lateksie, transwestyci i wszystkich interesował tylko Edward, gruchali nad nim jak wariaci. A potem Faith nie miała gdzie go nakarmić. Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Stolik do kawy zawałony pisemkami z golizną - poczuła się jakby karmienie piersią było perwersyjnym przedsięwzięciem.

- Tak powiedziała?

- Tak jest. Perwersyjne przedsięwzięcie. - Jason kochał Faith; był dumny z jej osobliwych sformułowań. To ona w tym związku miała dobrze płatną pracę na wysokim stanowisku w kierownictwie banku. Jason stracił stypendium sportowe i nie skończył studiów. Właściwie to istniała między mną a nim nić porozumienia - oboje mniej zarabialiśmy i mieliśmy mniejsze osiągnięcia życiowe niż nasze drugie połówki. W rozmowach z Faith stawałam w jego obronie, ale za każdym razem czułam, że tak naprawdę bronię siebie, mówiąc: „On wciąż szuka pasji, powołania”, „Nie każdy zegar biologiczny tyka w tym samym tempie” albo: „On ma po prostu inne podejście do świata, dlaczego tak surowo go oceniasz?” Faith dobrze wiedziała, co to wszystko znaczy. Wiedziała, o kim tak naprawdę mówię, i zawsze z klasą powracała do konkretnego problemu, który omawialiśmy, z dala od pola minowego moich nieodkrytych życiowych pasji, spóźniającego się zegara biologicznego i odmiennego stosunku do świata.

- Co tu robisz? - zapytałam.

- Pokłóciliśmy się. Miałem na tyle oleju w głowie, żeby wyjść. -
Uśmiechnął się, jakby odrobinę dumny z siebie. -Nauczysz się tego, kiedy sama będziesz miała dzieci. Gdy wdasz się w awanturę, bądź tą osobą, która pierwsza złapie kluczyki i wybiegnie z domu, albo utkwisz z dzieckiem na całą noc. - W głowie słyszałam już Petera mówiącego: „Hej, odczep się od naszych dzieciaków. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, jakimi wspaniałymi Gwen i ja będziemy rodzicami”. Na tym zresztą nie skończyłoby się i Peter monologowałby dalej w drodze do domu. Ja jednak nie zareagowałam. Nie byłam wcale przekonana co do naszych umiejętności rodzicielskich. Co ja w końcu na ten temat wiedziałam? Nieżyjąca od lat matka, pogrążony w rozpacz ojciec... Nie byłam pewna, czy Stevensowie ze swoim łątem szczęścia są w stanie objąć kolejne pokolenie.

- Nie powinieneś teraz chodzić wkurzony po ulicach? -W tym momencie wydało mi się, że zobaczyłam Elliota, tył jego głowy na balkonie.

Poczułam ucisk w żołądku. Mężczyzna odwrócił się, ale to nie był Elliot.
- Zgłodniałem, a u Helen jest najlepsze jedzenie. - Powód jego przybycia był inny i oboje o tym wiedzieliśmy. Przypomniało mi się, jak trzymał dziecko w ramionach otoczony wianuszkiem striptizerek na poprzedniej imprezie. Faith stwierdziła, że Jason używa synka jak rekwizytu. Patrząc teraz na niego, zauważyłam, że nie jest ubrany wyjściowo. Miał na sobie robocze ciuchy i najwyraźniej przed wyjściem nie wziął prysznic. Włosy sterczały mu na wszystkie strony, jakby prowadził samochód z głową za oknem.

- Faith w końcu się dowie. Wiesz o tym.

- Mam trochę czasu, żeby pomyśleć. - Wziął duży łyk egzotycznego drinka i skrzywił się. Na stole stała wielka miska do ponczu z kryształową chochlą. W środku znajdowała się mleczna mikstura, biała i gładka, pachnąca kokosem. Czułam, że Jason się upije i nie znajdzie czasu, by pomyśleć, a Faith

będzie jutro wkurzona, zresztą słusznie. Potwierdzi to tylko jej teorię o infantylnym mężu. O jego nadaktywnym id. Nie po raz pierwszy marnował w ten sposób czas, który powinien spożytkować na myślenie o przyszłości. Jason był właścicielem baru z meksykańskim jedzeniem na wynos. - Spróbuj tego drinka - powiedział. - Smakuje jak jadalne majtki o smaku tropikalnym.

Poklepałam go po ramieniu.

- Powodzenia - powiedziałam. - Chociaż, szczerze mówiąc, sprawy nie wyglądają różowo.

Jason zdążył już zapchać się jedzeniem. Uśmiechnął się smutno i lekko wzruszył ramionami, jakby mówił: „Za późno”. Miał rację.

Na stole stały wazon pełne gęstego fioletowego bzu, chwiejącego się lubieżnie nad tacami z jedzeniem. Omijając je, chwyciłam talerz i napełniłam go przekąskami inspirowanymi kuchnią Bliskiego Wschodu: różnymi rodzajami szaszłyków, czymś z fetą, czymś innym z pastą tahini i czymś w rodzaju naleśników wypełnionych serem. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Helen nie spotyka się przypadkiem z Arabem.

Zawsze albo właśnie rozstawała się z kimś z hukiem, albo z powrotem z nim schodziła. Czy mogłaby zakochać się w Elliocie? - pomyślałam.

Nalałam sobie szklanek kokosowej mikstury, upiłam łyk i przez chwilę pomyślałam o jadalnych majtkach. Czy smakowałyby jak zwijane paski z suszonych owoców, sprzedawane przy kasie sklepu ze zdrową żywnością, do którego szłam za każdym razem, gdy dostawałam bzika na punkcie jakiegoś artykułu o zdrowym trybie życia z pisma dla kobiet? Czy może to być dobry temat do frywolnej rozmowy? Czy potrafię uczynić go zabawnym?

Rozmyślając tak, nagle zobaczyłam Elliota. Jego widok, choć tak wyczekiwany, zaskoczył mnie. Był w stu procentach sobą - czyżbym spodziewała się, że będzie sobą tylko częściowo-

wo? Zachwyciły mnie drobne szczegóły jego wyglądu. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki, pasek ze srebrną klamrą, czarny koncertowy T-shirt i, żeby było jeszcze dziwniej, marynarkę. Jego włosy były wciąż wilgotne po kąpieli. Rozmawiał z jakąś ubraną jak artystka blondyną z wielkimi kolczykami w uszach, które kołysały się pod wpływem jej gwałtownej gestykulacji. Nie zważając na jej zbliżony do hysterii stan, Elliot zachowywał spokój. Kiwał głową ze zrozumieniem. Opuścił głowę i zamknął oczy. W tym momencie blondyna powiedziała chyba coś zabawnego, bo uśmiechnął się. Trzymał w dłoni małe czarne pudełko przypominające mi to, w którym kiedyś, jako dziecko, pochowałam chomika. Pudełko Elliota było obwiązane cienką fioletową wstążeczką. Czyżby przyniósł prezent? Na stoliku obok niego leżało drugie, identyczne poza tym, że otwarte, a lawendowa bibułka w środku była w nieładzie. Prezent został już z niego wyjęty.

Nie byłam pewna, co robić. Jak długo już tu był? Czy szukał mnie i Petera? Najwyraźniej uczucie towarzyszące wejściu samemu na przyjęcie nie było tak przykre, jak mi się zdawało. Żałowałam, że nie mam przy sobie Petera, i nie prowadzimy właśnie ożywionej rozmowy na temat jadalnych majtek o smaku tropikalnym, przerywanej wybuchami śmiechu. Poszukałam go wzrokiem na balkonie, ale zgromadzone tam sylwetki były słabo oświetlone i niemożliwe do rozróżnienia.

Postanowiłam zająć się poszukiwaniem Helen, ale Elliot złapał moje spojrzenie i zaczął machać ręką, chcąc zwrócić moją uwagę.

Odpowiedziałam, dwukrotnie zamykając wspartą na łokciu dłoń, po czym odwróciłam wzrok. Ale on już po chwili stanął przede mną.

- Dziękuję - powiedział. - Uratowałam mnie. Ta kobieta to konwersacyjny wampir. Niby miła i w ogóle, ale po rozmowie z nią czuję się jak zombie.

- Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, wręczył mi czarne pudełeczko. Przypomniałam sobie, jak kiedyś dał mi w prezencie kupioną w stołówce

kanapkę w plastikowym pudełku. Nie chciałam jednak przyznać się, że wciąż to pamiętam. - Proszę, to dla ciebie.

- Czy to martwe zwierzątko?

- Hm, nie. A chciałaś dostać martwe zwierzątko? Mogę polecieć i jakieś zdobyć.

- Nie, nie, tylko wygląda to jak...

- Aa, mała trumienka. No tak.. Teraz widzę. Nie. To rzeczywiście coś martwego. Ale jest ładne. Otwórz! - Pachniał płynem po goleniu i szamponem, i nagle przypomniało mi się, jak uprawialiśmy seks. Jak przez mgłę pamiętałam, że leżeliśmy pod cienką kołdrą, a on zrzucił dżinsy. Pamiętałam ciężar i zapach jego piersi na mojej. Na samo wspomnienie zarumieniłam się.

Z wahaniem podniosłam pokrywkę, odwinęłam lawendową bibułkę i ujrzałam przypinany bukietik róż otoczonych mgiełką drobniutkich białych kwiatków.

- Kupiłeś mi bukietik - powiedziałam.

- Jeden dla ciebie i jeden dla gospodyni.

- Czy to znaczy, że zabierasz nas obie na bal maturalny?

- Nie zgadzasz się?

- A więc poznałeś już Helen. -Tak.

- Podobał jej się prezent?

- Śmiała się bardzo głośno.

- Czasem jej się to zdarza. Ale jest ładna, prawda?

- Nie w moim typie. - Elliot podniósł bukietik i moim oczom ukazała się mała zapinka ozdobiona sztuczną perełką. - Pozwolisz?

Wzruszyłam ramionami.

- Proszę bardzo. Dlaczego nie jest w twoim typie? Czy dlatego, że śmieje się zbyt głośno, a potem opada jak jedna z tych figurek do zabawy?

Miałam na sobie czarną sukienkę na cienkich ramiączkach. Nie było na niej dużo miejsca, by przypiąć bukietik.

- Nie. Po prostu nie jest w moim typie, to wszystko.
 - Czy kupowanie ludziom przypinanych bukietów to twoje nowe hobby?
 - Nie wiem, nigdy wcześniej tego nie robiłem. Zobaczyłem je na wystawie kwiaciarni, otoczone bibułą, w tych małych trumienkach, i pomyślałem, że to staroświecki, rycerski, ale i nienachalny gest. - Przekłuł zapinką górną krawędź sukienki, odciągając materiał, by mnie nie pokłuć.
 - Może dlatego mężczyźni kupowali kiedyś kobietom takie bukiety. Żeby mieć okazję dotknąć ich sukienek.
 - Możliwe.
 - Być może będzie to moje nowe hobby. Pomyślałem sobie, że ratuję je od, no wiesz, powolnej śmierci w oknie kwiaciarni, że robię dobry uczynek. Tak jak ty, gdy sprzedawałaś ciastka na rzecz wydr morskich. Ile ich ocaliłaś?
 - Pewnie w końcu udało mi się uratować jedną, może dwie. Bukiet ciężył mi odrobinę. Wychylony do przodu wyglądał, jakby się kłaniał albo gorzej, jakby próbował się wyrwać. Spojrzeliśmy na niego oboje.
 - Jaki skromny - powiedział Elliot.
 - Może powinien posłuchać sobie jakiegoś poradnika z płyty - dodałam.
 - Ale od dziś wróżę przyływ pewności siebie.
 - Na moim biuście?
 - Gdzieżby indziej?
- W tym momencie nadciągnęła Helen. Była olśniewająca -idealny nos, wielkie oczy, pełne usta, ostre zęby. Jej obcisła sukienka miała powiewne, prześwitujące rękawy. Bukiet spoczywał w samym środku głębokiego dekoltu, jakby był centralnym motywem całego stroju.
- Gwen! Kocham tego chłopca! Gdzieś go znalazła? - zawołała, chwytając Elliota za jego piękną, opaloną rękę, i położyła mu głowę na ramieniu. - Jest czarujący. Słodki i przystojny!

Kupił nam takie same różyczki. Kto inny zrobiłby coś podobnego?

- Nie wiem - odpowiedziałam. - Chyba tylko on.

- Róże są jadalne - powiedział Elliot, po czym wskazał stojące na stole wazon. - Bez również.

- Naukowiec! - zawołała Helen. - Czym się zajmujesz?

- Uczę - odparł Elliot.

- Jest profesorem - dodałam.

- Naprawdę? Gdzie? - spytała Helen.

- Na Uniwersytecie Johna Hopkinsa - odpowiedział, a mnie odebrało mowę. Przypuszczałam, że pracuje w jakimś trzeciorzędym college'u.

- Żeby tam uczyć, trzeba nosić krawat? - dopytywała się Helen. - Lubię mężczyzn w krawatach.

- Nie - odparł Elliot. - Żadnych obowiązkowych krawatów. Wystarczy tweedowa marynarka z łatami na łokciach.

- Szkoda - powiedziała Helen, seksownie wydymając wargi. -

Przypomniałam sobie, że choć żaden z jej związków nie skończył się małżeństwem, wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykała, zdawali się ją kochać przytłaczającą, bolesną miłością. Helen pociągnęła Elliota za rękę. - Przedstawię cię pozostałym. Gdzie się podział twój drink?

Chodźmy na kolejkę. Musisz nadrobić zaległości.

Elliot odwrócił się, rzucając mi przez ramię bezradne spojrzenie. Czy wspomniałam już o jego rzesach? Były długie i zakręcone, szkoda ich było dla mężczyzny. Poczułam się porzucona. Niezdecydowanym ruchem obróciłam się w prawo, potem w lewo, aż wreszcie postanowiłam udać się do łazienki, by poprawić makijaż. Stałam w krótkiej kolejce. Drzwi otworzyły się i wyszedł z nich Peter. Zbliżył stuloną dłoń do mojego ucha.

- Słabo kontaktuję - wyszeptał. - Tamta blondyna chciała, żebym palił z nią trawkę. Ale odmówiłem. - Wskazał w stronę gabinetu Helen, gdzie Jason, zadowolony, pogrążony był

w rozmowie z konwersacyjnym wampirem. - Jason nie powinien tu być.

- Och, wiem. Już po nim. Po nim, cholera. Spójrz na niego. -

Popatrzyliśmy oboje. Jason tryskał radością. Wskazywał palcem na blondynę, wołając:

- Widzisz? Ty mnie rozumiesz! Czytasz w moich myślach!

Peter pokręcił głową.

- Idiota. Nawalił się. Jest już martwy. To jak patrzeć na nieboszczyka.

Nawalonego nieboszczyka. Ale ja jestem taki grzeczny. Nie licząc tego, że się upiłem. Pijaństwo to całkiem dobra rzecz. Po prostu, no wiesz, część naszego życia. Podobnie jak dzieci. Będziemy musieli dawać im dobry przykład.

- Zgadza się - powiedziałam.

- Zgadza się - powtórzył Peter cicho i wyprostował się. -No dobrze, dziel i rządź! - zawołał i już go nie było.

Ja zaś wdałam się w rozmowę z jakimś facetem o jego domowym browarze. Moim kolejnym rozmówcą był perkusista, jednak konwersacja urwała się, gdy jego dziewczyna odebrała telefon i zaczęła płakać.

Następnie podeszła do mnie kobieta, która projektowała i tworzyła domki dla lalek na indywidualne zamówienie sławnych i bogatych. Sama też była maleńka. Wysłuchałam również zwalistego komika, rzucającego inteligentne, kąśliwe uwagi na temat cen benzyny, mody na odchudzanie i tego, jak ekszona pozbawiała go męskości, każąc mu spać w pościeli w kwiatki. Żadnemu z moich rozmówców nie miałam wiele do powiedzenia. Zastanawiałam się, dokąd poszedł Elliot, czy zostanie stałym bywalcem imprez u Helen? Czy oddałam go w jej ręce, by nigdy go już nie zobaczyć? Nigdzie nie było też Viviki w nabijanym ćwiekami skórzanym stroju. Tęskniłam za nią.

W końcu przyjęcie ucichło, a ja znalazłam się w towarzystwie Petera, Helen, Elliota, Jasona i blondyny, której imienia

nie dosłyszałam. Rozsiedliśmy się na białej sofie. Wciąż byłam spięta. Staralam się nie upuścić trzymanego na kolanach talerza z szaszłykami. Już jakiś czas temu zdecydowałam, że nie jestem w nastroju do zabawy, dlaczego więc przynajmniej się nie najeść?

Wszyscy, włącznie ze mną, byli już lekko wstawieni. Helen opowiadała historię swego ostatniego zerwania.

- Zrzędała mu mina, gdy postawiłam ultimatum. Powiedział, że za mocno naciskam. Ale on nie wie, co to znaczy presja. Nie wie, czym jest dla kobiety tykający zegar biologiczny. To dopiero presja. - Helen, w odróżnieniu od Petera, nigdy nie wspominała o dzieciach wprost - zawsze mówiła o zegarze biologicznym, jakby posiadanie dzieci stanowiło część jakiegoś wyścigu.

- Zaledwie dwa lata temu byłem zaręczony z pewną kobietą, miała na imię Claire - odezwał się Elliot. W jednej dłoni trzymał piwo, drugą pocierał kolano, jakby sprawiało mu ból.

- Myślałam, że Ellen po skończeniu studiów uciekła ze stewardem - powiedziałam.

- Byłem zaręczony z kimś innym.

- Zaraz, ale czy to nie ty mówiłaś, że małżeństwo jest barbarzyńską instytucją? Jak myślistwo?

- Owszem, niestety jestem barbarzyńcą.

Peter siedział, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem.

- Barbarzyńcą - powtórzył. - Ty? Zabawne.

Elliot nie odpowiedział. Pochylił się po prostu nad wazonem bzu i zjadł jeden z kwiatków.

- To dopiero barbarzyństwo - odezwała się Helen.

- Kwaśne jak cytryna - powiedział Elliot, żując.

Może Peter poczuł się sprowokowany. Nie wiem. Ale nagle zawarczał, zwałił się na Helen i odgryzł kawałek róży z jej bukietu. Helen wrzasnęła i uderzyła go po głowie. Peter wycofał się, zakrywając głowę ramionami, i zaczął przeżuwać różę.

- Widzieliście? - zapiszczała Helen. - Czy ktoś to widział?

Widzieliśmy wszyscy.

Wyobraziłam sobie, jak opowiem o tym Faith, gdy zadzwoni jutro, by poskarżyć się na głupotę Jasona. Właśnie to miała na myśli, mówiąc o „zachowaniu na tego rodzaju galach”. Z różyczki Helen pozostał strzep. Białe kwiatki były zgniecione. Poczułam ukłucie zazdrości. Nikt nie odgryzłby mojego bukietu. Roztaczałam aureę, która nie zachęcała do tego typu wyczynów, a może tylko tak sobie wmawiałam? Nawet mój mąż nie odważyłby się w stosunku do mnie na podobny gest.

- Czy róże są trujące? - zapytałam bez entuzjazmu.

- Nigdy nie myślałem o Peterze jako o barbarzyńcy - zwrócił się do mnie Elliot.

- Jest anesteziologiem - odparłam, skubiąc szaszłyk. - Co za różnica? -

Przyjrzałam mu się bacznie. Nie jestem pewna, czy inni ludzie uważają go za pięknego. Może w pewnym stopniu. Ale dla mnie był piękny.

Lubiłam patrzeć na jego równo układające się zmarszczki, skierowane do góry, jakby wszystkie były od śmiechu. Powiedziałam:

- Masz bardzo przylegające uszy. - Był to swego rodzaju test. Gdybym coś takiego dawno temu powiedziała do Petera, odrzekłby zapewne:

„Jesteś zabawna”, mając na myśli: „dziwnie zabawna”. Nauczyłam się nie odzywać do niego w ten sposób.

Elliot uniósł rękę i dotknął ucha.

- Zaprojektowano mnie z myślą o dużych prędkościach - odpowiedział.

Wtedy Helen złożyła ręce i nagle zrobiła się bardzo poważna.

- Co się stało? - zapytała Elliota. - Co poszło nie tak z twoją narzeczoną?

- Po jakichś dwóch latach zrozumiałem, że jestem w środku rozmowy, która już długo nie potrwa.

- Co to znaczy? - zapytała blondynka.

- Małżeństwo to rozmowa, która powinna trwać całe życie. Nie mieliśmy sobie wystarczająco dużo do powiedzenia -wyjaśnił.

- Piękna definicja małżeństwa - powiedziała Helen. - Zapisz to - poleciała mi, jakbym była jej sekretarką. Zignorowałam ją.

- Żeby rozmawiać tak długo, trzeba mieć mnóstwo tematów - powiedziałam.

- Co jest złego we wspólnym milczeniu? - dodał Peter. Podobało mi się, gdy jednoczyliśmy siły. - Wiele par czuje się ze sobą na tyle swobodnie, że nie muszą cały czas gadać.

- Lubię milczenie - odezwał się Jason. Nie był już taki radosny jak wcześniej. Właściwie wpadł w depresyjny nastrój. Wiedział, że w najbliższej przyszłości czeka go długa rozmowa i nie będzie ona przyjemna. Zainteresowanie blondynki również wygasło. Nie czytała już w jego myślach.

- Niezależnie od definicji moja. matka pragnie, bym się ożenił - powiedział Elliot.

- Nie znoszę mojej matki - rzuciła Helen i miała ku temu powody. Jej matka była alkoholiczką, która w swoim życiu poślubiła już kilku antypatycznych facetów. Zastanawiałam się niekiedy, czy tak naprawdę Helen nie chce wyjść za mąż i mieć dzieci, ponieważ boi się upodobnić do matki, i czy dlatego właśnie sabotuje własne związki. Do takiego wniosku doszłaby zapewne moja terapeutka.

- Cóż - powiedział Elliot - ja moją matkę kocham. - W tym momencie wiedziałam, że musi być bardzo pijany, by tak wy-wnętrzać się przed obcymi. - Moi rodzice mieli wspólne tematy. Warto próbować. Nie wiem, dlaczego jego słowa tak mnie poruszyły. Jakby mówił, że idealny związek jest możliwy i on ma wystarczająco dużo zuchwałości, by go odnaleźć. Wydało mi się to naiwną przechwałką, choć prawdopodobnie nie taka była jego intencja. Chciałam mu odpowiedzieć. Nie pamiętam dokładnie

co, ale miały to być ostre słowa. Coś o statystykach rozwodowych albo o tym, jak ważne jest, by każde z małżonków zachowało... no właśnie, co? Prywatność? Własne zdanie? Tematy, które należały tylko do niego (czyli trochę samotności)? Nie wiem. Zamiast tego wzięłam głęboki wdech i kawałek mięsa - chyba była to jagnięcina - zaklinował mi się w przełyku. Na początku nie zareagowałam. Rozmowa trwała dalej.

- Jaka ona była, twoja narzeczona? Tęsknisz za nią? - pytała Helen.

- Ja byłam zaręczona już dwa razy - powiedziała blondyna. A potem usłyszałam Elliota:

- Gwen? Wszystko w porządku?

Wstałam, a mój talerz spadł na podłogę. Odwróciłam się i ujrzałam swe odbicie w podłużnym lustrze nad sofą: oczy pełne łez i rękę na gardle. A więc tak to jest nie móc oddychać. Tak to jest, gdy wysiadają płuca. Tak to jest, gdy się tonie. Jak moja matka, gdy była młodą kobietą, młodszą niż ja teraz. Tak to chyba musiało wyglądać, zanim wyciągnęli mnie z samochodu, pomyślałam. Zawsze chciałam to wiedzieć, przypomnieć sobie, ale nie potrafiłam, a tu proszę bardzo.

Wtedy poczułam obejmujące mnie ramiona, kciuk wbijający mi się w żołądek, a potem szarpnięcie - zbyt delikatne. Kawałek mięsa pozostawał wciąż na swoim miejscu. Następne szarpnięcie było jednak ostre i gwałtowne. Mięso wyskoczyło z gardła i wyplułam je na podłogę. Tak po prostu. Zaczęłam kaszleć i łapać powietrze. Wyciągnęłam rękę do tyłu i chwyciłam to, co uważałam za rękaw Petera. Złapałam mocno. Wszyscy, łącznie z blondyną w butach na platformach i Jasonem, cofnęli się. Helen załopotała zwiewnymi rękawami sukienki.

- Dajcie jej wody czy coś! Jezu! Odwróciłam się i ujrzałam Elliota.

- Już w porządku - powiedział.

Nagle z drugiej strony znalazł się Peter, obejmując mnie w talii.

- Uratowałeś jej życie - zwrócił się do Elliota. Peter Stevens, potomek dwójki szczęściarzy, człowiek, którego mimo statystycznego prawdopodobieństwa omijały w życiu wszelkie tragedie, był podniecony, gdyż tym razem o włos uniknął nieszczęścia. Poklepał Elliota po plecach tak mocno, że ten niemal stracił równowagę. - To było niesamowite. Jestem twoim dłużnikiem - zawołał. - Jestem twoim dłużnikiem! Jego słowa wydały mi się dziwne. Elliot uratował mi życie. Dlaczego to Peter, jeśli w ogóle ktokolwiek, miałby być jego dłużnikiem? Zresztą o jakim długu mowa? Czy dla Elliota wystarczającą nagrodą nie było to, że ocalił mi życie? Czy ktokolwiek inny w tym pokoju uratowałby mnie, gdyby mógł?

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Faith. Potargane włosy związane miała w niedbały kucyk, ubrana była w spodnie od dresu i za duży T-shirt. W ramionach trzymała Edwarda, który nie spał i miał zaczerwienione policzki, jakby przed chwilą przestał płakać. Była tak oszałamiająco prawdziwa, że wszyscy znieruchomieli. Jason poruszył się pierwszy. Wyglądał, jakby chciał odciągnąć jej uwagę. Otworzył usta i wskazał na mnie, wciąż zgiętą w pół i usiłującą złapać oddech. Ale doszedł chyba do wniosku, że to tylko pogorszy sprawę. Wstał, lekko się uklonił i sponiewierany jak mój bukiet ruszył do drzwi. Faith wpatrywała się w nas z wściekłością, i nie bez powodu. Nikt do niej nie zadzwonił. Nikt nie odesłał go do domu. Wszyscy byliśmy winni.

Nie powiedziała jednak ani słowa. Podała Edwarda mężowi. Jason wyszedł, a Faith jeszcze raz obrzuciła nas wszystkich morderczym spojrzeniem i trzasnęła drzwiami.

ROZDZIAŁ 6

Co pamiętam z reszty wieczoru? Zaczęło się od naszej trójki - Elliota, Petera i mnie - na balkonie Helen, wśród wypalonych świeczek, z których pozostały zaledwie woskowe kadłubki. Widzę nas zawieszonych w zadymionym powietrzu. Wydawało się, jakby balkon stał się klatką, w której tkwiliśmy uwięzieni. To tam zawarliśmy nasz kruchy pakt. Stało się to w dużej mierze za sprawą Helen, która, pojawiając się obok nas, zainicjowała bieg zdarzeń. Ale zapoczątkowany przez nią dziwny łańcuch wypadków wymagał udziału każdego z nas, byśmy jako grupa odbyli meandryczną podróż z punktu X do punktu Y. Nie mogliśmy wówczas przewidzieć, jak ten moment zmieni życie każdego z nas. Jednocześnie, choć pijani i niepewni, co się dzieje wokół, musieliśmy przeczuwać, że zabrnęliśmy na nieznane terytorium.

Po tym, jak prawie umarłam, postanowiłam upić się jeszcze bardziej. Elliot i Peter wiernie mi sekundowali. Siedzieli na krzesłach z kutego żelaza, ja zaś stałam przy balustradzie. Z balkonu roztaczał się widok na część przystani. Gdy się wychylałam, czułam się jak na dziobie statku. Było mi gorąco i kręciło mi się w głowie. Jedyne delikatne podmuchy wiatru trzy-

mały mnie w pionie. Odległe światła odbijały się od powierzchni wody. Obserwując migoczącą taflę, zamknęłam najpierw jedno, potem drugie oko.

Helen krzątała się po mieszkaniu, sprzątajac. W środku zostało jeszcze trzech zbłąkanych gości. Znaleźli się w sytuacji patowej i teraz każdy z nich usiłował zdobyć Helen, odmawiając pójścia do domu. Klasyczny ruch. Upór często wygrywa z urokiem. Peter również ich zauważył.

- Zachowują się jak dzicy lokatorzy. Mogliby dać spokój i zabrać manatki.

- A my jak dotrzemy do domu? - zapytałam.

- Wciąż mogę prowadzić - odrzekł Peter, szczypiąc się w nos, prostując plecy i wciągając brzuch, jakby w ten sposób chciał dowieść swojej trzeźwości. - Dobrze się czuję. - Przez chwilę pomyślałam o doktorze Fogelmanie, który mógłby powiedzieć coś takiego pod koniec długiego przyjęcia, na co Ginny Fogel-man odparłaby: „Och, proszę cię, chcesz kogoś zabić i spędzić resztę życia w więzieniu?”, pod nosem dodając: „ty stary pierniku”. Nagle balkon wydał mi się ciężką, ciasną klatką.

- Zadzwoń po taksówkę - powiedział Elliot. Nie ruszył się jednak z miejsca.

- Czekaj - odezwał się Peter. - Musimy jakoś to rozwiązać.

- O co chodzi? - zapytał Elliot.

- Jestem twoim dłużnikiem - odparł Peter. - Uratowałeś Gwen życie.

Rozzłościło mnie, że do tego wrócił. Peter czasem, gdy do czegoś się przyczepi, nie odpuszcza. Gdy był dzieckiem, rodzice pewnie chwalili go z tego powodu - jak za wszystko inne - nazywając to wytrwałością w dążeniu do celu, mnie jednak nasuwało się czasami określenie „obsesja”. Tym razem zachowanie Petera wydało mi się żalosną próbą wykonania efektownego gestu.

- Po prostu udławiłam się szaszłykiem - odezwałam się, wciąż wpatrzona w przystań. - Nie musimy robić z tego afery.

- Myślę, że odwdzięczać się za uratowanie komuś życia można gdzieś w Indiach... nie tu - powiedział Elliot.
- Chcę wiedzieć, czego Elliot pragnie - upierał się Peter. - Możemy przynajmniej o tym porozmawiać. Czy jest coś złego w rozmowie? - Mówiąc to, przybrał agresywny ton, a gdy się zorientował, roześmiał się, usiłując obrócić to w żart. Lecz jego śmiech był zbyt głośny.
- Dobrze - powiedziałam, odwracając się szybko. Sylwetka Elliota przez chwilę była zamazana, potem odzyskała ostrość. Powoli zaczynałam rozumieć, że prawdopodobnie niedługo będę wymiotować. Spociłam się.
- Czego chcesz, Hull? Czego naprawdę chcesz?
Elliot spojrzał na mnie, a potem w dal, na wieżowce i wąski pasek przystani.
- Niczego - odrzekł, wzruszając ramionami.
- Ale poważnie - powiedział Peter. - Musi być coś, czego pragniesz. - Czy starał się go sprowokować? - Każdy czegoś chce. To pytanie filozoficzne, twoja działka.
- A jaka jest twoja działka? - zapytał Elliot. - Czym się zajmujesz, bo nie pamiętam?
- Anestezjologią - odparł Peter. - Znieczulam ludzi. Wprowadzam w błogi stan.
- Ach - odpowiedział Elliot. - Odrętwienie.
- Zmieniasz temat. Czego chcesz? - powtórzył pytanie Peter. W tym momencie już naprawdę się zdenerwowałam.
- To nie jest pytanie filozoficzne - wtrąciłam się - tylko osobiste. Czego pragniemy, czego się boimy. To najbardziej osobiste pytanie ze wszystkich. Elliot nie musi odpowiadać. To jego sprawa.
- A ty odpowiedziałabyś na moim miejscu? - zapytał Elliot.
- Nie wiem. Czego pragnę? W tej chwili? - Zastanowiłam się. - Tego, co wszyscy.
- Czyli? - zapytał Peter.
- Poczuc się całością.

Elliot spojrzał na mnie lekko oszołomiony. Zaskoczyłam go, choć nie do końca wiedziałam czym. Wciąż wpatrywał się we mnie, gdy Peter zaczął mówić o marzeniach ogółu - dwu-dziesiętprocentowych podwyżkach pensji, bogactwie, szczupłej figurze, sławie.

Gdy Peter skończył swą litanie pragnień przeciętnego mieszkańca Ameryki, Elliot powiedział:

- OK. Chcecie intymnej odpowiedzi. Prawdy. Czego pragnę? - Nagle zaczął brać wyzwanie poważnie. Postukał się palcami po udach. - Naprawdę chcecie wiedzieć?

Pokiwałam głową.

- Chcę - powiedział Peter. - Naprawdę chcę.

- Moja matka jest chora. Leży w łóżku w domku nad jeziorem, musi brać morfinę, nic już nie można zrobić i...

- Morfinę? - powtórzył Peter, zerkając na mnie zaskoczony, że rozmowa przybrała poważny ton. - Czekaj. Kto bierze morfinę?

- Moja matka umiera - stwierdził Elliot rzeczowo i znów potarł kolano.

Czy była to jakaś stara kontuzja? Przyglądałam mu się uważnie. Chciałam zobaczyć, jak taka rozpacz wygląda z zewnątrz. Od wewnątrz znałam ją aż za dobrze. - Nic się nie da zrobić. Chyba że jesteś naukowcem od raka o krok od wynalezienia lekarstwa.

- Pracuję w marketingu - powiedziałam bezradnie.

- Myślałem, że masz dyplom anglistyki.

- Chyba to właśnie robią Angliści po studiach.

- Myślałem, że jesteś projektantką wnętrz.

- Pracuję dla projektantki wnętrz. To prawie to samo - powiedziałam. -

Przykro mi z powodu twojej matki. - Tyle zdołałam nauczyć się w dzieciństwie. Potrzebujesz, by ktoś przyjął do wiadomości, że cierpisz, i po prostu powiedział, że mu przykro. Nic więcej. Byle powiedział, że mu przykro, szczerze skinał głową. Jedna osoba okazująca drugiej swoje człowieczeństwo.

Helen weszła na balkon, zbierając porzucone szklanki po ponczu i butelki po piwie.

- Helen - odezwał się Peter. - Matka Elliota umiera.

Był niemożliwy. Na tyle nieprzywykły do nieszczęścia, że podobne sytuacje powodowały, że nie miał pojęcia, jak się zachować. Wiedział wprawdzie, że moja matka umarła, ale chyba nigdy do końca nie przyjął do wiadomości, że kiedyś żyła, dlatego niecierpliwiła go rozpacz mojego ojca, i moja również. Pozwalał nam ją ukrywać, a my byliśmy w tym dobrzy. Nie wiedział nawet, że w chwili wypadku byłam w samochodzie i jakimś cudem ocalałam. - Czy to nie straszne? - zadał to pytanie takim tonem, jakby naprawdę nie był pewny i oczekiwał odpowiedzi. Czy to nie było straszne? Chyba było, prawda?

Helen przystanąła.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała i musnęła dłonią włosy Elliota, jakby udzielała mu błogosławieństwa.

Elliot skinął głową i spojrzał na własne dłonie. Trzech dzikich lokatorów siedziało beczynnie w mieszkaniu, rozmawiali teraz ze sobą jak obcy ludzie czekający na autobus i przez minutę słychać było tylko ich głosy. Wiele razy wracałam pamięcią do tamtej chwili, gdy Elliot odchylił się na krześle i, mrużąc oczy, popatrzył w niebo. Pocierał równocześnie głowę rękami, jakby był zmartwiony lub zniesmaczony. Czy wiedział, do czego zmierza ta rozmowa? Czy zawahał się przez chwilę? Czy w tym momencie wiedział, o co naprawdę chce zapytać i co ma nadzieję przez to uzyskać? Czy po prostu zwierzał nam się, pijany, na balkonie, wśród wygasających odgłosów przyjęcia? Nie sądzę, żeby miało to znaczenie. W końcu każde z nas musiało odegrać swoją rolę w tej rozmowie, by przebyć drogę z punktu X do punktu Y.

- Podczas ostatniej wizyty powiedziałem jej, że się ożeniłem - ciągnął Elliot.

- Że się ożeniłeś? - powtórzyła Helen z dezaprobatą.

- Okłamałeś matkę na łożu śmierci? - nie wierzył Peter. Cała ta rozmowa przypomniła mi o mojej matce. To szczęście, pomyślałam, mieć matkę na łożu śmierci, mieć okazję ją okłamać.

- Była nieprzytomna, odurzona morfiną - wyjaśnił Elliot tonem nie tyle obronnym, co rzeczowym. - Czasem wpada w takie stany, rozmawia wtedy ze swoją zmarłą siostrą.

- Ale czemu jej powiedziałaś, że się ożeniłeś? - spytałam. - To znaczy, czy nie zdenerwowało ją to, że nie została zaproszona na ślub, że ożeniłeś się z kimś, kogo nigdy nie poznała?

- Małżeństwo! - zawołała Helen. - Lepiej było jej powiedzieć, że masz gangrenę i utną ci nogę! - A potem szeptem dodała: - Małżeństwo zabija, kawałek po kawałku. Nie wiedziałeś o tym? - Helen uwielbiała dyskredytować instytucję małżeństwa w obecności małżeństw. To była jej mała, słodka zemsta

- Cóż, była w tym stanie i nagle zaczęła powtarzać, że nie mam żony, że nie będzie miał się mną kto zająć i ja nie będę miał nikogo, kim mógłbym się zająć. Coraz bardziej się nakręcała. W końcu poddałem się i skłamałem. Powiedziałem, że spotkałem kogoś i że była to szybka decyzja, jak za dawnych czasów.

- Kiedyś ludzie tak robili - potwierdził Peter. - Poznawali się i za dwa tygodnie byli już małżeństwem.

- Bo nie mogli uprawiać seksu przed ślubem - powiedziała Helen. - Na ich miejscu zrobiłbyś to samo. A wam ile zajęło podjęcie decyzji?

- Trzy lata - odrzekł Peter. - Nasz mały kawałek nieba! - Był to nasz stary prywatny dowcip. Kiedyś podczas dwudziestej rocznicy ślubu pewnej pary w ten właśnie sposób jubilat określał swe małżeństwo, powtarzał to w kółko, toast za toastem, rozmowa za rozmową. Pod koniec wieczoru te słowa brzmiały jak wyrok. Peter i ja zaczęliśmy używać tego zwro-

tu na określenie przeróżnych rzeczy: zebrań biurowych, ćwiczeń na siłowni czy wypraw do spożywczaka, nigdy jednak w kontekście naszego związku, więc poczułam się, jakby złamał jakąś ważną zasadę.

- Moi rodzice pobrali się ot tak - powiedział Elliot. - Kilka tygodni po tym, jak się poznali. Matka szanuje takie decyzje, mimo że się w końcu rozwiedli. - Wszyscy patrzyli już tylko na niego i nagle zdał sobie z tego sprawę. - Nie wiem, czemu to powiedziałem. To był jakiś dziwny impuls.

- Wzruszył ramionami. - Nie sądziłem, że będzie pamiętać, gdy się uspokoi, ale ona nie zapomniała.

- I co teraz? - spytała Helen.

- Teraz, oczywiście, chce przed śmiercią poznać moją żonę - odrzekł Elliot, jakby nagle zdumiony sytuacją, w której się znalazł.

- Cóż za poplątana sieć - powiedziała Helen. - No, no...

- Gdybyś ją poznała, zrozumiałabyś - odparł Elliot. - Jest w niej siła. Nieujarzmiona siła.

- Rozumiem takie matki - powiedziała Helen, drapiąc się po nadgarstku z lekką złością.

- Nieujarzmione jak fale - wtrąciłam.

- Jak tsunami - dodał Elliot.

Helen odwróciła się do Elliota i spojrzała mu prosto w oczy, przybierając postawę prawniczki.

- A więc potrzebujesz żony - podsumowała.

- Zadzwoń dzisiaj do mnie siostra, powiedziała, żebym lepiej jakąś przyprowadził albo będzie źle.

' - Źle, czyli?...

- Nie chcę wkurzać matki na łożu śmierci - odrzekł Elliot. - Nawiedzałyby mnie przez resztę życia. - Miał to być żart, lecz w jego głosie zabrzmiała ponura nuta, której nie dało się zignorować.

- Jednak jest coś, czego pragniesz - powiedział Peter. - Żony, przynajmniej na jakiś czas.

- Nie, nie - zachnął się Elliot. - Nie wiem, co zrobię. Ale nie potrzebuję żony.

- Spytaliśmy, czego chcesz - upierał się Peter - i właśnie o tym powiedziałaś.

- To nie tak. - Elliot odwrócił się do mnie. - Prawda? -A potem sam sobie odpowiedział: - Nie, nie, to nie było tak.

- Oświadczysz się wreszcie? - spytał Peter, po czym złapał Helen za ramiona i ustawił przed sobą. - Helen, Elliot ci się oświadczy!

- Nie, nie - powtórzył Elliot, zdenerwowany i speszony.

- Tyle razy byłaś czyjąś druhną, teraz masz swoją szansę -powiedział Peter.

- Och, wsadź ją sobie w dupę - odparła Helen, strząsając jego dłonie.

- No dalej! - nie poddawał się Peter. - Będziecie uroczą parą! Pani i pan Hull!

Pragnęłam powiedzieć Peterowi, by przestał, nie odezwałam się jednak. Podobało mi się, że widzę Elliota w tak niepewnym położeniu i w tym akurat momencie zapagnęłam trzymać stronę Petera. Po alkoholu wychodził z niego dorastający chłopiec znęcający się nad słabszymi kolegami.

- Nie ma potrzeby uciekać się do takich środków - powiedział Elliot. Ale wtedy Helen przemówiła przebiegłym tonem.

- Potrzebujesz żony na niby. Robisz to dla matki. Chwalebny czyn. - Odwróciła się do mnie. - Gwen, to ty powinnaś zostać jego żoną na niby.

I wtedy wszystko się zaczęło. Elliot zerknął na mnie. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie. Teraz, wspominając to, wyobrażam sobie, że musiał być przerażony. Ja byłam. Poczułam się obnażona, choć nikt przecież nie wiedział, że część mnie pragnęła się dowiedzieć, jak wyglądałoby moje życie z Elliotem, nikt zresztą nie mógł mnie o to oskarżyć, bo przecież cały czas protestowałam. Może on również był prze-

rażony, dlatego że od początku tego pragnął i miał nadzieję, że rozmowa tak właśnie się skończy.

- Czemu ja? - spytałam.

- Bo ja mam dosyć udawania z facetami - odparła Helen, i była to prawda. Nie pierwszy raz o tym mówiła. „Udawanie”, tak nazywała randki. - Poza tym tobie w końcu, nie mnie, uratował życie. Prawda, Peter?

- Zgadza się! - zawołał Peter. Wcale nie pragnął wycofać się z pomysłu. Wręcz przeciwnie, zapalił się do niego. - Wszystko się zgadza. To takie, no nie wiem, europejskie. - Miał całą teorię o Europejczykach (zwłaszcza Francuzach) i ich nowoczesnych definicjach małżeństwa. Wkurzało mnie, gdy wygłaszał ją publicznie, zazwyczaj po alkoholu, ale on zawsze odczytywał gniew w moich oczach jako coś innego... pożądanie?

- Możemy również kupić mu butelkę szampana i będziemy kwita - powiedziałam.

- Co? - Głos Helen stał się lekko piskliwy. - Czyżbyś nie wierzyła w swoje małżeństwo? Zrozumiałabym, jeśli Peter miałby coś przeciwko. Ale ty? Naprawdę myślisz, że Elliot może być dla was zagrożeniem?

- Hej - powiedział Elliot. - Jesteś niemiła. Myślałem, że mnie lubi - zwrócił się do mnie.

- Wierzę w swoje małżeństwo - powiedziałam, bacznie przyglądając się mężowi.

- Cóż, skoro tak... - powiedział Peter. - Nie bądźmy drob-nomieszczkańscy. - „Drobnomieszczkański” było jednym z ulubionych określeń Helen. Okropnie zabrzmiało w jego ustach. -Co ty na to, Gwen?

Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na mnie.

- Nie jestem samochodem do wynajęcia - powiedziałam.

- Nie jest samochodem do wynajęcia - powtórzył szybko Elliot, jak gdyby to załatwiało sprawę. Najwyraźniej pragnął mi przyjść z odsieczą, lecz ja nie byłam pewna, czy podoba mi się, że zrobił to tak szybko.

Helen westchnęła głośno.

- W porządku - powiedział Peter. - Gwen nie jest osobą, która zrobiłaby coś takiego. I to jest komplement. Jest zbyt... -Umilkł, być może zastanawiając się, jakiego słowa użyć.

- Zbyt jaka? - zapytałam" Nie byłam wcale taka pewna, że to komplement. Czy bycie zbyt jakimś może w ogóle być godne pochwały?

- No właśnie - poparła mnie Helen. - Jaka jest? Ale Peter nie musiał odpowiadać.

- Słuchajcie. Nie potrzebuję żony - odezwał się Elliot. -Muszę wziąć się w garść i powiedzieć matce prawdę. - Czy jednak naprawdę tego chciał? Jeśli tak, to po co w ogóle zaczął tę rozmowę?

- Gwen jest wspaniałą żoną - powiedziała Helen. - Najwspanialszą na świecie. Powinna mieć to napisane na koszulce. Masz koszulkę z takim napisem?

- Nie - odrzekłam, urażona jej pompatycznym tonem.

- Byłaby idealną żoną na niby dla Elliota - powiedziała Helen. -

Wystarczyłby pewnie jeden weekend, prawda? Powinnaś to zrobić, Gwen. Powinnaś zostać jego żoną na niby. -Potem nieraz zastanawiałam się nad jej słowami. Dlaczego tak się upierała? Czy znała siebie wystarczająco dobrze, by rozumieć swoje pobudki? Kalkulowała czy tylko prowokowała? - To będzie przecież na niby. Nie bądź taka sztywna.

- Zgadza się! - powiedział Peter. Spojrzałam na niego i wydał mi się bardzo odległy, tym bardziej że zamiast mówić normalnie, krzyczał teraz, jakby był na plaży. - Słuchaj, ja nie mam nic przeciwko - tym razem prawie warknął. - Nie jestem sztywniakiem. Gwen może zrobić, co chce. Dla mnie to nie problem. - To był jedyny sygnał, że Peter być może miał wątpliwości. Żył w śmiertelnym strachu przed tym, że ludzie uznają go za sztywniaka. Chyba zdawał sobie sprawę, że nim był. Był rozpaczliwie sztywny. Poza tym żywił głębokie przekonanie o sile naszego związku albo raczej o sile instytucji

małżeństwa, a najbardziej chyba o swym rodzinnym dziedzictwie nietykalności. Po pijanemu drażnił się nie tylko z innymi, ale również z samym sobą.

- Nie, nie, nie - Elliot potrząsnął głową.

Spojrzałam w dół przez balustradę i na ulicy ujrzałam parę zakochanych. Trzymając się za ręce, przebiegali pędem przez ulicę, choć wokół nie było śladu samochodu.

- Poznałam chyba kiedyś twoją matkę - zwróciłam się do Elliota. - Przyszła na rozdanie dyplomów. Potem było małe przyjęcie z ponczem i ciastkami.

- Naprawdę tam była? - spytał Elliot.

- Rozmawialiśmy przez chwilę - odparłam. Pamiętałam jego matkę jako kobietę, która wyglądała na kogoś, kto gra w tenisa. Miała orli nos i brwi swego syna. Rodzice Elliota rozwiedli się, gdy miał dziesięć lat. Jego ojciec zainwestował w nową rodzinę i od tego czasu właściwie ignorował syna oraz córkę Jennifer. W wieku dwudziestu jeden lat nie mogłam pojąć, jak ktokolwiek mógł porzucić matkę Elliota, była olśniewająca. Gdy jej się przedstawiłam, powiedziała: „Ach, więc to ty jesteś Gwen Merchant”, jakby słyszała o mnie mnóstwo od syna. Pamiętam, że ta uwaga sprawiła mi przyjemność, choć nie byłam pewna, czy miał to być komplement. Nie byłam już wtedy z Elliotem, a on znów spotykał się z Ellen Maddox. - Wyglądała jak członkini rodu Kennedych - powiedziałam. - Była bardziej elegancka niż pozostałe matki. - Zawsze zwracałam uwagę na matki.

- Gwen, powinnaś to zrobić - szepnęła Helen natarczywie.

Naprawdę chciałam to zrobić, byłam zaskoczona tym, jak bardzo. Chciałam być sama z Elliotem Hullem. Chciałam posłuchać, co mu się przydarzyło od czasu, gdy go znałam. Poznać jego historię i może opowiedzieć mu własną. Fantazjowałam, jak zakochuje się we mnie bez pamięci, choć ja nie chciałam odwzajemnić jego miłości. Pragnęłam być znów

tamtą świeżo upieczoną studentką, zacząć od nowa, chciałam, byśmy uścisnęli sobie dłonie i skomplementowali nawzajem swe buty, jak nam kazano. Chciałam, by jego matka powiedziała: „A oto i sławna Gwen Merchant! Znów z nami!” Pragnęłam wrócić jej życie.

- Nie co dzień ktoś ratuje cię od śmierci - odezwał się Peter. Był teraz agresywnie radosny. - A poza tym Elliot powiedział, że to domek nad jeziorem. Co jest złego w wyjeździe do domku nad jeziorem?

- Domek nad jeziorem? - powtórzyła Helen.

- Tak, ale to wariactwo. Nie powinienem był kłamać. Muszę się przyznać i tyle.

- Domek nad jeziorem - powtórzyła Helen, zwracając się do mnie. - A macie tam głowę jelenia na ścianie? Berek? Hangar na łodzie? - Nie czekała na odpowiedź. - Gwen, powinnaś pojechać.

- Już dawno chciałaś się gdzieś wyrwać - dodał Peter.

- Chciałam wyrwać się gdzieś z tobą - odrzekłam, i była to prawda. Namawiałam go na weekendowy wyjazd, ale Peter za każdym razem przekonywał mnie, by zainwestować raczej w wyposażenie domu.

- Powinnaś pojechać i dobrze się bawić. Pogadać z matką Elliota. Poopalać się. Popływać łódką - powiedziała Heleni zwróciła się do Elliota. - Macie tam łódki?

- Całą flotę - odparł Elliot rzeczowo.

- Można rzucić podkową?

- Owszem.

- A co z żółwiami błotnymi?

- Przychodzą stadami, jak bizony.

- Jestem wspaniałą żoną - powiedziałam. - Nieważne, na niby czy naprawdę.

- Jesteś wspaniałą żoną - potwierdził Peter.

- Mogłabym to zrobić dla... jak to się mówiło?...

- Jak co się mówiło? - spytała Helen.

- No wiesz, kiedy ludzie robili coś dla żartu... . - Dla draki? -
podpowiedział Elliot.

- Właśnie. Mogłabym to zrobić dla draki. - Zerknęłam na Petera i Elliota,
obaj wpatrywali się we mnie z oczekiwaniem.

Helen zaklaskała w dłonie, klap, klap, jak dama w operze.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz? - zapytała. Odwróciłam się i wpatrzyłam
w okna, w odległe światła

przystani, delikatne i rozmazane. Wiedziałam, że chcę, by było to coś
więcej niż draka, ale próbowałam udawać. Wiatr wiał coraz silniej. Moja
czarna sukienka zalopotała. Przypięty z przodu bukietek podskoczył.

- Niech będzie - powiedziałam cicho. - Zgadzam się.

ROZDZIAŁ 7

Numer „National Geographic” ze stycznia 1979 roku zawierał dodatek: cieniutką płytę w miejsce jednej z kartek. Było to nagranie śpiewu zagrożonych wyginięciem humbaków, efekt dziesięcioletniej pracy. Mój ojciec zajmował się tym projektem w jego wczesnym stadium. Był, i nadal jest, profesorem na wydziale biotechnologii Uniwersytetu Maryland, współpracował z naukowcami Nowojorskiego Towarzystwa Zoologicznego. Z udziału w badaniach nad śpiewem humbaków zrezygnował około sześciu miesięcy przed śmiercią mojej matki. Już jako mała dziewczynka nauczyłam się, że nie wolno mi o nią pytać. Ojciec opowiedział mi o niej zaledwie kilka rzeczy. Była dobrą matką. Uwielbiała owoce i warzywa. W liceum brała lekcje tańca. A przed moimi narodzinami nauczyła się robić na drutach. Kiedy nie mogła spać - a miała z tym problemy - robiła na drutach. Takie były fakty, które mi przekazał. To wszystko. Za to mogłam go pytać o pracę i gdy dorosłam, zrozumiałam, jak bardzo mój ojciec kochał humbaki. Poczuli jednak, że musi zrezygnować z projektu. Zbyt wiele czasu spędzał na

statkach. Tęsknił za rodziną. Powiedział kiedyś: „Byłem potrzebny w domu”.

Pani Fogelman, która słabo знаła moją matkę - mam wrażenie, że trudno było ją poznać - przez te wszystkie lata udzieliła mi nieco informacji. Nie wiedziała właściwie nic o samym wypadku albo nie chciała się przyznać, że wie. Powiedziała mi, że gdy matka zginęła, ojciec pozostał niewzruszony. Nie płakał. Był silny. Przetrwał pogrzeb niczym niezatapialny tankowiec.

Żal dopadł go później.

W 1979, gdy wyszedł numer „National Geographic” z nagraniem śpiewu humbaków, miałam sześć lat. Było to rok po śmierci matki. Ojciec odtwarzał płytę w kółko - dom pełen był jęków i westchnień. Przez kilka miesięcy czułam się, jakbym mieszkała na dnie oceanu. Pamiętam też, że ojciec poruszał się po domu w zwolnionym tempie, jakby płynął przez życie. W końcu zaczął rozpaczać.

Pani Fogelman mówiła: „Gdy byłaś w szkole, miał czas dla siebie. Przystawał się pilnować i uderzała go rozpacz. Ale jest silnym człowiekiem. Nie smucił się długo”.

Nie zgadzałam się z tą opinią. Mój ojciec nauczył się oddawać smutkowi po cichu, jednak pograżył się w nim już na zawsze.

Moje dzieciństwo było samotne. Wypełniały je samotne drugie śniadania w brązowych torebkach, samotne pamiętniki, samotne owady w samotnych słoikach, samotne lalki Barbie. Samotne dołki kopane na samotnych plażach, samotne aparaty na zęby, samotna ręka w gipsie. Samotne lekcje gry na klarncie, samotne rowery, samotne płatki śniadaniowe sypane do samotnych misek. Tak to pamiętam. Samotność, samotność, samotność.

Samotność, o której pozwalały tylko czasem zapomnieć kobiety z okolicy - nauczycielki, opiekunki w świetlicy - żałowały mnie. Pozwalałam im na to, choć nie była to miłość,

lecz litość. Inne dzieci traktowały mnie jak zdeformowaną świętą albo jeszcze gorzej, jak figurę zdeformowanej świętej. Im również na to pozwalałam, ponieważ jako dziecko nie wiedziałam chyba, jak być z ludźmi. Mój ojciec ich unikał i ja robiłam podobnie. Jakbyśmy zawarli pakt, by wspólnie chronić swoją stratę przed innymi, zachować ją tylko dla siebie. Ojciec zdecydowanie nie chciał rozstać się ze swoim bólem. Zdawać by się mogło, że w domu ojciec i ja cierpieliśmy razem. Ale tak naprawdę on z trudem mógł na mnie patrzeć. Kochał mnie i nadal kocha. Tego jestem pewna. Ale wyglądałam jak matka ze swoją drobną twarzą, zielonymi oczami i ciemnymi włosami okalającymi policzki. Mogłam upinać je do woli, i tak zawsze wymykały się i wracały na swoje miejsce. Zawsze.

Przyzwyczałam się do kochających zerknięć, miłości trzymanej w rezerwie, miłości podszytej lękiem przed miłością.

A jak w tę definicję miłości wpisywał się Elliot Hull? Źle.

Po tamtym dniu, gdy położył się obok mnie na kocu na trawie i wyznał, że wybrałam nie tę dziewczynę i zamiast Ellen Maddox powinnam była wybrać dla niego siebie, spędzaliśmy cały czas razem. Wynajmowaliśmy rakiety i graliśmy w squ-asha. Odprowadzaliśmy się nawzajem na zajęcia. Spotykaliśmy się w jednej z sal konferencyjnych w podziemiu uczelni. Na drzwiach sal zawsze przyklejone były karteczki z rezerwacją. Przykleiliśmy więc własną, z napisem: „Zarezerwowane na spotkanie Klubu Perwersji Stowarzyszenia Studentów Albańskich” i kochaliśmy się na stojąco, oparci o tablicę. Noce spędzaliśmy na przemian to w jego, to w moim akademiku, starając się nie wkurzyć zbyt wielu naszych współlokatorów. Gotowałam mu obiady według przepisów ojca oraz jednego przepisu stworzonego samodzielnie - na pieczonego kurczaka w panierce z płatków Cheerios. Rzadko gdzieś wychodzili-

śmy. Uczyliśmy się do późna w nocy, leżąc obok siebie na piętrowym łóżku, a pewnego wieczoru wykąпалиśmy się razem, pozwalając, by woda wylała się z wanny i spowodowała miniaturową powódź w pokoju piętro niżej.

Tej miłości było dla mnie za wiele. Czułam się, jakby mnie ktoś dusił, gdy Elliot wpatrywał się we mnie badawczo, patrzył, jak się ubieram, układał o mnie piosenki. Jedną z jego ulubionych była o jego miłości do mnie przypominającej ocean. Była piękna, ale nie mogłam jej znieść.

Zakrywałam uszy za każdym razem, gdy zaczynał śpiewać, a jednocześnie chłonełam każde słowo, upajałam się każdym dźwiękiem. Tamtej wiosny kąpaliśmy się w uniwersyteckim basenie, mimo że było zimno. Mieliśmy sine usta. Pamiętam, że próbował nauczyć mnie pływać, aż w końcu poddał się. „Jesteś zbyt niespokojną istotą, by utrzymać się na powierzchni”, powiedział. Pozostałam więc przy swoim połamanym stylu, polegającym na desperackim wymachiwaniu rękami, rozpaczliwym kopaniu i sporadycznych oddechach. „Za bardzo się starasz - mówił Elliot. - Jezu, po prostu się rozluźnij. Czego tak się boisz?”

Odpowiedziałam mu wtedy, stojąc półtora metra od metalowej drabinki. Wokół nie było nikogo oprócz kilkorga zapalonych miłośników treningu pływackiego w gumowych czepkach. Powiedziałam mu, że moja matka utonęła. „A może zabiło ją uderzenie o powierzchnię wody, nie wiem”. W moim rodzinnym miasteczku wszyscy wiedzieli, nie musiałam więc nigdy nic wyjaśniać. Gdy pojawiał się nowy mieszkaniec, dowiadywał się od sąsiadów. A kiedy przyjechałam do college'u, byłam tak szczęśliwa, że już mnie nie definiuje ta historia, iż postanowiłam nikomu jej nie opowiadać. Kilka razy, gdy temat pojawił się w jakiejś rozmowie, wspominałam tylko, że moja matka zmarła, kiedy byłam mała. „Nawet jej nie pamiętam!” - dodawałam. Nie byłam przyzwyczajona do opowiadania o tym, nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak mało wiem o wypadku.

Elliot zaczął zadawać mi pytania.

- Czy to przez pijanego kierowcę?

- Nie sądzę.

- Czy ten most był niedaleko twego domu?

- Jakaś godzinę drogi na północ. Nigdy go nie widziałam.

- Nie wiesz, który to był most?

- Nie. Co za różnica?

- No, nie wiem, po prostu ja byłbym ciekawy. Chciałbym go zobaczyć.

Może kiedyś byłam ciekawa. Ale jak mogłabym prosić ojca, żeby mnie tam zabrał? Nie miałam tak naprawdę kogo poprosić ani nie było odpowiedniego momentu, dałam więc spokój.

- Czy twoja matka była sama w samochodzie? - zapytał Elliot.

- Nie chcę o tym mówić.

- Ale powinnaś.

Pamiętam, że chciałam rzucić się w stronę drabinki, on jednak złapał mnie i przyciągnął do siebie.

- Nie mów mi, co powinnam - powiedziałam i rozplakałam się.

- Dobrze - odrzekł. - W takim razie pamiętaj, że możesz o tym rozmawiać.

Powiesz, jeśli zechcesz, kiedykolwiek zechcesz.

Przez to rozplakałam się jeszcze bardziej i nie wiem, jak długo tam staliśmy, ale zdawało mi się, że minęły wieki. W końcu zaczęłam trząść się z zimna. Wyszliśmy z basenu. Elliot owinał mnie ręcznikiem.

Wspólnym, przynieśliśmy tylko jeden.

Nasz związek trwał zaledwie trzy tygodnie. Skończył się nagle, w tamtym barze. Pamiętam tylko, że przed wyjściem pokłóciliśmy się i w barze oboje piliśmy. Klóciliśmy się o jakąś głupotę, a potem on powiedział coś, stojąc pod sznurem świątecznych lampek. Powiedział coś, co przypomniało mi o matce

i ojcu, coś prowokacyjnego, coś, co wydało mi się niebezpieczne. Mogłam mu przebaczyć. Mogłam, bez trudu, ale bałam się. Dzwonił do mnie następnego dnia. Zostawił kilka wiadomości - długich i nieskładnych, krótkich i gniewnych, i znów długich, i rozwlekłych. Chciałam, żeby przestał.

W końcu rzeczywiście dał za wygraną. W pewnym sensie mi ulżyło. Powiedziałam sobie, że tak będzie lepiej. Elliot Hull - to było zbyt wiele. Zbliżało się rozdanie dyplomów. Doszły mnie słuchy, że Elliot znów zaczął się spotykać z Ellen, że się jej oświadczył, a ona powiedziała „tak”. Spotkałam jego matkę na przyjęciu z ciastkami i ponczem. Powitała mnie słowami: „A więc to ty jesteś Gwen Merchant”.

A potem podszedł Elliot i wręczył jej papierowy kubek z jakimś różowym napojem. Byliśmy już wtedy serdecznymi znajomymi.

Życzyliśmy sobie nawzajem szczęścia.

Peter wydał mi się atrakcyjny, ponieważ nie rzucał mi swej miłości w twarz. Dlatego się w nim zakochałam. Miłość go nie przepełniała.

Wydzielał mi ją w porcjach. Miłość nie była oceanem - dozował ją w małych dawkach.

Czy winię go za to?

Nie.

Czy winię go za inne rzeczy?

Owszem. Za wiele brzydkich komplikacji.

Nie chowam jednak urazy za reglamentowaną miłość. Gdy się poznaliśmy, było to dla mnie idealne rozwiązanie. Więcej bym nie zniosła.

Później zaś, gdy zrozumiałam, że mi to nie wystarczy, uznałam, że zbyt wiele od niego wymagam. Zgodziłam się na uczucie w limitowanych porcjach. Poza tym prawda była taka, że zdalibyśmy każdy egzamin małżeński - od badania

w gabinecie psychologa do psychotestu w „Cosmo”. Rozśmieszaliśmy się nawzajem. Regularnie uprawialiśmy seks i zawsze było nam dobrze. Lubiliśmy te same potrawy, komplementowaliśmy swoje fryzury i flirtowaliśmy wystarczająco często, by wszystko się kręciło. Nigdy umyślnie nie upokarzaliśmy się nawzajem. Również na papierze pasowaliśmy do siebie. Oboje skończyliśmy studia i choć ja miałam problemy ze znalezieniem właściwej pracy, on zawsze mnie wspierał. Zdarzało nam się kończyć nawzajem swoje zdania - raz ja, raz on, żeby było sprawiedliwie. Nie sprzeczaaliśmy się publicznie, w ogóle bardzo rzadko nam się to zdarzało. Nigdy nie urządzaaliśmy awantur, nie jesteśmy krzykaczami. Oboje lubiliśmy względny porządek w domu. Żadne z nas nie było szczególnie dobrym tancerzem. Każde z nas w miarę lubiło znajomych drugiego. Dobrze wychodziły nam wspólne zakupy. Nawet gdy nosiłam wysokie obcasy, on był ode mnie prawie cztery centymetry wyższy. Starsze małżeństwa uśmiechały się do nas w restauracjach, gdyż przypominaliśmy im szczęśliwe młodsze wersje ich samych. Wszyscy uważali, że jesteśmy uroczą parą i ładnie razem wyglądamy, gdy wchodzimy do pokoju.

Wiem, że wiele kobiet powiedziałyby: „Dość już narzekania. Ciesz się tym, co masz”. Mówiąc to, miałyby rację - i jednocześnie myliłyby się.

ROZDZIAŁ 8

Następnego ranka Peter wstał wcześniej i poszedł grać w golfa. Na lodówce znalazłam karteczkę:

G.,

*idę pograć w golfa z trzema chłopakami z pracy. Zastępuję rannego.
Wrócę - u; latach golfowych - akurat w porę na twoje trzydzieste piąte urodziny.*

Całuję

PS Udawanie czyjejs żony? Co myśmy sobie myśleli?

Lata golfowe to nasz stary żart. Są dłuższe niż lata psie i lata
Poniedziałkowego Meczu razem wzięte. Nigdy nie grałam, nie rozumiem
więc, jak golf może mieć tak wolne tempo i mimo to mienić się sportem.
Podobno Peter jest bardzo dobrym golfistą. Mogłoby z tego wynikać, że
jest szybszy od innych, ale nie, nie na tym polega gra. Pomyślałam, że jak
znam Petera - a trochę jednak go znam - to użył golfowego żartu dla
zrównoważenia dwóch komunikatów: że nie będzie go w domu przez
większość dnia i że chce się wycofać z obietnicy złożonej Elliotowi na
balkonie. Zapewne rano, po przebudzeniu, stwierdził, że był to pijacki
wygłup, zły pomysł, i chciał się upewnić, że ja uważam podobnie. Ja zaś
spędziłam rano, lecząc kaca i zastanawiając się, w jaki sposób Peter - ze
swymi nienagannymi manierami - zasugeruje, że

powinnam zrezygnować z udawania żony Elliota. I zdałam sobie sprawę, że wcale nie chcę, by mi to wyperswadował.

Była niedziela i jak zwykle w tym dniu około południa wybrałam się na lunch do ojca, sprawdzić, jak się miewa. Czasem Peter towarzyszył mi w tych pośpiesznych wizytach, ale zazwyczaj wolał zostać w domu. Ojciec zawsze pytał o niego. Nie, żeby brał do siebie to, że Peter nie przyszedł. On naprawdę pragnął jego towarzystwa, bo złagodziłoby napięcie między nami - długą historię tego, co niewypowiedziane.

Wzdłuż ulic, na których dorastałam samotnie, rosły grube, zwaliste dęby i bujne żywopłoty okalające gęste zielone trawniki. Domy były duże, ale jakby zmęczone i zużyte. Prawie wszystkie miały dachy kryte azbestem, ponieważ wybudowano je w późnych latach sześćdziesiątych. Do garaży zardzewiałymi śrubami przykręcone były stare obręcze do gry w koszykówkę. Fogelmanowie zatrudniali ogrodnika, poza tym sami traktowali pracę w ogródku jak hobby. Stojący obok dom mego ojca w porównaniu z ich domem wyglądał na zaniedbany i opuszczony. Dach wyblakł, azbestowe płyty wypaczyły się. Farba odpadała z drzwi garażu. Jedna z okiennic w oknie na górze wypadła z zawiasu i chwiała się teraz jak skrzywiona brew. Widząc taki dom, Eila zaklęłaby: „Ten dom wygląda jak kocia dupa”, po czym zadzwoniłaby do drzwi, przybierając swój lekko brytyjski, pretensjonalny akcent na potrzeby potencjalnych klientów.

Stałam nieruchomo na trawniku przed domem, gdy Lucy-Jane, cocker-spanielka Fogelmanów, przydreptała obwąchać mi buty.

Pochyliłam się i pogłaskałam ją po łepku.

- Mała Lu - powiedziałam. - Co robisz tak daleko od domu? - Była starą suczką z wilgotnymi, smutnymi oczami. Fogelmanowie nie przycięli jej ogona, kołysał się więc z tyłu na swój sposób majestatycznie.

- Lucy-Jane! - usłyszałam głos pani Fogelman, a po chwili ujrzałam ją samą, wyłaniającą się spomiędzy drzew. Miała na

sobie rękawice w kwiatki i gumową podkładkę pod kolana za pazuchą.

- Gwen! - zawołała, po czym wrzasnęła przez ramię: - Benny! Chodź się przywitać! Gwen przyjechała!

- Gwen! - krzyknął doktor Fogelman. On także pojawił się wśród gałęzi. Miał na sobie koszulę tak podobną do wczorajszej koszuli Petera, że zapragnęłam na dowód zrobić zdjęcie.

Nie widziałam Fogelmanów od kilku miesięcy, mocno się przez ten czas postarzeli. Klatka piersiowa doktora Fogelmana jakby się skurczyła, a jego brzuch przegrał walkę z grawitacją. Pani Fogelman wciąż była krzepka, lecz odrobinę bardziej zgarbiona w ramionach, jak starzejący się zapaśnik. Kochałam ich całym sercem, może dlatego, że traktowali moje wizyty jak odwiedziny przybysza z wielkiego świata.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Wasz ogródek wygląda wspaniale!

- To dzięki pracy po godzinach - wyjaśnił doktor Fogelman. - Na wszystko w życiu trzeba ciężko pracować!

Pani Fogelman rzuciła mu gniewne spojrzenie, jak gdyby była to aluzja do ich małżeństwa, a potem uśmiechnęła się do mnie.

- Wyglądasz ślicznie, jak zawsze!

- Jak zwykle! - dodał doktor Fogelman.

Wzięłam Lucy-Jane na ręce i odniosłam ją właścicielom.

- A jak się miewa mój staruszek? - zapytałam. Wiedziałam, że mają oko na ojca, i od czasu do czasu rozmawialiśmy o nim w ten sposób, z czego on zresztą zdawał sobie sprawę. W żartach nazywał nas konspiratorami.

- Nie uwierzysz, ale zaprosiłam na lunch jego i pewną samotną znajomą z kościoła. Ma na imię Louise. Jest przemiła.

- Jest w porządku - skorygował jej wypowiedź doktor Fogelman.

- Jest naprawdę miła - poprawiła go żona. - I? - zapytałam.

- I to koniec historii - odparł doktor Fogelman. - Zabroniłem Ginny się wtrącać.

- Wcale się nie wtrącałam. Zaprosiłam dwoje ludzi na obiad. Czy to jest wtrącanie się, Gwen?

- Nie, to bardzo mile. Ale pytanie brzmi: czy Louise interesuje się rybami? - odparłam.

- Nikt nie interesuje się rybami tak jak twój ojciec - rzekła pani Fogelman. Wręczyłam jej Lucy-Jane.

- W każdym razie dziękuję, że o nim pamiętacie.

- Och, proszę cię! - rzekła pani Fogelman. - To nic takiego. Jeśli mam za dużo zupy, to mu część zanoszę. To wszystko. - Zawsze zastanawiałam się, czy pani Fogelman nie kocha się odrobinę w moim ojcu. A może fascynował ją po prostu jako tragiczna postać? Smutny, romantyczny bohater?

- Zupa mu służy - stwierdził doktor Fogelman. - Słyszałem w radiu, że żonaci żyją dłużej, ale za diabła nie mogę pojąć, jak to możliwe!

Pani Fogelman uderzyła go gumową podkładką.

- Do zobaczenia - powiedziałam.

Oboje w identyczny sposób pomachali mi na pożegnanie.

Szłam przez mizerny trawnik w stronę domu, zastanawiając się, czy doktor Fogelman przeżyje mego ojca. Czy rzeczywiście chodzi o to, że żonaci mężczyźni są dobrze karmieni, czy mają po prostu z kim dzielić troski i to właśnie jest niezbędnym składnikiem długowieczności?

Weszłam, pukając do drzwi. Dom wewnątrz był równie przygnębiający, jak na zewnątrz. Parapety pokrywały prochy martwych ciem. Poduszki na zużytej kanapie ułożone były sztywno ręką wdowca, który rzadko miewa gości. Stół w jadalni był zavalony sprzętem. Ojciec słuchał tam nagrań rybich odgłosów, studiował je i robił notatki. Jego obecny projekt polegał na współpracy z biologami morskimi z całego kraju, w celu powołania Narodowego Archiwum Odgło-

sów Ryb w Bibliotece Dźwięków Naturalnych Uniwersytetu Cornell. Gdyby mój ojciec był potencjalnym klientem, Eila nalegałaby, by wyprowadził się na czas remontu i urządziłaby dom od nowa. „Inaczej się nie da! Inaczej mam związane ręce! Jak artystka ma tworzyć ze związanymi rękoma?” - zawołałaby rozgorączkowana.

Moja praca - przygotowywanie domów do sprzedaży - mimo wszystko nie była przypadkiem. Ogromnie podoba mi się idea odmiany rozpadającego się, zaniedbanego domu, przywrócenia go do zdrowia. „To wszystko psychologia. - powtarzała mi wciąż Eila. - Chcemy stworzyć dom, który powie: będziecie kochali tu swoją rodzinę i sami będziecie kochani. Chodzi nie tyle o sztukę, ile o definicję miłości”.

Zastanawiałam się czasem, jaki był nasz dom, gdy matka przywiozła mnie ze szpitala. Drzewka były jeszcze małe, widziałam je na zdjęciach. Gdy byłam młodsza, pytałam panią Fogelman, czy widywała moją matkę popychającą wózek, pracującą w ogródku, rozwieszającą nowe zasłony? Co zwykła robić? Pani Fogelman powtarzała za każdym razem to samo: „Robiła na drutach. Miałaś czapki, sweterki i kocyki. Wciąż robiła na drutach. Podchodziła do tego poważnie”. Ale ja nigdy nie widziałam w domu nic, co mogłoby być zrobione na drutach, żadnych narzut, szalików, skarpet na prezenty. Nic.

Czy moja matka dbała o ten dom, czy go kochała? Czy był on miejscem, które mówiło: będziecie tu kochać swoją rodzinę i sami będziecie kochani? Czy może już wtedy panował w nim uporczywy smutek? „Smutek jest namacalny. - mówiła do mnie Eila. - Widziałam domy tak smutne, że jedynym lekarstwem byłoby je spalić”.

W powietrzu unosił się zapach smażonych serdelków.

- Gotuję! - zawołał ojciec z kuchni. - Tu jestem!

Zawsze sam przygotowywał niedzielny lunch: potrawkę z tuńczyka, grillowany ser, rzadką pomidorówkę, paluszki

rybne, puree z torebki lub serdelki. Przy specjalnej okazji, na przykład na urodziny któregoś z nas, przyrządzał kotleciki ze smażonego łososia z puszki. Na tym kończył się jego repertuar.

Stał obok kuchenki, nacinając usmażone serdelki. Była to stara kuchenka gazowa. Tylko jedna fajerka działała automatycznie, resztę trzeba było podpalać zapalką. Ojciec garbił się lekko. To, że się starzeje, dało się poznać głównie po pochylonych ramionach i zapadniętej klatce piersiowej. Gdy mnie zobaczył, podniósł wzrok znad kuchenki i szybkim ruchem przeczesał swe rzadkie, rozwichrzone włosy, jakby w ostatnim momencie chciał doprowadzić się do ładu. Podeszłam i pocałowałam go w policzek.

- Jak się masz? - spytałam, kładąc torebkę na stole.

- Dobrze. Rano słuchałem nagrań, *Ophidion marginatum*. - Wciąż używał łacińskich nazw z nadzieją, że kiedyś się ich nauczę.

- Mów, proszę, po ludzku.

- Węgorz pasiasty. Na Cape Cod i w New Bedford robią świetną robotę, a kolega, który nad tym pracuje, ma studenta nagrywającego węgorze na Manhattanie, w samej rzece Hudson.

- Węgorze na Manhattanie. Brzmi jak produkcja off-off-off--Broadwayu.

- Do Broadwayu stamtąd daleko. Pomagam mu trochę z identyfikacją. -

Ojciec ukroił dwa plastry serdelka i położył je na kromce chleba.

Musztarda i majonez czekały już na stole. Oboje zaczęliśmy się krzątać, przygotowując kanapki. W końcu usiedliśmy nad talerzami rozłożonymi na gumowych podkładkach. Na stole stały również pikle, oliwki i kostka sera paprykowego.

- Wyglądasz na rozdrażnioną - powiedział.

- Peter i ja wpadliśmy na starego znajomego ze studiów. Za dużo wypiliśmy.

- Ach, znajomi ze studiów - odrzekł ojciec. - Moi studenci za dużo piją. Naprawdę. Musiałem ostatnio uczestniczyć

w jakimś zebraniu w sprawie pijaństwa w kampusie, jakbym mógł coś na to poradzić. - Studenci ojca mieli na niego dobry wpływ. Byli jego okienkiem na świat zewnętrzny. To dzięki nim wiedział czasami, że jakiś zespół muzyczny przyjechał do miasta, że ludzie noszą spodnie nisko na biodrach albo rozumiał pojęcia takie jak „pigulka gwałtu” czy „beer-pong”.

Zastanawiałam się, jak zacząć rozmowę na temat Elliota. Miałam ochotę opowiedzieć o nim ojcu, może nawet się zwierzyć - wyznać, że nie wiem, co mam myśleć o całej tej sprawie. Czy gdybym miała matkę, właśnie o takich rzeczach rozmawiałybyśmy ściszonymi głosami, udając, że oglądamy nowe grządki za domem?

Wiedziałam jednak, że ojcu nie mogłabym wyznać nic tak osobistego. Gdybym powiedziała, że zastanawiam się nad udawaniem żony Elliota, aby uszczęśliwić jego umierającą matkę, ojciec wziąłby pewnie duży kęs swojej kanapki z serdelkiem, pokiwał głową, a potem pośliniłby palec, by zebrać z talerza okruchy. W końcu powiedziałby może coś w stylu: „Och, nie znam się na takich sprawach”. Ale powiedziałby to zbyt późno, tak że wyglądałoby na to, iż podejmuje temat na nowo, co uczyniłoby sytuację jeszcze bardziej niezręczną, niż gdyby wcale się nie odezwał.

Elliot był jednak wykładowcą, wiedziałam, że temat środowiska akademickiego jest bezpieczny. Powiedziałam:

- Ten znajomy nazywa się Hull, Elliot Hull. Jest teraz profesorem w Johnie Hopkinsie.

- Na jakim wydziale? - zapytał ojciec.

- Filozofii.

- A, jeden z tych, co rozmyślają - powiedział. Miał na myśli, że Elliot nie jest jednym z tych, którzy działają. Mój ojciec dzielił środowisko akademickie na tych, którzy rozmyślają, i tych, którzy działają. Siebie zaliczał do tej drugiej grupy.

Lunch nie trwał długo. Mój ojciec nie wierzył w przesiadywanie nad posiłkami. Jako ten, który działa, miał zbyt wiele

do zrobienia. Ale spytał mnie, co często robił, czy chcę posłuchać mowy ryb. Czasem się zgadzałam, czasem nie mogłam znieść myśli o tym. Nieustanny szum wody, cykanie, rechoty i gruchanie brzmiały w moich uszach jak lament. Czasem było to dla mnie zbyt trudne, ponieważ udzielałam sobie koszarnej dyspensy na wyobrażanie sobie matki pod wodą.

Ale dziś nie miałam ochoty wracać do domu, do Petera, jego kijów golfowych i pomysłów na to, jak wycofać się z paktu z Elliotem Hullem. Powiedziałam:

- Posłuchajmy węgorzy.

Ojciec koncentrował się na rybach Wschodniego Wybrzeża, gdzie można było podsłuchiwać sto pięćdziesiąt gatunków. Słuchałam już w życiu stuknięć i tykania płamiaków, skrzypienia żaboryby, odgłosów waleni produkujących ściany bąbelków, by uwięzić w nich ryby, którymi się żywią. Słuchałam ryb przez całe życie - bzyczących, jęczących, chrząkających, mrujących, trąbiących, gruchających jak gołębie. Mój ojciec twierdzi, że informują się w ten sposób o drapieżnikach, że czasami bywają agresywne, kiedy indziej zaś eleganckie i zalotne. Wierzy, że miewają ataki wściekłości i gniewu, a nawet są zdolne do żalu. Kiedyś powiedział mi, że rozmawiają o tych samych sprawach co my. Miałam wtedy pewnie z dziesięć lat i wiedziałam już, że my nie mówimy chyba jednak o tych wszystkich sprawach, o których według niego rozmawiają ryby.

Ojciec włożył mi na uszy wielkie słuchawki. Na początku wszystkie dźwięki były stłumione, potem przyszedł ocean, ruch fal i w końcu - węgorze. Ich szybkie cykanie przypominało mi dźwięki wydawane przez wiewiórki. Podniosłam wzrok na ojca, który spacerował po pokoju, przystając co chwilę.

- Co o tym myślisz? - zapytał. - Dobrze brzmią, prawda? Czysto? Nie wydaje ci się, jakby były tu, w tym pokoju?

Z jakiegoś powodu jego słowa sprawiły, że zachciało mi się płakać. Zdjęłam słuchawki i odłożyłam je na stół.

- Brzmia wesoło - powiedziałam. - Jak wesołe wiewiórki.
 - Zapiszę to - odrzekł ojciec. - To dobre określenie. Patrzyłam, jak notuje w zeszycie, a potem odwróciłam wzrok na aluminiowe rozsuwane drzwi prowadzące na taras wyłożony szarymi płytami.
 - Powiedz mi.
 - Co? - zapytał.
 - Chcę, żebyś mi coś opowiedział.
 - O co chodzi? - powtórzył, tym razem zaniepokojony.
 - Cokolwiek. Opowiedz mi o niej cokolwiek. Znieruchomiał, zrozumiał, że chodzi mi o matkę.
 - Już dużo ci opowiedziałem.
 - To ja coś ci powiem - rzekłam, wciąż wpatrzona w drzwi. - W dzieciństwie bałam się, że ponieważ umarła, gdy byłam mała, nie rozpozna mnie w niebie i nigdy się nie spotkamy.
 - Nie sądziłem, że wierzyłaś w niebo.
 - Wiem, wiem. Nie uczyłeś mnie wiary w takie rzeczy, ale ja i tak bałam się tego przez długi czas.
 - Trzeba było mi powiedzieć.
 - Nie, ponieważ ty dałbyś mi tylko garść dowodów naukowych na nieistnienie nieba.
- Zastanowił się przez chwilę.
- Przepraszam - powiedział w końcu. - Pewnie masz rację.
 - Teraz ty mi coś powiedz. - Myślałam o Elliocie, o tym, jak poznałam go wtedy, pierwszego dnia studiów, o jego ocenie moich butów, o tym, jak podniósł Ellen Maddox i obrócił się z nią wkoło, jak tamtej wiosny położył się obok mnie na kocu, na trawie. Jaka była historia moich rodziców? Właściwie wcale jej nie znałam. Wróciłam myślami do stwierdzenia Elliota, że małżeństwo to rozmowa, która powinna trwać całe życie. Czy rozmowa moich rodziców trwałaby, gdyby nie została przerwana tak wcześnie? Nie wiedziałam nawet, jak się zaczęła.
 - Jak się poznaliście? - spytałam.

- Na tańcach - odrzekł ojciec. - Ludzie często poznają się na tańcach. Przecież już ci opowiadałem.

- Nie, nie wiedziałam o tym. Co grali, gdy poprosiłeś ją do tańca?

- Nie poprosiłem twojej matki do tańca - powiedział. - Nie umiem tańczyć.

- To co zrobiłeś? - Spojrzałam na niego.

Podniósł słuchawki ze stołu. Przez chwilę bałam się, że usiądzie i je założy. Nie zrobił tego. Po prostu trzymał je w dłoni.

- Poprosiłem ją, żeby wyszła. Ze mną. Usiadłam w szczycie stołu.

- To romantyczne - powiedziałam.

- Twoja matka była romantyczką - odrzekł. - Spodobało jej się to.

- Ty jej się spodobałeś. Skinął głową.

- To było jak spadanie w przepaść. Cudowne i straszne zarazem.

Zmusiłam się, by zadać mu kolejne pytanie.

- Czy tak właśnie się czułeś pod koniec, tuż przed wypadkiem?

Spojrzał na mnie zszokowany, jakbym złamała jakiś kod, odkryła znaczenie zaszyfrowane w ćwierkaniu węgorki pasiastych. Poczułam się jak chłopiec z zaczarowanym ołówkiem, który narysował właśnie duży prostokąt i pojawiły się drzwi między mną a ojcem. To były otwarte drzwi.

- Tak - powiedział w końcu ojciec i pokiwał głową. - Zgadza się. -

Pociągnął za kabel od słuchawek, a potem pięściami otarł łzy.

ROZDZIAŁ 9

- Wypociłem się do ostatniej kropelki - powiedział Peter, wachając własne ramię. - Czuję się, jakby mnie ugotowali, a potem wyżęli. - Czasem jego głos przypominał głos spikera radiowego. Był donośny, głęboki, szybki, gładki i, co najgorsze, wyćwiczony. Peter siedział rozwalony na kanapie ze wzrokiem wbitym w sufit. Jego jaskrawa pasiasta koszulka polo przypominała tę, którą miał na sobie Gary, jego kolega anestezjolog spotkany przez nas w lodziarni. Buty do golfa leżały przy drzwiach. Zdążył już ściągnąć skarpetki.

Przeszłam obok niego i skierowałam się do kuchni, gdzie wkrótce zaczęłam krzątać się głośno, przepłukując ryż, by wrzucić go do garnka, i czyszcząc patelnię z resztek przypalonych lazanii. Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu o rozmowie z ojcem. W porównaniu do wszystkich poprzednich, zawsze krótkich i kruchych, ta była jak trzęsienie ziemi. Widziałam ojca płaczącego tylko raz, na rozdaniu świadectw maturalnych w mojej szkole, choć nie dostrzegłam w tym nic smutnego, naprawdę byłam gotowa opuścić mury liceum. Jednak nawet wtedy zaczął się skarżyć na kurz w auli, przeprosił i wyszedł do łazienki. Bałam się powiedzieć

Peterowi o tym, jak ojciec płakał w jadalni. Bałam się, że powie nie to, co trzeba. Jak mogło zresztą być inaczej? Nigdy nie potrafiłam w pełni wyjaśnić Peterowi moich stosunków z ojcem ani naszego stosunku do śmierci matki - właściwie nigdy nie próbowałam mu tego wyjaśnić. Nawet gdyby Peter powiedział coś miłego, coś w stylu: „Biedak, wciąż za nią tęskni”, te słowa rozgniewałyby mnie. I nieważne, że nie byłaby to jego wina. Nagle okazałoby się, że wspomnienie tamtej chwili z ojcem przesłania jakaś bezsensowna małżeńska sprzeczka. Zapragnęłam zachować je dla siebie. Zresztą nieodłączną częścią naszego związku było to, że każde z nas miało sekrety, własne życie wewnętrzne tylko dla siebie. Chyba nawet nie było w tym nic złego, tyle że kiedy zacznie się oddzielać swoje życie od życia drugiej osoby, nie wiadomo, kiedy przestać.

- Znalazłaś liścik? - zawołał Peter z salonu. - Przeczytałaś PS?

- Przeczytałam.

- Jezu, aleśmy się upili. Wciąż jeszcze czuć mnie kokosem - westchnął Peter.

- Nie wycofamy się z tego elegancko - powiedziałam, ze-skróbując łyżką resztki makaronu z patelni. - Dobrze o tym wiesz.

- A kto mówi o elegancji? Elegancja to pojęcie rodem z Południa. Twój rodzic wychował się w Massachusetts, moi w Connecticut. Nie musimy być eleganccy, pić napoju miętowego i nosić ubrań z gniecionej lnu, to nasze prawo wynikające z geografii.

Wyłoniłam się z kuchni, wciąż trzymając w ręku pokrytą pianą patelnię.

- Technicznie rzecz biorąc, Baltimore znajduje się poniżej, linii Masona-Dixona. Poza tym dałam mu słowo.

- Nie sądzę, żeby miało to takie znaczenie jak kiedyś. - Peter potarł bosymi stopami o dywan. Opalił się już na spo-

sób golnasty, łydki i golenie miał brązowe, stopy zaś pozostały dziewiczo białe.

- Moje słowo ma mniejsze znaczenie niż kiedyś? - Popatrzyłam na niego z ukosa.

- Wiesz, o co mi chodzi. O całą koncepcję rękonia słowem. Jest staroświecka. Właściwie odkąd zaczęła się wojna w Wietnamie... - Nie musiał kończyć myśli. Oboje znaliśmy jego przemowy dotyczące świata po Wietnamie. Według jego teorii wojna zmusiła Amerykanów do zdefiniowania na nowo literatury, polityki i samych siebie. Odkąd Peter zaczerpnął te poglądy od któregoś z profesorów na studiach, bez przerwy je powtarzał.

Oparłam się o framugę drzwi, patelnia zaczęła ciążyć mi w dłoni. Na stoliku za Peterem stała fotografia mojej matki jako młodej kobiety, jeszcze przed poznaniem mego ojca. Ubrana była jak na bal w sukienkę na cienkich ramiączkach, a w dłoni trzymała małą torebkę wyszywaną koralikami. Śmiała się do obiektywu, naprawdę się śmiała, spoglądając na kogoś lub coś obok fotografującego. Mimo leciutkiego przodozgaryzu, jej zęby były piękne, barwy kości słoniowej. Miała na sobie naszyjnik-obróżkę z małym błękitnym kamyczkiem spoczywającym w dołku pomiędzy obojczykami. Przyzwyczaiałam się już do tej fotografii i zazwyczaj nie zwracałam na nią uwagi, ale raz na jakiś czas przyciągała mój wzrok. Myślałam wówczas o matce jako o pełnej życia młodej kobiecie.

- W ogóle nie uważam rękonia słowem za koncepcję. To po prostu rękonia słowem. Czemu wszystko musi być koncepcją?

- Ale ty nie jesteś samochodem do wynajęcia - powiedział Peter z uśmiechem, zwycięsko wyciągając w górę palec. - To twoje własne słowa!

- Wiem - odrzekłam, znów zwracając się w stronę kuchni. - Ale pojedę tam.

- Do domku nad jeziorem jego matki? - Na chwilę zapadła cisza, aż w końcu Peter zapytał: - Dlaczego? Dlaczego miałabyś tam jechać?

- Myślałam, że nie jesteś sztywniakiem - powiedziałam, stając przy zlewie.

- Nie zaczynaj. Takie gierki pozostaw Helen. Poza tym uważam, że to ona cię w to wplątała.

Wycisnęłam na patelnię jeszcze trochę płynu do zmywania, odkręciłam kran i pozwoliłam, by wypełniła ją woda. Płyn spienił się. Zakręciłam kurek.

- Powiedziałam, że pojedę, i uważam, że powinnam.

- Ach, więc nie wolno już zmieniać zdania? Myślałem, że kobieta zmienną jest.

Zignorowałam tę ostatnią uwagę.

- A poza tym nie zapominaj, że to ty chciałeś, abym pojechała.

Miałam nadzieję, że przyjdzie do kuchni i przeprowadzimy tę rozmowę twarzą w twarz. Wiem, mogłam przerwać szorowanie patelni, wejść do salonu, usiąść i spojrzeć mu szczerze w oczy. Ale on tam nic nie robił poza wietrzeniem swoich bladych stóp. Poczułam wewnętrzny opór przeciw temu, by przerwać pracę w kuchni, usiąść z nim i poważnie porozmawiać. Poza tym bałam się, że to nadałoby naszej dyskusji zbyt wielki ciężar. Żadne z nas tego nie chciało.

- OK, powiedzmy, że ty nie zmieniłaś zdania, ale co, jeśli ja zmieniłem? Zanurzyłam rękę w jedwabistej pianie.

- Czy to nie trochę zbyt kobiece z twojej strony? - Już w momencie, gdy to mówiłam, poczułam się źle. Szybko dodałam: - Tam jest hangar dla łódek i żółwie, można rzucać podkową. Już dawno chciałam się gdzieś wyrwać, sam to powiedziałeś.

- Mogłabyś wyjechać gdzieś z koleżankami - odparł Peter. - Na przykład z Faith. Ona też bardzo potrzebuje wyjazdu. To byłby równie dobry uczynek, zabrać gdzieś Faith na weekend.

- Nie możesz mówić mi, co mam robić, a potem, że mam tego nie robić. W ogóle nie masz prawa mi rozkazywać. - Wsunęłam brudne talerze do przegródek zmywarki.

- Wiem o tym! - odpowiedział, jakby to było pierwsze przykazanie dobrego męża. - Po prostu nie sędzę, żeby to był najlepszy pomysł. - Zapadła dłuższa chwila ciszy. - Może jestem zazdrosny.

Wróciłam do salonu z rękoma lśniącymi od mydła.

- A jesteś zazdrosny? - spytałam.

- Może - powiedział, zakładając ręce za głowę i przeciągając się. Była to dość zuchwała pozycja. Zazdrość nie tak chyba powinna się objawiać?

- Nie wiedziałam, że kiedykolwiek bywasz zazdrosny - powiedziałam. I była to prawda. Czasami zdawało mi się, że jest to brakujący element w jego kodzie genetycznym. Wróciłam do kuchni. - Przecież to tylko na niby. O coś takiego zazdrosnym też można być tylko na niby.

- Możesz się z tego wycofać - powiedział. - Po prostu zadzwoń do Elliota i powiedz mu, że nie możesz. Że jesteś zajęta.

- Już z nim rozmawiałam - skłamałam. W rzeczywistości nie byłam nawet pewna, czy Elliot ma mój numer telefonu.

- Jak to? Dzwonił?

- Tak, i rozmawiał już z matką. - Postanowiłam najpierw wymoczyć patelnię. Wcisnęłam kubki po kawie do górnej szuflady zmywarki.

- Drań.

- Zadzwoił, kiedy grałeś w golfa - powiedziałam. - Golf zabiera dużo czasu.

Czy czułam się winna? Raczej nie. Nie miałam pewności dlaczego. Może dlatego, że jeśli kłamiemy ze złości, wydaje nam się to bardziej wyrównywaniem rachunków. A co my mieliśmy do wyrównania? Peter próbował mi rozkazywać, udając, że tego nie robi. Co gorsza uważał, że nie jestem

osobą, która mogłaby zdecydować się na coś takiego. A Helen mogła?
Wszystko jedno, nie lubię, gdy się mnie szufladkuje.

- Naprawdę zadzwonił tak szybko? - nie dowierzał Peter.

- Aha. - Wsypałam detergent do przegródek i zatrzasnęłam ciężkie drzwiczki zmywarki.

- Ale wciąż czuć mnie kokosem - powiedział bardziej do siebie niż do mnie. - Ustaliłaś datę?

- Nie, ale to na pewno będzie niedługo. - Zamknęłam kilka szafek.

- Czemu musisz się tak spieszyć? Nie ma pośpiechu! - zawołał, a ja poczułam w tej chwili przyływ miłości do niego. Jego głos już ani trochę nie przypominał głosu spikera radiowego. Był pełen emocji, może trochę po chłopięcemu jękliwy, ale szczerzy. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio brzmiał tak szczerze.

Znieruchomiałam, próbując złapać się tego uczucia miłości, ale nie mogłam. Było jak zrobione z powietrza. Wyparowało. A potem powiedziałam:

- Matka Elliota umiera. Muszę się śpieszyć. - Mocno wcisnęłam przycisk zmywarki. Kuchnię wypełnił szum wody.

- Matka Elliota jest na łożu śmierci - powtórzyłam, choć wiedziałam, że on już mnie nie słyszy.

ROZDZIAŁ 10

Elliot i ja rzeczywiście przeprowadziliśmy w końcu rozmowę telefoniczną, i to niejedną, lecz choć używaliśmy wielu słów, niewiele zdołaliśmy sobie powiedzieć. On wciąż pytał, czy na pewno nie zmieniliśmy zdania. Zapewniałam go, że nie. W kółko powtarzał, że nie muszę przyjeżdżać, że powinien zachować się jak dorosły i powiedzieć matce prawdę, że to dla niego lepsze wyjście, tak jak wtedy, gdy był mały i musiał zjeść warzywa, które wypluł wcześniej do serwetki i próbował ukryć w kanapie.

- Czegoś mnie to nauczyło, dorosłem. Od lat nie chowam warzyw w kanapach - powiedział.

- To filozoficzne pytanie, nie sądzisz? - spytałam. - Czy zły uczynek, na przykład kłamstwo, staje się dobry, gdy popełniony jest w dobrej sprawie?

- Można odpowiadać na to pytanie cały semestr.

- A skrócona wersja? Taka na zdanie lub dwa?

- Filozofować potrafię teoretycznie, ale nie umiem stosować filozofii do własnego życia. Czy to wystarczająco krótka odpowiedź?

- Bardzo treściwa - odrzekłam. - Ja uważam chyba, że cel czasem uświęca środki. To ważne dla twojej matki, prawda?

- Owszem - odparł, potem zamilkł na chwilę. - To było irracjonalne, powiedzieć jej coś takiego. Nie mam pojęcia, dlaczego przyznałem się wam wtedy na imprezie. Powiedziałaś, że przyjedziesz nad jezioro, a ja wielokrotnie dałem ci szansę, byś się wycofała. I tak, niezależnie od celu, podobają mi się środki. Czy to by się zgadzało?

Zgadzało się. Mnie również podobały się środki, choć się do tego nie przyznałam. Niedługo później dogadaliśmy szczegóły, jakbyśmy oboje bali się, że plan się rozsypie, jeśli zbyt długo będziemy go omawiać.

Elliot wybierał się do domku nad jeziorem po seminarium magisterskim w czwartek rano. Umówiliśmy się, że wyjdzie po mnie na stację w sobotę, około południa. Nawet jeśli miałam tylko udawać jego żonę, trzeba było się spieszyć. Matka Elliota była prawdziwa i rzeczywiście umierała.

W środku tygodnia byłam umówiona na lunch z Faith i Helen. Zjadłyśmy po sałatce z kozim serem, kwaśnymi jabłkami i suszonymi jagodami.

Poskarżyłam się na wykresy, które Eila kazała mi pokazywać klientom.

- Uwierzycie, że mam pracę, w której muszę mieć do czynienia z wykresami?

Faith wywróciła oczami. Pracowała w banku.

- Powinnaś jadać lunche z kobietami, które robią aluzje do Jane Austen - powiedziała Helen. Zawsze próbowała mnie przekonać do jakiegoś bardziej artystycznego zajęcia, które zasługiwałoby na moją uwagę, jak mawiała. I choć jej komentarze miały mnie inspirować, zawsze odbierałam je jako krytykę. Brakowało mi tego czegoś, by zostać artystką. Co to było? Jakaś szczególna pasja? Oddanie? Serce? Nie wiedziałam, czego mi brak, byłam jednak pewna, że nie znajdę tego dziś, i na pewno nie w najbliższy weekend. Według Helen jej samej nic nie brakowało. Jej praca redaktorki w czasopiśmie była artystyczna i dawała mnóstwo okazji, by być kreatywną.

- Mogę mówić o panu Darcym - odezwała się Faith. - Jeśli o to ci chodzi. Ale jestem raczej fanką Fitzgeralda. Historia Daisy i ten jego związek z Zeldą. Spaliła wszystkie jego ubrania w hotelowej wannie. Powinnam tego spróbować.

- Nie jestem pewna, czy Zelda powinna służyć za wzór - powiedziałam. - Nie zapominajmy, że zwariowała i zaliczyła kilka pobytów w psychiatryku.

- Jak tam Jason? - zapytała Helen, popijając białe wino. -Przebaczyłaś mu już?

- Jason to kretyn - odparła Faith. - Ot co. Choćby nie wiem, jak mnie przeproszał, nie przeprosi przecież za to, kim jest.

- Ostre słowa - powiedziała Helen. - Chociaż wiesz co, z drugiej strony chyba bardzo mądre.

- Nie rozumiem - odezwałam się. - Czy to znaczy, że przebaczyłaś mu czy nie?

- To znaczy, że go zaakceptowałam - odrzekła Faith, niedbale obracając kieliszkiem. - W końcu tego wymaga małżeństwo.

- Zaakceptowałaś to, że jest kretynem? Helen pokiwała głową.

- Wiedziałam już o tym, gdy za niego wychodziłam.

- A on o tym wie?

- O czym? Że jest kretynem? To chyba widać od razu. Ma przecież jakąś elementarną samoświadomość.

- Ale czy wie, że ty myślisz, że jest kretynem? - spytała Helen.

- To jedna z fundamentalnych podstaw naszego związku.

- A więc zdrowe małżeństwo nie musi być rozmową, która trwa całe życie? - zapytała Helen, nabijając na widelec po-midorek koktajlowy. - Co za ulga!

- Myślałam, że chciałaś, abym powiedziała to na twoim ślubie - wtrąciłam.

- Porozmawiajmy o Elliocie Hullu - odparła Helen.

- Zaraz. - Faith odłożyła widelec. - Elliot Hull? Ten z college'u? Myśliciel?

Faith, zaślepiona wściekłością, nie rozpoznała Elliota na prywatce u Helen, trzeba było ją poinformować. Zaczęłam opowiadać. Wkrótce Helen przejęła narrację, wyjaśniając, co się wydarzyło na balkonie. Faith patrzyła to na nią, to na mnie, przerywając co jakiś czas i domagając się uzupełnień. Gdy tylko któraś z nas traciła wątek, musiałyśmy się cofać i powtarzać od nowa. Faith potrafi być nieznośną słuchaczką. Gdy ogląda film, zadaje wciąż idiotyczne pytania, na które nikt nie zna odpowiedzi, ponieważ wyprzedzają akcję.

Gdy w końcu nasze wyjaśnienia ją zadowolily, odchyliła się na krześle i wzięła głęboki oddech.

- Czy nadal zamierzasz udawać jego żonę? - spytała.

- Powiedziałam, że to zrobię.

- To zbyt dziwne. Czy wyście przypadkiem nie byli przez jakiś czas po uszy zakochani? Na ostatnim roku studiów?

- Tylko kilka tygodni, potem on znów zszedł się ze swoją byłą dziewczyną.

- O tym nie wiedziałam. To wszystko zmienia - powiedziała Helen, uśmiechając się ze złośliwym zadowoleniem.

- Wcale nie.

- Owszem, tak! - Helen zastukała widelcem w talerz, tak jak sędzia stuka młotkiem w mównicę. - Czulałam to, wiedziałam!

- Czy Peter o tym wie? - Faith zawsze trafiła w sedno. Potrząsnęłam głową.

- Naprawdę? - zdziwiła się Helen. - Nie powiedziałaś mu? Chyba powinnaś? Nie znam się na zasadach obowiązujących w małżeństwie, ale czy to nie zatajanie kluczowych informacji?

- Nie mówię, że powinnaś mu powiedzieć - odezwała się Faith. - Ale ciekawe, że mu nie powiedziałaś. To wszystko.

- Jednak powinnaś pojechać - stwierdziła Helen.

- Czemu tak uważasz? - chciała wiedzieć Faith. - Oświeć mnie.

- Czy wydaje ci się, że w życiu często zdarza się okazja przeżycia tak intensywnego doświadczenia? Czasami jedno wydarzenie wiedzie do drugiego, gdy najmniej się tego spodziewamy. Losy ludzi, którzy w ogóle nie powinni się znać, niespodziewanie wiążą się ze sobą i należy łapać takie okazje.

- Intensywne doświadczenia! - powtórzyła Faith. - A co złego jest w zwyczajnych sprawach? W normalnym życiu? Odkąd urodził się Edward, tylko tego pragnę. Nie intensywności. Zdrowia i spokoju.

- Cóż - powiedziała Helen. - Ja nie pragnę normalności. -Spojrzała na mnie poważnie. - Powinnaś to zrobić, ponieważ to jest interesujące. A jeśli chcesz wiedzieć, życie nie zawsze takie bywa.

- Ja jednak obstaję przy swoim. Życie nie musi być interesujące, żeby mieć wartość - powiedziała Faith.

- Jadę, ponieważ mu obiecałam. Spędzę weekend w domku nad jeziorem z jego umierającą matką. To wszystko.

- No to teraz masz dwóch mężów - zauważyła Helen. -A ja postanowiłam, że nie będę mieć żadnego. Mam dość.

- Znowu? - W głosie Faith zabrzmiała irytacja. To prawda, Helen nie pierwszy raz składała taką deklarację, jednak Faith potrafiła być bardzo krytyczna i w dodatku marnie to ukrywała. I Helen, i ja bałyśmy się czasem Faith, przede wszystkim dlatego, że zazwyczaj miała rację, a poza tym raczej małe doświadczenie w rozmowach z ludźmi mającymi problemy z podejmowaniem decyzji, szybko traciła do nich cierpliwość. Odnosiłam wrażenie, że Faith automatycznie wie, co jest dobre, a co złe.

- Nie pamiętasz już, jak to jest - wyjaśniła Helen. - Ile można opowiadać o romansie matki z wuefistą? I czy za każdym razem muszę płakać? Och, ale historie mężczyzn są

jeszcze gorsze! Apodyktyczni ojcowie i nadopiekuńcze matki Gnębienie przez rodzeństwo. Cały ten koszmar dzieciństwa w kółko to samo. Zdecydowałam postawić na romanse, nie na związki. Wy dwie miałyście szczęście.

- Znalazłyśmy swoich kretynów! - zawołałam radośnie.
- Ty swojego też jeszcze możesz znaleźć - powiedziała Faith miękko.
- Nie, naprawdę - rzekła Helen. - Nie żartuję. Macie szczęście. A twój kretyn zrobił ci nawet dziecko - skinęła głową w stronę Faith. - Posiedźcie obie choć przez chwilę i pomyślcie o tym. Cieszcie się swoim szczęściem. Tylko o to was proszę Zastanówcie się przez moment i powiedzcie sobie: mam szczęście. Podziękujcie losowi. O więcej nie proszę. Zróbcie to dla mme. - Obie z Faith zamilkłyśmy. - Mówię serio! Proszę!

- Teraz? - spytała Faith.

- Właśnie teraz.

Pomyślałam o Peterze czyszczącym kije do golfa, choć właściwie wcale nie były brudne, a potem o Elliocie wtedy na balkonie. Spojrzałam na Faith, a ona na mnie.

- Zrobiłam to - powiedziała. - Pomyślałam o moim kretynie i o tym, jakie mam szczęście.

- Ja też - dodałam, choć w moim przypadku tylko pierwsza część zdania była prawdziwa.

- Dziękuję - odpowiedziała Helen. - Jestem wam wdzięczna.

CZĘŚC II

ROZDZIAŁ 11

Przez kilka następnych dni Peter znajdował sobie coraz to nowe zajęcia. Wyczyścił kije do golfa. Odkurzył samochód. Pewnej nocy wziął w szpitalu zastępstwo za kolegę, którego dziecko występowało w szkolnym przedstawieniu. Zachowywał się normalnie. Zupełnie normalnie. W żadnym wypadku nie można było powiedzieć, że się dąsa. Kochaliśmy się nawet - i było nam dobrze - dwa razy w ciągu tygodnia, jakbyśmy mówili sobie nawzajem: widzisz, wszystko w porządku. I rzeczywiście, mniej więcej wszystko było w porządku. Petera pochłaniały różne zajęcia, a ja mu na to pozwalałam.

Jedynym problemem był klub filmowy. Raz w miesiącu, w piątkowy wieczór, umawialiśmy się z Faith, Jasonem i jeszcze jedną parą, sepleniącą Niemką Bettiną i facetem, do którego wszyscy mówili po nazwisku - Shweers. Spotykaliśmy się, by obejrzeć film i podyskutować o nim. Shweers (na imię miał Gavin) dorastał w Connecticut i poznał Bettinę podczas wymiany na drugim roku studiów. Pobrali się niemal od razu. Na nasze spotkania zawsze przynosili wyśmienity ser i kiełbaski. Tym razem wieczór filmowy wypadł w przeddzień mojego wyjazdu do domku nad jeziorem.

Peter i ja gawędziliśmy po drodze, usiłując odnaleźć nasz zwykły beztroski rytm. Powiedziałam mu, że Helen nie przyjdzie. Czasami, gdy miała w miarę stałego chłopaka, dołączała do nas, nie lubiła jednak przyjeżdżać sama. Zawsze znajdowała wymówkę, często zresztą przekonującą -jakieś przyjęcie z reklamodawcami w pracy, wernisaż, randka z nowym absztyfikantem. Któż mógłby ją winić za to, że nie ma ochoty siedzieć z nami i omawiać naszych filmowych wyborów.

- Co Helen ostatnio porabia? - chciał wiedzieć Peter, skręcając na obwodnicę.

- Zrezygnowała ze związków. W grę wchodzi tylko romans - poinformowałam go.

- A jaka to różnica?

- Wiesz jaka.

- Dobrze, skoro tak uważasz. Mam nadzieję, że to nie Bettina wybiera dziś film? - Mieliliśmy niż dosyć zagranicznych filmów z napisami. Ponieważ Bettina była Niemką, wszyscy czuliśmy się w obowiązku być mniej amerykańscy, w każdym razie w jej obecności, choć właściwie nigdy oficjalnie na ten temat nie rozmawialiśmy. Oboje z Peterem nienawidziliśmy czytania napisów.

- Nie pamiętam - odrzekłam.

- Na Boga, gdybym miał ochotę na czytanie, wziąłbym książkę.

- Czytając napisy, zawsze zastanawiam się, co czują głusi - powiedziałam, i była to prawda. Niezależnie od języka, jakim posługiwali się aktorzy, zawsze łapałam się na tym, że usiłuję czytać z ruchu ich warg.

- To rozprasza.

- Poza tym często mi się zdarza, i nic na to nie mogę poradzić, że spędzam czas, szukając błędów w tekście, jakbym była adiustatorem, tyle że nieopłaconym. I jeszcze, cholera, zapomniałam okularów.

Tak naprawdę po prostu nie lubiliśmy towarzystwa Bettiny i Shweersa. Byli nie tylko autentycznie w sobie zakochani, ale wręcz stworzeni dla siebie. Byli bratnimi duszami, o ile coś takiego w ogóle istnieje. Związek Faith i Jasona można określić jako silny, ale miał słabe punkty, przez co Peter i ja czuliśmy się lepiej. Tak naprawdę bardzo lubiłam, gdy Faith mi się zwierzała. Podobało mi się, że uważa Jasona za kretyna. Upajałam się tym, gdyż w porównaniu do nich mój związek z Peterem wydawał się bardziej solidny. Przyznam, że zdarzały mi się ciche wieczory z Peterem, gdy tak naprawdę wolałam być sama. Czytałam wtedy książkę lub brałam prysznic przy muzyce pop lecącej z radia w łazience i dzwoniłam do Faith z myślą, że wyzna mi, iż jej wieczór jest jeszcze gorszy. Miałam nadzieję, że u nich nie jest nudno, ale sprzeczą się o to, jak upiec kurczaka, albo jeszcze lepiej - że pokłócili się i poszli spać osobno.

Bettina i Shweers nie dawali mi tej satysfakcji. Bettina, która sepleniała uszczypliwe komentarze i zerknęła na wszystkich spod równo przyciętej grzywki, oraz Shweers wtrącający od czasu do czasu lekko sprośny żart naprawdę uważali się nawzajem za zabawnych. Uwielbiali się, jedli sobie z talerzy i wciąż coś do siebie szeptała na stronie. Nigdy jednak nie robili tego w niegrzeczny sposób ani nie przesadzali. Nie byli zbyt słodcy czy egzaltowani. Nie obnosili się ze swoim uczuciem. Po prostu gdy byli razem, byli sobą.

Różnica między ich relacją a moim związkiem z Peterem widziana z zewnątrz była subtelna, niemal niewyczuwalna -my jednak dostrzegaliśmy ją wyraźnie. Nazywaliśmy ich „wielkimi udawaczami”. Mieliśmy teorię, wedle której po powrocie do domu zrzucali maski i kłócili się, kto zje więcej strudła.

Spojrzałam na przemykające za oknem pobocze i powiedziałam:

- Może nie przyjdą. Czy przypadkiem matka Bettiny nie miała przyjechać z Niemiec albo coś w tym stylu?

- Zdaje mi się, że już była, a oni i tak się wtedy pojawili.
- Może jej matka spowodowała jakieś spięcie - powiedziałam. - Może nie są już tacy zgodni.
- Właściwie to zdaje mi się, że bywają między nimi różnice zdań.
- Owszem, ale oni uważają, że to interesujące. Pamiętasz, jak ich odwiedziliśmy i on położył płaszcze gości w pokoju na górze. Ona wyniosła je do gabinetu, a on na to: „ciekawe, co to oznacza”.
- To nic nie oznaczało - powiedział Peter.
- Powiedziałeś mu to. Ale widzisz, dla nich to miało znaczenie. Było to coś fascynującego. Gdy wieczorem leżeli w łóżku i rozmawiali o tym, na pewno doszli do pasjonujących wniosków na swój temat.
- Nie da się kogoś, aż tak bardzo lubić. - Te słowa wracały w naszych rozmowach jak refren. Bo to nie miłość Bettiny i Shweersa nas uwierała. Miłość, cóż można na nią poradzić? Najbardziej raziła nas ich wzajemna fascynacja i to, że się po prostu lubią. Pomyślałam o Elliocie i rozmowie, która trwa całe życie. Bettina i Shweers prowadzili taką rozmowę, a dla nas był to bolesny widok.

Spotkania filmowe zawsze odbywały się u Faith i Jasona. Mieli największy salon, największy telewizor i najlepsze nagłośnienie. Jason lubował się w nowinkach technicznych (stał w kolejce po iPhone'a w dniu, gdy po raz pierwszy pojawiły się na rynku). Poza tym tylko oni mieli dziecko i było im łatwiej odholować Edwarda do jego własnego łóżka.

Zaparkowaliśmy przed ich dwupiętrowym domem na przedmieściu.

Budynek był wysoki i rozległy oraz posiadał obszerny ganek. Sprawiał, że czułam się mała. Gdy się do niego wchodziło, głos odbijał się echem. Choć nigdy im tego nie powiedziałam, dom Faith i Jasona przypominał domy wielu naszych klientów, był z rodzaju tych na pokaz.

- Chodźmy i miejmy to już za sobą. Jestem zmęczona -powiedziałam.

- Jutro przed tobą wielki dzień. - Była to pierwsza od wielu dni aluzja Petera do nadchodzącego weekendu. Powiedział to pogodnym tonem, ale poczułam się, jakby w samochodzie zabrakło powietrza. Nie wiedziałam, jak zareagować. Czy naprawdę chciał o tym rozmawiać? A jeśli nawet, to czemu teraz, kiedy staliśmy już przed domem Faith i Jasona, spóźnieni dziesięć minut?

- Na to wychodzi - powiedziałam. - Chcesz się przejść parę razy dookoła?

- Zwykle nie spóźnialiśmy się na spotkania towarzyskie i mieliśmy zwyczaj spacerowania po najbliższej okolicy w oczekiwaniu na resztę gości. Tym razem jednak Peter wiedział, czemu proponuję mu przechadzkę.

- Nie, nie - powiedział. - Chodźmy i miejmy już to z głowy. Ja też jestem zmęczony.

Wyglądało więc na to, że przetrwamy ten osobliwy incydent związany z nagłym pojawieniem się Elliota Hulla w naszym życiu, po prostu przyspieszając kroku.

Zastukaliśmy do drzwi. Nie było odpowiedzi, więc weszliśmy. Peter niósł butelkę wina, ja zaś pudełko cannoli zakupionych w luksusowej piekarni.

- Halo! - zawołał Peter.

Dom wydawał się pusty, ale już po chwili ze schodów zbiegł Jason w spodniach dresowych i T-shircie. Zawsze był ubrany swobodnie, nigdy jednak aż tak.

- Ani kroku dalej! - zawołał, wyciągając przed siebie ramiona. - Mamy kwarantannę!

- Co się stało? - spytałam.

- Edward zachorował. Rzyga jak kot, po raz pierwszy w życiu! Jesteśmy z niego dumni - odpowiedział Jason. - Wybaczcie, że nie dzwonił. Nie było czasu. Odkąd to się zaczęło, biegamy jak wariaci. Czy w takich przypadkach nie trzeba zagotować wody?

- Edward musi być zdziwiony - zauważyłam, wyobrażając sobie, jak to jest wymiotować, nie wiedząc, co się dzieje.
- Powiedziałbym, że jest raczej wkurzony - odparł Jason.
- Przynieśliśmy wino i cannoli - powiedział Peter. - Możemy wam je zostawić? Kiedy zejdziecie ze służby, będziecie mogli.
- Coś mi się zdaje, że jesteśmy na dożywotniej służbie - odpowiedział Jason.
- Ach.
- Zabierzcie je z sobą. Upijcie się i objeďte! Uprawiajcie seks na parkingu! Żyćcie! - zawołał Jason. - Faith wybrała na dziś *Klub winowajców*. Wiecie, antyintelektualny intelektu-alizm. Miała zadawać pytania w stylu: „Jak podejść do tego z punktu widzenia feminizmu”. Miało być super!
- Jason! Przynieś lód! - doszło nas z góry wołanie Faith.
- Obowiązek wzywa! - rzucił Jason i pobiegł do kuchni. Gdy wracaliśmy do samochodu, pod dom podjechali Bettina i Shweers swoim autem z hybrydowym napędem.
- Kochają ten cholerny samochód - odezwał się Peter.
- Nigdy nie wiem, czy mają włączony bieg jałowy czy wyłączony silnik.
- Na tym polega problem z nimi. Są podejrzani.
- Powinniśmy im powiedzieć o kwarantannie. I może pozbyć się trochę cannoli.
- Podeszliśmy. Bettina opuściła szybę w oknie.
- Coś nie tak? - zapytała. Shweers przechylił się nad jej kolanami i popatrzył na nas.
- Edward się rozchorował - wyjaśniłam. - Wymiotuje.
- Wyrzucili nas - dodał Peter. - A może wybierzemy się w czwórkę na drinka lub coś w tym rodzaju? - Zaskoczył mnie. Zerknęłam na niego, a on się uśmiechnął.
- Hm... - zaczęła Bettina.
- Powinniśmy chyba wracać do domu - powiedział Shweers. - Oboje jesteśmy tak zawaleni robotą, że z trudem się wyrwaliśmy.

- Powinniśmy wziąć się do pracy - dodała Bettina. - Tak chyba będzie najlepiej.

- Och, no dobrze - odrzekłam. - To ma sens. Nadrabiajcie zaległości, póki macie okazję.

- Chcecie trochę cannoli na drogę? - zapytał Peter.

- Nie, dzięki - odparł Shweers. - Ograniczamy cukier. Bettina uśmiechnęła się, pokazując rzadkie uzębienie.

- Miłego wieczoru! - powiedziałam.

- Nie czeka nas nic poza pracą - odparła Bettina. Zamknęła okno i odjechali niemal bezgłośnie swoim podejrzanym samochodem. Spojrzałam na Petera.

- Nic poza pracą? - Bettina zajmowała się botaniką. Zdaje się, że krzyżowała rośliny w laboratorium. Nigdy nie słyszałam, żeby zabierała pracę do domu bądź goniły ją terminy.

- Trochę podejrzane - stwierdził Peter. - Pewnie chcą być po prostu sami. To zresztą też jest podejrzane.

- Czemu zaprosiłeś ich na drinka? - spytałam, gdy wsiedliśmy do samochodu.

- Chciałem być miły - wyjaśnił, ale mu nie uwierzyłam. Chodziło raczej o to, że choć nie mieliśmy ochoty na towarzystwo Bettiny i Shweersa, woleliśmy to, niż zostać sami. Jak spędzimy wieczór bez klubu filmowego? Czy będziemy musieli rozmawiać?

- Wielcy Udawacze - powiedział Peter, przekręcając kluczyk. - Może chcą wrócić do domu, żeby dokończyć jakąś straszną kłótnię. Ale ni stąd, ni zowąd również i na tę myśl ogarnęła mnie zazdrość. Odesłano nas więc do domu razem z naszym winem i cannoli. Dwa zjadłam po drodze. Peter zjadł trzy. W domu wypiliśmy trochę wina, oglądając na HBO program, który już wcześniej widzieliśmy. Rozejrzałam się po naszym małym

salonie. Sam pokój urządzony był ładnie - w końcu mam oko do designu, nawet Eila nieraz stwierdziła u mnie wrodzony talent i ostatnio zaczęła konsultować się ze mną w sprawie próbek, ustawienia mebli i kolorów ścian. Zastanawiałam się jednak, czy gdyby nas odwiedziła, stwierdziłaby, że i tu panuje namacalny smutek? Zanim się pobraliśmy, podczas oglądania meczu siadywałam na podłodze u stóp Petera, a on masował mi głowę. Stopniowo przynosił dłonie na moje barki, potem czułam pocałunki na szyi i już wkrótce żadnego z nas nie obchodziło, co jest w telewizji. A teraz... Byliśmy smutni? Zmęczeni? A może właśnie na tym polegało zadowolenie z życia bardziej przypominające zrezygnowanie?

Poszliśmy wcześniej spać. Ripken zwinął się w kłębek w nogach łóżka, radośnie uderzając ogonem w materac. Peter pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło.

- Gotowa na zabawę z żółwiami błotnymi?

- Chcesz o tym porozmawiać?

- A skąd. O czym tu rozmawiać?

- Drugi raz zaczynasz dziś ten temat, domyślam się więc, że masz coś więcej do powiedzenia. Nie jest tak?

- Nie sądzę. Chyba wszystko ustaliliśmy. - Wzruszył ramionami.

- Więc nie masz już problemu?

- Nigdy nie miałem. To nic takiego. Spędzę miły weekend w domu. Może zaproszę Jasona i paru chłopaków z pracy.

- Weź Ripkena do parku - zaproponowałam. - Ostatnio tęskni za tobą. -

Odwrociłam się, ale zaraz przysunęłam się z powrotem. Rano miałam wstać wcześniej i uzgodniliśmy już, że pojedę na dworzec taksówką, żeby Peter mógł dłużej pospać. To była nasza ostatnia szansa na rozmowę przed moim wyjazdem. Chciałam go poprosić, by skończył zdanie zaczęte wtedy, na balkonie, gdy powiedział, że jestem zbyt... no właśnie, jaka? Chyba tak naprawdę nie chciałam wiedzieć. Pomyślałam o uwadze Faith, która uznała za interesujące, że nie

powiedziała Peterowi o moim związku z Elliotem, o tym, że, jak to określiła, byliśmy kiedyś w sobie po uszy zakochani. Powiedziała:

- Myślałam, że jesteś zazdrosny.

- Próbowałam, ale nie wyszło. Zazdrość mi nie pasowała, gniotła w szyję jak za ciasny kołnierzyk. - Wprawnym ruchem hotelowej pokojówki wytrząsał sobie poduszkę i położył na niej głowę. Potem dodał: - Nie da się tak żyć.

ROZDZIAŁ 12

Pociąg był prawie pusty. Oparłam głowę o szybę. Siedzenia przesiąknięte były nieprzyjemnym zapachem zbyt wielu podróżnych. Zastanawiałam się, czy Helen miała rację, mówiąc, że mam szczęście. Chyba tak naprawdę nie wierzyłam w szczęśliwy traf. Straciłam matkę w wieku pięciu lat. To nie było szczęście, mimo że przeżyłam wypadek. Jeśli wierzysz, że niektórzy ludzie mają szczęście, musisz równocześnie przyjąć, że inni skazani są na porażkę. Nie wydawało mi się to szczególnie sprawiedliwe.

Patrzyłam na drzewa, które w miarę, jak pociąg przyspieszał, stawały się rozmazanym pasmem zieleni, zaledwie symbolizującym drzewa. Czym w ogóle jest małżeństwo? Nie miłością, lecz symbolem miłości.

Pomyślałam o miniaturowych figurkach pary młodej, które, wychodząc za mąż, koniecznie chciałam mieć na torcie. Nie mogłam sobie przypomnieć, co się z nimi stało. Czy były to rekwizyty dostarczone przez firmę cateringową? A może kupiliśmy je wspólnie z Peterem? Czy leżą teraz gdzieś w schowku, w kartonie, razem z moim welonem i suknią ślubną? Co się stało z tymi dwoma małymi symbolami małżeństwa? To chyba źle, że

nie mam o tym pojęcia? Czy znajdę je pewnego dnia grzechocące na dnie pudła pełnego kurzu i rybików, połamane na kawałki - miniaturowa porcelanowa twarz, but, para złączonych dłoni?

Pociąg zatrzymywał się co jakiś czas z piskiem hamulców. Ludzie wsiadali i wysiadali. Spotykali się na peronach, wymieniali zdawkowe uściski, drobne gesty, symbole miłości, i ciągnęli walizki w stronę schodów ruchomych. Widok ten sprawił, że stałam się niespokojna.

Próbowałam zająć czymś uwagę. Wyciągnęłam telefon i najpierw wystukałam numer ojca. Nie powiedziałam mu wcześniej, że nie będzie mnie na niedzielnym lunchu.

- Wyjeżdżam na weekend ze starym znajomym - oświadczyłam.

- Z tym ze studiów? Tym, który tyle myśli? - zapytał. Byłam zaskoczona, że pamięta taki szczegół i w dodatku do niego wraca.

- Nie tyle myśli, co wręcz bez reszty pogrąża się w rozmyślaniach.

- A czegoż innego spodziewać się po humanistach - odparł ojciec. - Ech, ci humaniści! - Był to profesorski żart. Ojciec miał ich cały arsenał, żaden z nich mnie nie śmieszył.

Zastanawiałam się, czy zapyta o Petera. Nie zapytał.

- Zadzwoń w przyszłym tygodniu - poprosił. I to także było niezwykle.

Zastanawiałam się, czy prośba ma związek z tym, jak ostatnio otworzył się przede mną, czy raczej z moim znajomym myślicielem. Nie byłam pewna. Obiecałam jednak, że zadzwonię.

Następnie połączyłam się z Faith, by dowiedzieć się, co z Edwardem.

- Wszystko w porządku. Śpi, Jason zresztą też. Jesteśmy wykończeni i cały czas drżymy, które z nas będzie następne - oświadczyła Faith złowieszczym tonem. - Dwójka tylko pozostała.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniłam ją. - Jako rodzice na pewno macie jakieś supermoce.
- Chciałabym. W każdym razie, wiesz co? Jason świetnie się wczoraj zachował. Był naprawdę opanowany i troskliwy. Żałuję, że nazwałam go kretynem.
- Ma w sobie coś z artysty - stwierdziłam.
- A co konkretnie jest jego sztuką? Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.
- Sztuka życia? - podsunęłam słabo.
- Cóż, skoro tak, to jest w tej dziedzinie abstrakcyjnym impresjonistą. Chciałabym umieć coś takiego sprzedać. Tylko kto by to kupił? W ten sposób zmieniła komplement w zarzut. Już chciałam powiedzieć: „Zdaje mi się, że ty, Faith”, ale się powstrzymałam.
- Czekaj - zorientowała się Faith. - A gdzie ty jesteś? Przecież jest sobota, prawda? Jedziesz?
- Siedzę w pociągu.
- A więc jednak wybrałaś opcję: interesujące?
- Mogłabym wysiąść i wrócić do domu. To by było proste - powiedziałam, jedną ręką grzebiąc bezwiednie w kieszeni i bawiąc się identyfikowaniem przedmiotów za pomocą dotyku. Moje palce trafiły na wiśniową pomadkę i samotny klucz do domu ojca.
- Rób, co chcesz - powiedziała Faith. - W końcu grypa żołądkowa to nie jedyny sposób, żeby mąż zaczął się starać i by znaleźć w nim coś, czego nie dostrzegało się wcześniej.
- O co ci chodzi? - spytałam
- O nic. Bredzę - odparła. - Nie słuchaj mnie.
- Chcesz przez to powiedzieć, że jadąc do Elliota, chcę sprowokować Petera, żeby zaczął się bardziej starać?
- Nie, nie. Zapomnij! To było tylko... jak to się mówi? Przeniesienie. Przeniosłam moje problemy małżeńskie na ciebie. Naprawdę, nie słuchaj mnie.

- Nie o to mi chodzi, Faith. Zupełnie nie o to.

- Mały chyba się budzi - przerwała mi. - Muszę kończyć. Proszę, zapomnij, co powiedziałam. - I rozłączyła się.

Wciąż z ręką w kieszeni obracałam w palcach w połowie puste opakowanie tabletek i konturówkę. Zastanawiałam się, czy chcę, by Peter był zazdrosny. Chciałam. Naprawdę chciałam. Kto by nie chciał? Ale czy dlatego zdecydowałam się na wyjazd? Żeby Peter z zazdrości bardziej się postarał? By odnaleźć w nim coś, czego od dawna szukałam? Przez chwilę się martwiłam, że tak jest, ale potem, powoli, acz nieuchronnie zrozumiałam, że to nieprawda, że chodzi o coś gorszego. A może nie robiłam tego, by Peter zaczął się starać? Może niczego w nim nie szukałam? Co, jeśli przestało mi już zupełnie zależeć i nie wierzyłam nawet, że jest sens próbować? Dał mi tyle, ile mógł. Znałam jego ograniczenia. Co, jeśli robiłam to dla siebie?

Następną osobą, do której zadzwoniłam, była Helen. Zawsze dzwoniłam do niej, gdy z jakiegoś powodu czułam się winna. Helen uwielbiała koić czyjeś poczucie winy prawdopodobnie dlatego, że przy okazji koiła swoje.

Gdy zadzwoniłam, była właśnie u kosmetyczki z okazji dnia panińskiego koleżanki.

- Lepsze to niż udawać, że podnieca cię striptizer przebrany za kowboja. Roześmiałam się. Brałyśmy udział w takim upokarzającym wydarzeniu jakieś dziesięć lat wcześniej - kowbojskie ochraniacze ze sztucznej skóry, ładny, lecz wystraszony chłopiec z lassem w sali pełnej kobiet udających, że nie wiedzą, iż jest gejem.

- Cieszę się, że ten rodzaj feminizmu wymiera.

- Ten, który zmusza nas do udawania mężczyzn? I bardzo dobrze. - Helen przerwała na chwilę i zaczęła mówić coś do manikiurzystki, wybierając kolory. - A więc jednak jedziesz? Dotarłaś już na miejsce?

- Jestem w pociągu i właśnie posprzeczałam się z Faith.
- Ach, Faith. Ona nie rozumie. Czasami myślę, że są dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy pragną żyć, i ci, którzy chcą tylko przeżyć.
- Ona kiedyś chciała żyć. Prawda? Była szalona. Pamiętasz, jak wywalili ją z klubu za zbyt agresywny taniec albo tego dilerka trawki, z którym się spotykała...

Helen westchnęła.

- To chyba dzieci zmieniają człowieka i budzą w nim instynkt przeżycia. Nie winię jej za to.
- Pewnie i nas to kiedyś dopadnie.
- O co się pokłóciłyście?

Zrelacjonowałam jej tę część rozmowy, w której Faith stwierdziła, że jęde do Elliota, by wzbudzić w Peterze zazdrość lub odnaleźć w nim nowe wartości.

- Potraktowała mnie z góry, nie sądzisz?
- Bzdury.

Jakaś starsza pani, powłócząc nogami, weszła do wagonu i usiadła naprzeciwko mnie, po drugiej stronie przejścia. Była jakby z innego świata, z wytwornych czasów, gdy ludzie ubierali się elegancko do pociągu. Z szacunkiem ściszyłam głos.

- To są bzdury. W jednej chwili mówi coś miłego o Jasonie, ale zaraz jak zwykle to podważa, bo powiedziałam, że Jason ma w sobie coś z artysty.
- Ach... No cóż...
- O co ci chodzi?
- Robisz tak czasami. -Jak?
- Używasz przykładu Jasona, mówisz nam, co w nim jest najlepszego, ale...
- Ale co?
- Tak naprawdę mówisz o sobie. Podświadomie.
- Nie używam przykładu Jasona, by mówić o sobie.
- Jason nie jest artystą.

- Owszem, jest. Uprawia sztukę życia. - Gdy tylko skończyłam zdanie, dotarła do mnie śmieszność własnych słów.

- Jason to właściciel baru z meksykańskim jedzeniem. Bystry i zabawny facet. Ale jest zadowolony ze swego zajęcia. Widzisz w nim coś więcej, ponieważ chciałabyś w nim ujrzeć samą siebie...

- Jako kogoś innego? Chcesz przez to powiedzieć, że to, kim jestem, nie wystarczy? - Czemu liczyłam na to, że Helen podniesie mnie na duchu? Przecież zawsze była co najmniej nieprzewidywalna. Czasami potrafiła wyczuwać ludzkie słabości, co jeszcze pogarszało sprawę. Głupia byłam, że zapomniałam o jej bogatej kolekcji pułapek. Ta akurat podpadała pod kategorię: „po prostu szczerść”, jedną z najbardziej przeze mnie nielubianych.

- Ależ oczywiście, że wystarczy!

- Słucham?

- Wiesz, o czym mówię - powiedziała Helen, mniej poruszona tą rozmową niżbym sobie życzyła. - Uważam, że jesteś fantastyczna! To tobie się wydaje, że nie wystarczy.

Pomyślałam o wożeniu Eili od jednego zbyt drogo wycenionego domu do drugiego, o noszeniu jej teczki wypchanej wykresami, danymi i umowami, o tym, jak czasami prosiła mnie, bym włączyła stację ze starymi przebojami i zaczynała wyśpiewywać fałszywie razem z Carole King. Czy naprawdę nie byłam nikim więcej niż tylko szoferem kobiety zbyt stukniętej, by sama mogła prowadzić samochód?

- Muszę kończyć. Zaraz wysiadam.

- Nie złość się na mnie - poprosiła Helen.

- Nie złoścę się - odparłam. W tle usłyszałam głośny pisk.

- To panna młoda - szepnęła Helen. - Zgodziła się właśnie na depilację brazylijską. O radości.

Rozłączyłyśmy się i wkrótce pociąg zahamował. Przez usmarowane brudem okno ujrzałam Elliota stojącego na

peronie z założonymi rękami. Wpatrywał się w ziemię, w zamyśleniu marszcząc brwi. Podmuch nadjeżdżającego pociągu zmierzwił mu włosy. Wstałam, chwyciłam torbę i zaczęłam przeciskać się do wyjścia.

Zatrzymałam się, wiedząc, że mogłabym dopłacić u konduktora, przejechać jeszcze jedną stację, wysiąść i wrócić do domu. Spojrzałam na telefon. Żadnych wiadomości. Mogłabym wrócić do domu, do Petera, cieszyć się swoim szczęściem i dziękować losowi.

Potem zrozumiałam, że owszem, jestem wdzięczna losowi, ale za spotkanie z Elliotem w lodziarni, za to, że udławiłam się szaszłykiem, za umowę zawartą na balkonie.

Zeszłam po szerokich stopniach pociągu na peron, ale Elliota już nie było. Rozmyślił się? Zostawił mnie? Odwróciłam się i już miałam wsiadać z powrotem, gdy zobaczyłam go idącego w moją stronę. Nasze spojrzenia spotkały się, przyspieszył kroku. Przez chwilę bałam się, że mnie złapie i okręci w kółko jak kiedyś Ellen Maddox. Chyba nie byłam na to gotowa? Zesztywniałam. Elliot zatrzymał się gwałtownie i wyciągnął rękę, jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy w życiu.

Uścisnęłam mu dłoń.

- Ładne buty - powiedział.

ROZDZIAŁ 13

Elliot zabrał mnie z dworca kabrioletem matki, który sprawiła sobie, gdy przeszła na emeryturę, kończąc w ten sposób karierę w handlu nieruchomościami.

- Nie chciała siedzieć w domu, bała się poczuć staro - powiedział.

Jechaliśmy sportowym audi coupe z pięcioma biegami i niezłym odrzutem. Elliot z góry uprzedził, że prowadzi jak nastolatek. Sam był posiadaczem smutnego czterodrzwiowego sedana. Odkupił go od kolegi, który wyjechał na Zachodnie Wybrzeże zbić fortunę na handlu domami.

- Naciskasz gaz i jakieś czterdzieści pięć minut później grat decyduje, czy pojedzie, czy może jednak nie. To idiotyczne, że tak kocham ten kabriolet, ale trudno. Uwielbiam go i tyle.

Włosy powiewały mi na wietrze, ale sprawiało mi to przyjemność. Ja też poczułam się jak nastolatka, choć w czasach młodości nie jeździłam kabrioletami. Samochody mają coś w sobie, prawda? Jest coś szczególnego w mężczyźnie i kobiecie, niewielkiej przestrzeni, pędzie przed siebie - poczucie siły i jednocześnie bliskości jak podczas seksu. Nie mogłam przestać myśleć o tym, że Elliot i ja byliśmy kiedyś kochankami,

głośnymi młodymi kochankami, zdesperowanymi i niezdarnymi. Przemknął mi przez głowę obraz nas dwojga w miłosnych zapasach wśród stert rzeczy do prania i książek bibliotecznych.

Rozmawialiśmy o woni podróżnych i staroświeckim uroku pociągów. Zauważywszy laptop u moich stóp, Elliot poinformował mnie, że w domku nad jeziorem nie ma internetu ani zasięgu. Wyjaśnił, że jeśli chodzi o telefony komórkowe, mieszkają w Trójkącie Bermudzkim.

- Zadzwoń do Petera ze stacjonarnego - powiedziałam i, wspominając o mężu, poczułam się lepiej. - A internetu nie będzie mi brak - dodałam, po czym wyrwało mi się: - Jeśli jeszcze raz odbiorę spam z informacją, że mój penis jest zbyt mały, chyba potrzebna mi będzie terapia grupowa. - Gdy tylko skończyłam mówić, pożałowałam swoich słów.

Ale Elliot roześmiał się.

- Mnie dobijają rosyjskie serwisy matrymonialne.

- Trzeba było zamówić sobie żonę na weekend.

- Zbyt wysokie koszty przesyłki - odparł. - Poza tym rosyjski akcent...

Wolę rozmawiać czystą amerykańszczyzną z tobą. - Te słowa sprawiły, że poczułam ucisk w żołądku jak w dzieciństwie, gdy siedziałam na tylnym siedzeniu samochodu wspinającego się na wzgórze.

Teraz jechaliśmy jednak prostą, wysadzaną drzewami wiejską drogą. Za szybą migały co jakiś czas plastikowe skrzynki na listy.

- Nie powiedziałem matce, że to ciebie poślubiłem - odezwał się Elliot.

- Jak to? - spytałam.

- Na ciebie wpadłem po fakcie. Zdążyłem już jej powiedzieć, że moja żona ma na imię Elizabeth.

- Elizabeth? - Tak.

- A kim Elizabeth jest z zawodu?

- Do tego nie doszliśmy.
- Ale ja przecież poznałam twoją matkę. Co, jeśli będzie mnie pamiętać? Niby to było dawno temu...
- Mam nadzieję, że zdążyła zapomnieć, chociaż nie zmieniała się ani trochę.
- To miłe z twojej strony - odrzekłam beznamiętnym tonem. Oczywiście, że się zmieniłam, zwłaszcza przez ostatni rok. Pojawiły się zmarszczki, piegi na klatce piersiowej i bladoniebieska siateczka żył tuż nad kolanem, którą postanowiłam ignorować.
- Naprawdę! - zawołał.
- Dobrze, dobrze. Dzięki.
- Poza tym powinnaś wiedzieć, że czeka na nas kilka prezentów ślubnych. Wygląda na to, że matka była zbyt podekscytowana, by zachować nowinę dla siebie. W większości wyglądają na tostery i ekspresy do kawy. Tylko Jennifer wie, że w rzeczywistości nie jesteśmy małżeństwem. Zna prawdziwą historię. Wtajemniczyłem ją.
- Jennifer? Twoja siostra? - Znałam ją tylko z serii zdjęć z jakiejś wyprawy na ryby. Pogodna dziewczynka w kapoku, jakieś trzy lub cztery lata młodsza od Elliota.
- Jej mąż jest w podróży służbowej, przyjechała więc z dziećmi - Elliot zawahał się, wypowiadając słowa „podróż służbowa”, jakby nie do końca były adekwatne do sytuacji.
- Jennifer ma dzieci?
- Ach tak. Zaszła w ciążę na pierwszym roku studiów i przeniosła się na uczelnię bliżej domu. Urodziła dziecko, przez kilka lat mieszkała z matką i dalej się uczyła. Skończyła studia w terminie. Jest niesamowita. Jej córka ma teraz osiem lat. Ma na imię Bib. Dwa lata temu Jennifer wyszła za Sonny'ego. Pół roku temu urodził im się synek. Nazywają go Jeżozwierz.
- Nigdy nie poznałam twojej siostry.
- Polubisz ją.
- Poznam też Jeżozwierza i Bib?

- Nie takie imiona dostali na chrzcie.
- A ja jestem Elizabeth.
- Zgadza się.
- I nie poznaliśmy się w college'u. -Nie.
- To chyba znaczy, że nigdy nie dałam ci w twarz.
- Nigdy nie złapałaś mnie za twarz - poprawił mnie.
- Gdzie w takim razie się poznaliśmy?
- Na comiesięcznym spotkaniu klubu książki.
- Chodzisz na comiesięczne spotkania klubu książki?
- Nie - odrzekł. - A ty? Pokręciłam głową.
- No to już chodzisz! Powiedziałem jej, że zakochałem się w tobie, ponieważ zaciekle broniłaś Nabokova.
- Cóż, gdybym należała do klubu książki, na pewno walczyłabym o niego
- powiedziałam, wyobrażając sobie, jak Elliot zakochuje się we mnie, gdy przed publicznością składającą się ze starych panien wygłaszam ognistą przemowę pod tytułem: „Dlaczego *Lolita* nigdy nie powinna być zakazana”. - Co będzie, jeśli twoja matka przyłapie nas na kłamstwie? Potrafisz dobrze kłamać?
- Nie - odparł.
- Ja też nie.
- Kiedy kłamię, czerwienię się. A przy okazji, masz na nazwisko Calendar.
- Elizabeth Calendar?
- Akurat na stoliku obok leżał kalendarz*. Miałem kiedyś nauczycielkę muzyki, panią Calendar. To prawdziwe nazwisko.
- Skoro ktoś się tak nazywał... Najgorsze byłoby fałszywe nazwisko, które brzmi fałszywie. - Wystawiłam głowę przez okno na pęd powietrza.
- Powinniśmy byli chyba ustalić to wszystko wcześniej.

*** Calendar (ang.) - kalendarz (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.)**

- Rzeczywiście. Zaraz... - powiedział i zjechał na pyli-ste pobocze. Powietrze nagle znieruchomiało. Zapadła cisza. - Przepraszam. Wiedziałem, że to zły pomysł. Co chcesz zrobić? Zrobię, co mi każesz. Naprawdę chcesz w to brnąć?

Chciałam, zwłaszcza teraz, gdy znów miałam obok Elliota i znów byliśmy sami. Nie pamiętałam szczegółów jego opowieści z czasów dzieciństwa, jedynie ogólne zarysy. Był chorowitym dzieckiem, wychowywał się w dość zamożnej rodzinie, bez ojca, za to z silną, niezwykłą matką i młodszą siostrą, którą uwielbiał. W gruncie rzeczy miał dość samotne dzieciństwo, prawie tak samotne jak moje - mały chłopiec włóczący się wokół domu nad jeziorem w długie, leniwe letnie dni. Opowiadał mi o tym miejscu, jakby było dla niego całym wszechświatem, i pozostała mi w pamięci słodko-gorzka, melancholijna wizja, trochę jak ze snu. Było więc oczywiste, że chciałam je wreszcie zobaczyć. Pragnęłam poznać tę część przeszłości Elliota. Chciałam też znów ujrzeć jego matkę - matki fascynowały mnie od zawsze - poznać jego ukochaną siostrę i jej potomstwo. Ale czy przyznałabym się do tego, że pragnęłam również zobaczyć życie, którego częścią miałam szansę kiedyś się stać? Musiałam w pewnym stopniu zdawać sobie z tego sprawę, ponieważ z jednej strony miałam nadzieję, że domek nad jeziorem będzie taki, jakim go sobie wyobrażałam, z drugiej zaś, że nie sprostą wizji, jaka już dawno powstała w mojej głowie. Tkwiąca we mnie pragmatyczka, prosto myśląca i pruderyjna, z włosami upiętymi w ciasny koczek, zapragnęła rozejrzeć się, zaspokoić ciekawość, po czym wrócić do domu, do męża, z przekonaniem, że dobrze wybrała. Wszystko okazało się jednak dużo bardziej skomplikowane.

- Mamy dobre intencje - powiedziałam. - Tak się możemy wytłumaczyć, jeśli zostaniemy przyłapani.

Elliot położył rękę na drążku zmiany biegów i wrzucił bieg jałowy.
- Cieszę się, że tu jesteś - powiedział. - To dziwne, że wszystko, co się dzieje teraz, jest kłamstwem, bo wcale tego nie czuję.

ROZDZIAŁ 14

Elliot wjechał na szeroki żwirowy podjazd ciągnący się wzdłuż białego płotu. Ujrzałam kępę drzew, za nią rozległy trawnik, a na jego skraju wysoki, strzelisty dom z błękitnymi okiennicami, kryty wyblakłym na słońcu i deszczu gontem z drewna cedrowego. W otwartym oknie na piętrze łopotała na wietrze przejrzysta biała zasłona, przypominająca welon, jakby w domu przebywała prawdziwa panna młoda.

Podczas gdy Elliot parkował, spoglądałam na trawnik prowadzący w dół, do jeziora. Jezioro było piękne, wiło się i rozciągało od stromego brzegu przystani Hullów aż do majaczących w oddali domków wybudowanych na skraju lasu.

Przystań Hullów wcinała się w brzeg, a po obu stronach pomostu cumowały pomarańczowe łódki. Na tarasie, przodem do jeziora, ustawiona była para drewnianych krzeseł. Na pobliskich drzewach wisiały wiklinowe karmniki dla ptaków pomalowane jaskrawożółtą farbą. Po prawej stronie stała stara drewniana szopa z pochyłym dachem. Z przybitego do jej drzwi haczyka zwisała sieć rybacka. Z oddali dochodziło bzyczenie motorówek.

Wysiadłam i przez chwilę stałam na trawniku. Po chwili za moimi plecami pojawił się Elliot.

- Słynny domek nad jeziorem. A więc to tu - powiedziałam.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- Dużo o nim mówiłem? Skinęłam głową.

- Rozczarowana? -Nie.

Kiedyś wyobrażałam sobie małego Elliota Hulla dokazującego na błotnistym brzegu, dziecko, które mówi do siebie podczas zabawy, odgrywając różne role. Rzeczywiście było to miejsce jak ze snu - niezmierny błękit nieba i błękitna woda, ważki, podwórze, okazały dom.

- Na co chorowałaś w dzieciństwie?

- Na astmę - odrzekł. - Przywozili mnie tu, żebym odetchnął świeżym powietrzem. Jak byłem mały, sikałem z pomostu do jeziora.

- To miejsce jest takie prawdziwe, pełne życia.

- Otacza cię bicie mnóstwa serc - odparł. - Tu wszystko ma puls.

- Zbyt długo przebywałam w mieście - powiedziałam, wpatrując się w falujące wody jeziora. Nagle poczułam się spokojna i bezpieczna. -

Pewnie przywoziłeś tu Ellen Maddox.

- Ellen Maddox. Już dawno nie słyszałem tego nazwiska. Moja matka jej nie lubiła. Nie lubiła też Claire.

- Czy matka urządziła ci tu kiedyś przyjęcie zaręczynowe? -

Wyobraziłam sobie białe namioty, kelnerów, krzesła ozdobione białymi balonami.

- Claire i ja cały czas to odkładaliśmy. - Wzruszył ramionami. - A z Ellen nie byliśmy zaręczeni na serio. Mieliśmy po dwadzieścia dwa lata.

Pewnego dnia poleciała za Zachodnie Wybrzeże, na pogrzeb dziadka. W samolocie poznała swojego stewarda.

- A gdyby jej dziadek nie umarł? - spytałam.

- Był bardzo chory - odrzekł Elliot. - I stary. Miał z dziewięćdziesiąt lat. Prędzej czy później na coś by umarł.

- Ale gdyby nie spotkała tamtego stewarda? O to mi chodziło.

- Znalazłby się inny steward. Mówiąc w przenośni.

- Mówiąc w przenośni - powtórzyłam. - Moje życie to też jedna wielka przenośnia. - Zrozumiałam, że między innymi dlatego czuję się tutaj taka swobodna i spokojna. Nic nie było prawdziwe.

Ale Elliot zdawał się być przejęty. Powiedział:

- Opowiem ci pewną historię.

- Dobrze.

Spojrzał na pomost, potem jego wzrok prześliznął się po trawniku.

- Jakiś czas temu wpadłem na dawnego znajomego w sklepie spożywczym w miasteczku. W młodości graliśmy razem w drużynie piłki nożnej. Był z dwójką dzieci. Jedno dziecko, niemowlę, siedziało w wózku na zakupy, drugie, starsze, ścigało wszystko z półek. Jego wózek był pełen po brzegi. A ja przyszedłem wtedy do sklepu po limonkę, jedną nędzną limonkę. Miałem ochotę na dzin z tomkiem. On powiedział: „Nie bądź taki mądry. Pamiętam, jak też kiedyś przychodziłem do sklepu po jedną rzecz”. A ja na to: „Sam nie bądź mądry”. Nie pojął, o co mi chodzi, roześmiał się więc, udając, że chwycił dowcip.

- Ale to nie był dowcip. - Rozumiałam Elliota. Ja też widywałam w sklepach takie rodziny, wykończone matki, które zdawały się mieć ze sto rąk, żonglujące smoczkami, puszkami z fasolką i opakowaniami płatków Cheerios. Obserwowałam je, trzymając w ręku butelkę szamponu, z dziwną mieszanką współczucia i zazdrości.

- To nie był dowcip - potwierdził Elliot.

- Czuleś, że on triumfuje: dzieci, wózek pełen zakupów?

- Jego matka zapewne też miała się dobrze. Nawet nie myślała o umieraniu.

- I żonę pewnie miał prawdziwą.
- Pewnie tak.
- Wiem, jak to jest - zapewniłam go. Elliot wbił ręce w kieszenie.
- Chyba między innymi dlatego pragnę, żebyś tu była. Nie chodzi tylko o przekręt z małżeństwem. Wiem, że ty mnie rozumiesz.
- Każda strata jest inna - zaprotestowałam, czując, że zbyt wiele ode mnie oczekuje.
- Nie jestem tego pewny, w końcu przestają się liczyć okoliczności, pozostaje tylko to uczucie... Wydaje mi się, że strata to strata. Przez chwilę staliśmy w ciszy. Nagle zza domu wyszła mała dziewczynka. Ciemnowłosa, o kanciastej figurce, z wiaderkiem przewieszonym przez ramię, jakby to była torebka. Miała na sobie spodenki gimnastyczne, kalosze i batikową bluzę. Spojrzała na nas, mrużąc oczy, jakby niedowidziała, a potem ciężkim krokiem ruszyła w naszym kierunku. Postawiła wiaderko na ziemi i powiedziała:
 - Elliot, przyszedł ten zestaw, który mama zamówiła pocztą. - Zwróciła się do mnie. - Przysłali mi wypluwkę, czyli mysz, którą zjadła sowa, a potem zwróciła jej szkielet. Zwróciła, znaczy wyrzygała.
 - Aha - odezwałam się. - To chyba fajna sprawa.
 - Bib, to jest Elizabeth.
 - Cześć - powiedziała Bib, przez sekundę spoglądając na mnie zmrużonymi oczyma, po czym przeniosła wzrok z powrotem na Elliota. - Leży na stole w przedpokoju, bo mama nie pozwala mi jej wziąć na stół kuchenny, gdzie jest lepsze światło. - Znów spojrzała na mnie i wyjaśniła:
 - Używam pię-sety i pracuję w rękawiczkach. Mysz jest całkowicie nieżywa.
 - Bib wie, czego chce - powiedział Elliot.
 - Na co to wiaderko? - zapytałam. Bib wzruszyła ramionami.

- Szukam okazów. Ale podnoszę je patykiem. Bez obawy.
- Znalazłaś dziś coś ciekawego?
- Nie bardzo.
- Co tam w domu? - zapytał Elliot, omiatając wzrokiem okna.
- Jeżozwierz drzemie. Dziś rano zwracał na mnie. - Bib pokazała nam plamę na bluzie. - Babcia też drzemie. Ale myślę, że niedługo wszyscy się obudzą. - Znów przewiesiła wiaderko przez ramię.
- Milo było cię poznać - powiedziałam. Dziewczynka skinęła głową.
- Tu zagnieżdżył się orzeł, a orły potrafią złapać jagniąt-ko ważące do dziewięciu kilogramów i po prostu z nim odlecieć. Łapia je i w powietrze. Z kopytami i wszystkim. Musisz uważać.
- Na szczęście ważę więcej niż dziewięć kilogramów.
- Ale i tak uważaj.
- Masz całkowitą rację.
- Orzeł mógłby unieść Jeżozwierza - powiedziała Bib z dość obojętną miną, jakby mogła sobie wyobrazić większe nieszczęścia. - Odlecieć z nim do góry. - Powiedziawszy to, odeszła w swoją stronę.
- To właśnie Bib - wyjaśnił Elliot. - Chodzi do szkoły dla ponadprzeciętnie zdolnych dzieci.
- Wygląda na bardzo bystrą.
- Aż za bardzo.
- A więc... - powiedziałam.
- A więc... - powtórzył.
- Chyba powinniśmy wejść do środka?
- Chyba tak. Czekają na nas pięknie zapakowane tostery, obwiązane ozdobną wstążką.
- Czas wyzwolić je z więzów.

Elliot potrząsnął głową i zrobił kilka kroków w stronę jeziora.

- To nie tę historię miałem ci opowiedzieć. Nie o facecie w spożywcza.
- Nie?

- Akurat przyszła mi do głowy, ale chciałem ci opowiedzieć co innego. -
Zamilkł na chwilę, wpatrując się w trawę u swych stóp, jakby coś zgubił.

- Zobaczyłem cię przez szybę lodziarni. Przechodziłem obok i
zobaczyłem, że stoisz w kolejce. To było jak wizja, zamarłem, waliło mi
serce. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nagle poczułem, jakbym szukał cię od
lat po całym świecie, sam o tym nie wiedząc. I w końcu cię odnalazłem.
Nie wiedziałem, co robić. Nie chodziło o to, czy mam wejść, czy nie,
tylko, nie wiem, chyba stałem tam, usiłując zrozumieć, kim jestem.
To było dziwne.

Wyobraziłam sobie, jak mnie obserwuje, stojąc na środku chodnika w
swoich luźnych szortach i bejsbolówce. Przecież ja chyba czułam to
samo? Elliot Hull zjawił się wreszcie po tych wszystkich latach. Nie
mogłam jednak mu tego powiedzieć. Bałam się ciężaru jego wyznania,
tego, co nagle pojawiło się między nami.

- I udało ci się zrozumieć, kim jesteś? - spytałam przez ściśnięte gardło.

- Tak bardzo cię kochałem. Twoje odejście mnie zniszczyło. Próbowałem
się pozbierać. Najpierw była Ellen Maddox, potem Claire, no i wszystkie
kobiety pomiędzy nimi. Nawet filozofią zająłem się między innymi z
nadzieją, że zyskam jakiś dystans... dystans do ciebie. Ale nic z tego. To
właśnie zrozumiałem, stojąc przed lodziarnią, że wciąż cię Kocham i
nigdy nie przestanę.

- Udało ci się zrozumieć, kim jesteś? - powtórzyłam. Stałam bez ruchu.
Bałam się, że jeśli zrobię krok, spadnę w przepaść. Jakby moje ręce i nogi
zrobione były z powietrza. Patrzyłam na Bib, która przemierzała trzciny
na brzegu jeziora. Miała już coś w wiaderku, może był to kamień.
Upuściła je na ziemię. W środku coś głucho zagrzechotało.

Elliot chodził tam i z powrotem.

- Zrozumiałem, że nie jestem kimś, kto odwraca się na pięcie i rusza dalej ulicą, ale kimś, kto wchodzi do lodziarni i mówi coś idiotycznego, na przykład zamawia dwie gaiki Gwen Merchant, a potem żałośnie wprasza się z powrotem do twojego życia.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Bałam się odezwać. Ale jednocześnie przepełniała mnie radość, że okazał się kimś, kto nie odwraca się na pięcie.

- Czy to dlatego tu jestem? Wszystko zaplanowałaś?

- Nie! Nie wiedziałem, że tak to się ułoży. Nie jestem aż tak dobrym strategiem. Kto mógłby to wszystko zaplanować? - Zatoczył wokół ramieniem. - Okłamałem matkę. Ona umiera. To nawet nie był mój pomysł, żebyś tu przyjeżdżała. - Pomyślał przez chwilę, po czym potrząsnął palcem. - Ale może przyciągnąłem cię tu siłą woli, choć wcześniej nigdy mi się to nie zdarzyło. - Zamilkł na chwilę. - Niech będzie tak: gdybym potrafił, przyciągnąłbym cię myślami. O to możesz mnie obwiniać.

Wiał delikatny wietrzyk. Widziałam Bib kucającą na błotnistym brzegu jeziora, dźgającą coś patykiem. Czy wciąż kochałam Elliota Hulla? Czy to właśnie poczułam w lodziarni? Miłość? Jeśli tak, to z domieszką strachu. Elliot wciąż mnie przerażał. Kto wyznaje coś takiego w podobnej chwili? Nagle ogarnęła mnie złość.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytałam podniesionym głosem. - Dlaczego teraz? Dlaczego nie możesz pozwolić, żeby wszystko toczyło się swoim biegiem, czemu nie możesz być jak normalni ludzie? Dlaczego nie możesz... - Czy chciałam prosić go, by podzielił swą miłość na porcje i stopniowo mi ją wydzielał? Zamilkłam. Wiedziałam, że to niemożliwe. Elliot kochał mnie po swojemu.

- Nie martw się - powiedział. - Nie wymagam od ciebie reakcji. Musiałem powiedzieć ci prawdę. To wszystko. - Za-

łożył ręce na piersi, spojrział w ziemię i ze smutkiem potrząsnął głową. Zmagał się ze sobą i nie ukrywał tego, jego wewnętrzna walka objawiała się w niespokojnych ruchach i gestach. - Nie byłoby w porządku prosić cię, żebyś weszła ze mną do środka, gdybyś tego nie wiedziała. Jeśli chcesz, możemy wsiąść z powrotem do samochodu. Mogę odwieźć cię do miasta albo wsadzić do pociągu... Możesz też wejść.

Zamknęłam na chwilę oczy, a kiedy je otworzyłam, on wciąż tam stał, czekał na mnie.

- Skupmy się na naszym kłamstwie - powiedziałam. - Na razie tego się trzymajmy.

ROZDZIAŁ 15

Weszliśmy więc po tylnych schodkach tarasu, przez oszklone drzwi, do kuchni. Oboje byliśmy niespokojni i pomyślałam, że w naszym zdenerwowaniu przypominamy prawdziwą młodą parę, która pobrała się w tajemnicy i teraz po raz pierwszy pokazuje się razem rodzinie.

W kuchni przystanęliśmy niepewnie. Jennifer myła Jeżozwierza w podwójnym zlewie. Widziałam jego mokrą głowę i pulchne różowe ramię. Jennifer nie zauważyła nas, a my, nie wiedząc, jak zacząć, popatrywaliśmy na siebie. Dzielił nas ciężar wyznania Elliota, historii, którą mi opowiedział.

Pod jedną ze ścian stała biała kanapa z jasnymi poduszkami, która zdawała się w kuchni nie na miejscu. Z drugiej strony, czemu właściwie nie postawić kanapy w kuchni? Wszędzie były książki. Jedną ze ścian całkowicie zabudowano regałami. Ktoś inny pewnie wykorzystałby ją na szafki kuchenne. Książki zajmowały również blaty, stół, niewielki stosik leżał nawet na kanapie. Większość z nich tkwiła w nieładzie, grzbietami do góry. W głowie usłyszałam głos Eili: „Bałagan, bałagan, bałagan! Nikt nie ma ochoty dziedziczyć cudzych śmieci, nawet mentalnych!”. Eila nie była fanką

książek. Widząc regał, zdejmowała z niego książki, w ich miejsce ustawiając wazony. Nie spodobałyby się jej także rodzinne fotografie, tym bardziej że każda była innego rozmiaru. „Ludzie mają dość rodziny! Nikt nie chce razem z domem kupować czyjegoś bagażu!”, stwierdziłaby z pewnością. W tym domu zdjęcia nie stanowiły części wystroju wnętrza, nie stały nawet w równych szeregach. Nie były to również upozowane fotografie pięknie ubranych, uśmiechniętych ludzi, jakie zawsze wzbudzały moją zazdrość (moja pamiątka z zakończenia studiów to na przykład żaloszne ujęcie mnie i ojca z dużej odległości - autorem zdjęcia był zapewne jakiś inny student. Stoimy obok siebie, ale nasze kanciaste ramiona i tak dzieli przekłete dwa i pół centymetra).

Te zdjęcia były zupełnie inne. Jedno z nich przedstawiało Jennifer obejmującą własne zadrapanie kolano, inne - ściskającą chudego kota. Zobaczyłam też fotografię czteroletniego Elliota kucającego nad czymś, co wyglądało na martwego ptaka. Chłopiec przyglądał mu się z zachwytem jak naukowiec, który właśnie dokonał przełomowego odkrycia. Na innym zdjęciu Elliot był już nastolatkiem. Siedział w swobodnej pozie w fotelu, z nieobecnym wzrokiem wbitym w przestrzeń - młody myśliciel! Obok stała fotografia starej kobiety w wysokich wędkarskich kaloszach i kilku starych mężczyzn obok koszy pełnych pomidorów. Zwróciłam uwagę na jedno zachwycająco piękne zdjęcie matki Elliota, Vivian - prawie takiej, jaką ją zapamiętałam. Stała w tej właśnie kuchni, na jednej nodze, usiłując zapiąć pantofel na wysokim obcasie. Następna fotografia musiała być zrobiona z okna sypialni na piętrze. Z jednej strony niczym widmowa wstęga falowała krawędź przejrzystej zasłony. Na zdjęciu widać było trawnik, pomost i szopę w rogu. Vivian miała na sobie biały jednoczęściowy kostium kąpielowy i wielki słomkowy kapelusz. Jennifer zapewne właśnie nauczyła się chodzić. Ubrana była tylko w marszczoną spódniczkę, Elliot zaś był wątłym chłopcem

w białej koszulce i kąpielówkach. Osoba, która robiła zdjęcie, najwidoczniej właśnie ich zawołała. Elliot osłaniał dłonią oczy przed słońcem, u jego stóp leżały wędki. Vivian wskazywała Jennifer osobę stojącą w oknie, a dziewczynka machała do niej. Był zwykły letni dzień, piękne, słoneczne popołudnie. Vivian miała na zdjęciu lekko zachmurzoną twarz. Czy kochała osobę stojącą w oknie? Trudno powiedzieć.

Wszystkie te zdjęcia były cudowne. Zachwycaly nawet niedopasowanymi ramkami, ponieważ tworzyły historię cichych, prawdziwych chwil, opowieść o prawdziwej rodzinie. Eila nie miała racji. Czasami ludzie pragną odziedziczyć czyjeś śmieci, choćby i mentalne, nie wszyscy mają dość rodziny.

Jennifer, nucąc, zakręciła kran i uniosła niemowlę znad zlewu. Elliot wyskoczył do przodu, łapiąc za wiszący na krześle gruby ręcznik.

- Proszę - powiedział. Niemowlę było pulchne i śliskie. Jego lśniąca, jakby gumowata gładkość przywodziła na myśl fokę.

- Jesteście! - Jennifer zwróciła się do mnie z ulgą. Owinęła dziecko w ręcznik i odgarnęła z oczu długą grzywkę. Była zachwycająca, jedna z tych kobiet o naturalnym różanym kolorzycie, które nie muszą się malować. Stała boso, miała na sobie bluzkę w kwiatki w stylu trochę retro, trochę hippisow-skim i szorty. Przypomniała mi się dziewczynka ze zdjęcia, w żółtym kapoku, z opaloną buzią, jasnymi włosami pełnymi wypłowiałych na słońcu pasemek i kpiarskim uśmiechem. Prawie się nie zmieniła.

- Jesteśmy - potwierdził Elliot. - Jennifer, to jest Gwen, na którą od tej chwili mówimy Elizabeth. Elizabeth, to jest Jennifer.

- Tak się cieszę, że przyjechałaś. - Podbiegła do mnie z dzieckiem na ramieniu. Uściskała mnie, nie przejmując się ciepłym, mokrym niemowlęciem między nami. Nie spodziewałam się tego i prawie przewróciłam się na sofę. - Dziękuję,

że to robisz - powiedziała. - Wiem, że to dziwaczne, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Prawda, Elliot? - Elliot skinął głową. Jeżozwierz bawił się własnym uchem. Był pięknym niemowlakiem, wielkookim, zaślinionym i z mnóstwem podbródków.

- Napijcie się czegoś? - spytała Jennifer. - Jesteście głodni? Byłam zbyt zdenerwowana, by jeść.

- Nie, dziękuję.

- Za dużo wrażeń na raz, co? - zapytała.

- Nie, wszystko w porządku - odparłam. - Poznałam Bib. Jest bardzo ciekawym dzieckiem.

- Ostrzegła cię przed orłami?

- Owszem, udzieliła mi poważnego ostrzeżenia.

- Te ptaki chyba trochę ją przerażają.

- Cóż, potrafią podnieść dziewięciokilowe jagniątko, z kopytami i wszystkim.

- To może przerażać mniejsze stworzonka - dodał Elliot. Jennifer wyrzuciła przez drzwi tarasowe.

- Łazi teraz gdzieś ze swoim wiaderkiem. Wieczorem znów przyniesie je pełne nie wiadomo czego.

- Słyszałem, że doszła sowa wypluwka! - powiedział Elliot.

- Ach, rzeczywiście - Jennifer nie wyglądała na zachwyconą. - Trudno sobie wyobrazić coś bardziej uroczonego. - Spojrzała na swoje bose stopy, poklepała Jeżozwierza po owiniętej ręcznikiem pupie, po czym podniosła na mnie okrągłe, wilgotne oczy. - Byłam przy tym, gdy Elliot wymyślił historię z małżeństwem - wyznała mi cicho. - Kiedy powiedział, że się ożenił, poczułam ulgę nie mniejszą od mamy. Nie wierzyłam mu, ale był tak przekonujący, że jakaś część mnie uwierzyła mu całym sercem. Miał rację. Postąpił właściwie. Ona nie mogłaby umrzeć w spokoju, wiedząc, że Elliot zostanie na świecie sam, bez żadnej podpory. Nie mógł zrobić nic innego. Byliśmy niemal pewni, że mama nie przeżyje weekendu, a jednak przeżyła.

- To dziwne - Elliot zwrócił się do siostry. - Nie sądzisz? Sama była niezależna przez tyle lat. Nie rozumiem, dlaczego uważa, że ja potrzebuję podpory.

- Ja akurat się z nią zgadzam - zauważyła Jennifer cierpko, po czym zwróciła się do mnie. - On naprawdę dobrze postąpił. Dziękuję, że tu jesteś.

- Nie ma za co - odpowiedziałam.

- Elizabeth Calendar - odezwał się Elliot. - Moja żona! Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Uśmiechał się do mnie, przekrzywiając głowę. Ja też miałam ochotę się uśmiechnąć, ale powstrzymałam się i próbując odwrócić uwagę od jego oświadczenia, spytałam:

- A więc zachowałam panieńskie nazwisko?

- Owszem - odrzekł. - Jesteś bardzo dumna ze swoich korzeni.

Pochodzisz od hodowców krów i właścicieli plantacji fig. I jesteś prawdziwą feministką.

- Naprawdę?

- Możesz być, kim tylko zechcesz.

- Komunistką, która odpala papierosa od papierosa? Wzruszył ramionami.

- Czemu nie?

- Dzięki, towarzyszu. Zawsze chciałam palić gauloises i krzyczeć z balkonu: „Vive la revolution!”.

- Balkon mamy.

- Znakomicie.

Jennifer potarła puszysty meszek na głowie Jeżozwiera.

- Mama przysypia w salonie. Była dziś nowa pielęgniarzka z hospicjum. Ma na imię Chesa. Świetna, jak one wszystkie. Poszłam po zakupy, przyniosłam słodkie ziemniaki, o które prosiła mama. Zobaczymy, czy trochę zje. - W głosie Jennifer nagle pojawiło się napięcie, jakby starała się mówić swobodnie, ale nie do końca jej się to udawało. - Ubiorę małego. Możecie pobyć z nią trochę sami. Dajcie znać, gdyby czegoś potrzebowała.

- Poradzimy sobie - zapewnił ją Elliot. Jeżozwierz zaczął jęczeć i wyginać się.

- Jest jak budzik - stwierdziła Jennifer. - Czas minął! - Pokołysała synka, po czym szybko wyszła z kuchni.

- Jest piękna - powiedziałam do Elliota. - A Jeżozwierz przemiły. Ale on mnie nie słyszał. Podeszedł do drzwi prowadzących do salonu i stanął w progu oparty o framugę. Ruszyłam za nim i spojrzałam tam, gdzie on - na szpitalne łóżko ustawione w ciepłej plamie słońca wpadającego przez okno. W łóżku leżała matka Elliota: chude ciało przykryte bladoniebieskim prześcieradłem, głowa odwrócona na bok, zamknięte oczy. Miała białe, gładkie włosy stapiające się kolorem z poduszką.

- Już nie wygląda jak członkini rodu Kennedych - odezwał się Elliot. - Dopóki się nie odezwie, ledwo ją rozpoznaję... Gdy jednak zacznie mówić, wiem, że to ona. Ma specyficzny sposób wyrażania się... Ale z tego miejsca... - W tym momencie po raz pierwszy dostrzegłam głębię jego smutku. Kochał matkę. Pękało mu serce i nie miał zamiaru tego ukrywać. Przeżywał ból całym sobą. A Peter? Czy w ogóle miałam prawo porównywać go do Petera? Nie, ale był to naturalny odruch. Nigdy nie widziałam Petera naprawdę smutnego. To było jak różnica między oglądaniem mapy a ujrzeniem jakiegoś miejsca na własne oczy.

- Wejdzmy - powiedziałam.

Vivian otworzyła oczy, jakby nas usłyszała. Uniosła rękę tuż nad prześcieradłem i gestem przywołała nas do siebie.

Podeszliśmy. Vivian nacisnęła guzik i łóżko z bzyčeniem uniosło ją do pozycji siedzącej.

- Mamo - odezwał się Elliot. - To jest Elizabeth. A to moja matka, Vivian. Była słaba, ale jej oczy wciąż lśniły. Miała niezwykle szlachetny kształt nosa oraz długą szyję. Wyciągnęła do mnie dłonie. Ujęłam je i wykonując ten drobny gest, poczułam, jak-

bym przekazywała jej jakąś ważną część siebie. Była to bardzo cicha, pełna intymności chwila. Zaufałam jej od pierwszej sekundy.

Popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami, jakby czytając z mojej twarzy.

Podobnie zachowała się wcześniej Bib. Przez krótką chwilę bardzo wyraźnie zobaczyłam w Vivian jej wnuczkę. Gdy już się napatrzyła, powiedziała mocnym, zdecydowanym tonem:

- Proszę bardzo! Odnalazł cię.

Przez chwilę myślałam, że rozpoznała mnie - Gwen Merchant - z przyjęcia z ciastkami i ponczem sprzed ponad dziesięciu lat. Poczulałam w piersi ukłucie paniki. Może to już koniec, może zostaliśmy przyłapani.

Spojrzałam na Elliota. On też rzucił mi pełne paniki spojrzenie i już

otworzył usta, by poprawić matkę, gdy ta śpiwnym tonem powiedziała:

- Elizabeth, Elizabeth, czekałam na ciebie. - Po czym poprosiła Elliota: -

Podaj mi okulary ze stolika. Chcę zobaczyć pierścionek.

To było oczywiste, że będzie chciała go zobaczyć, ale z jakiegoś powodu wcześniej o tym nie pomyślałam. Włożyła dwuogniskowe okulary i unosząc do góry brodę, wpatrzyła się w moją dłoń.

- Och, jaki piękny. Sam wybrałeś? Mój syn, który zestawia paski z kratką? - Zwróciła się do Elliota. - Nigdy nie sądziłam, że masz tak świetny gust, jeśli chodzi o biżuterię.

- Może nie świetny, ale jakiś jednak mam - odrzekł.

- Pomagałam wybierać - wyjaśniłam.

Rzeczywiście tak było. Mało romantyczny gest, ale Peter podszedł do sprawy praktycznie. „Będziesz go nosić do końca życia - powiedział. - Musi ci się podobać”.

- I ładnie wykonany - dodała Vivian. Zdjęła okulary i położyła je na wątlej piersi. - Chciałabym przejść do konkretów - powiedziała. - Nie interesują mnie już beztroskie pogawędki ludzi zdrowych, którzy tracą czas na niekończące się

gadki szmatki i rozmowy o pogodzie. - Elliot miał rację. Nikt nie wyrażał się tak jak ona. Kładła nacisk na wybrane słowa, wyostrowając w ten sposób znaczenie całej wypowiedzi, chociaż miała też wadę wymowy, której nie potrafiłam dokładnie uchwycić. Mówiła zwięźle i elegancko. Uznałam, że książki w domu należą do niej i przeczytała je wszystkie. Rzędy książek zapełniały również salon, a znajdujące się w nim fotele i niewielkie lampki zapraszały do czytania.

Poza tym pokój, łącznie z ceglanym kominkiem, wypełniały kwiaty. Do każdego wazonu dołączony był liścik. Jedynie na stoliku przy łóżku zamiast książek lub kwiatów leżały niezbędne medykamenty: maści, chusteczki, fiołki pełne tabletek.

- Tak od razu chcesz przechodzić do konkretów? - powiedział Elliot.

- Nie mam czasu na pogaduszki. Dobrze o tym wiesz. - Konkrety - odezwałam się. - W porządku. O czym chcesz rozmawiać?

- O tobie - odparła.

- A co chciałabyś wiedzieć? - Zerknęłam na Elliota nerwowo.

- Czy chcesz mieć dzieci? - spytała.

- To chyba dość osobiste pytanie - wtrącił się Elliot. Spojrzała na niego ostro.

- Chcę wiedzieć, czy będę miała kiedyś więcej spadkobierców. Nie sędzę, żeby było to zbyt osobiste pytanie. - Potem zwróciła się o mnie i powiedziała: - Jak myślisz?

- Chcę mieć dzieci - odparłam. Zawsze tego pragnęłam, mimo że sama niezbyt dobrze wspominałam dzieciństwo. Czułam lęk, patrząc na niespokojne noworodki wyrywające się do rodziców oraz słuchając opowieści Helen o jej stosunkach z własną matką. Mimo to pragnęłam mieć dzieci, niemowlęta, które można myć nad zlewem, i które, gdy podrosną, będą grzebać patykiem w trzcinach. - Dwójkę, może trójkę - dodałam.

- Dzieci to nasi ukochani zabójcy. W pozytywnym sensie - dodała, zwracając się do syna.

- Wiem, znam już tę twoją teorię - przytaknął Elliot. - Niemal na pamięć.

- Ale mam rację - powiedziała Vivian. - Wina nie leży po żadnej ze stron. Poświęcamy naszym dzieciom całą energię w nadziei, że wyhodujemy sobie następców. Elliot jest lepszym człowiekiem niż ja. Jennifer również. Spełniłam więc swoje zadanie.

Uderzyło mnie to, jak pełne miłości były jej słowa. Przez chwilę bałam się, że się rozplaczę. Pomyślałam o własnej matce. Nie miała okazji poświęcić mi całej swojej energii. Czy uznałaby mnie za godną następczynię?

- Moja matka umarła - powiedziałam szybko. Zazwyczaj przyznawałam się do tego tylko wtedy, gdy nie miałam wyjścia, zaskoczyły mnie więc moje słowa. - Kiedy byłam mała. Właściwie jej nie pamiętam.

Vivian nie wyglądała jednak na zdziwioną.

- Przykro mi, kochanie - powiedziała. - Bardzo mi przykro. Ile miałaś lat?

- Pięć - oparłam.

- Czy kochasz swojego ojca albo czy przynajmniej go szanujesz?

- Tak.

- A czy wybaczyłaś rodzicom? Nie zrozumiałam, o co jej chodzi.

- Co miałabym im wybaczyć?

- Wszystko.

- Ojcu chyba tak - powiedziałam. - Tak mi się wydaje. - W gruncie rzeczy nie byłam pewna. A może jednak jakaś część mnie nienawidziła ojca i jego gadających ryb, naszych okropnych niedzielnych lunchów, smutnego, pustego domu i martwych ciem? - Nie - poprawiłam się. - Może i nie.

- Każde dziecko w jakimś stopniu musi się pogodzić z rodzicami. Nawet jeśli twoja matka nie żyje, nie oznacza to, że nie potrzebuje twojego przebaczenia, prawda? - Zerknęła na Elliota. - Nie powiedziałam nic złego. Nawet nie zaczynaj.

- Może Elizabeth nie chce rozmawiać o takich sprawach - zauważył Elliot z delikatnym naciskiem.

Ale ja nie chciałam przerywać tej rozmowy.

- Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, czy przebaczyłam matce. Bo właściwie co miałabym jej przebaczać? Że umarła? Chyba nigdy jej za to nie winiłam.

- Na wszystko przychodzi czas - odparła Vivian. - Ale będzie wam łatwiej żyć, gdy już wybaczysz rodzicom ich niedoskonałe człowieczeństwo, niedostatek cnoty i hartu ducha, ich zwichrowane ego. - Spojrzała na Elliota. - A ty? Przebaczyłeś mi już?

- Twoje niedoskonałe człowieczeństwo i zwichrowane ego?

Żartobliwie pogroziła mu palcem.

- Staram się - powiedział. - Możliwe jednak, że będę potrzebował terapii.

- Tak naprawdę mnie uwielbia - szeptem zwróciła się do mnie Vivian. - Chociaż terapia by mu nie zaszkodziła. Nie pozwól tylko, by się od niej uzależnił. Niektórym to się zdarza.

- Bez obaw.

- A pamiętasz, jak było z ojcem? - przypomniała Vivian. - Masz genetyczną skłonność do grzebania we własnym niedoskonałym człowieczeństwie.

- Mój ojciec uzależnił się od terapii w latach siedemdziesiątych. Ale wtedy była na nią moda, podobnie zresztą jak na valium.

- Ja wolałam valium - uśmiechnęła się Vivian, a potem spytała: -

Wierzysz w Boga?

- Czy naprawdę moglibyśmy nie przechodzić od razu do religii i polityki?

- odezwał się Elliot. - Nie chciałbym urzą-

dzać Elizabeth hiszpańskiej inkwizycji. - Westchnął i rzucił mi przepraszające spojrzenie.

- Co jest złego w rozmowie o Bogu? - spytała Vivian. - Elizabeth, czy ten temat cię obraża?

- Nie, nie przeszkadza mi - odrzekłam. - Wierzę w istnienie siły wyższej. Dobrej siły. Nie wierzę, że poza tym, co widzimy, nie ma już nic. Ale wychował mnie człowiek nauki, staram się więc, jak mogę. - Nagle poczułam, że za dużo o sobie powiedziałam. Czy powinnam więcej kłamać, by bardziej przekonująco zagrać Elizabeth? Miałam ochotę spytać o to Elliota.

- A czy wierzysz w takim razie, że ta siła ingeruje w nasze życie? Jeśli tak, to w jaki sposób? Czy zapewni ci miejsce na parkingu, kiedy spieszysz się na spotkanie? Wierzysz w cuda, Elizabeth?

Chciałam odpowiedzieć twierdząco. Zdawało mi się, że powinnam tak odpowiedzieć komuś, kogo tylko cud może uratować od śmierci. Zadała mi jednak to pytanie w tak otwarty sposób i taka szczerą była nasza rozmowa, że choć moja obecność w tym domu opierała się na jednym wielkim kłamstwie, wiedziałam, iż Vivian nie zaakceptuje nic prócz prawdy.

- Boję się cudów - odpowiedziałam.

- Aha - Vivian pokiwała głową, jakby była to pierwsza interesująca odpowiedź, jakiej jej udzieliłam. - To dobrze. Strach. Ale nie możesz pozwolić, by tobą sterował. - Zamknęła oczy. - Ja wierzę w cuda, ale tylko dlatego, że nie mam wyboru. - Nagle ucichła i zamknęła oczy. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie przysnęła. Jednak zaraz znów na mnie spojrzała. - Czy znasz jakąś dobrą definicję miłości?

Przeniosłam wzrok na Elliota i z powrotem na Vivian.

- Hm... - zaczęłam, zbita z tropu. - Myślę... Myślę, że prawdziwa miłość to rozmowa, która trwa całe życie.

Słyszając to, Vivian zmrużyła oczy.

- Elliot - srogim tonem zwróciła się do syna - wykorzystujesz mój materiał?
 - Uczę się od najlepszych.
 - Przepraszam - powiedziałam.
 - Za co?
 - Za recykling dobrych tekstów.
 - Potraktuję to jako komplement - odrzekła. - Gdzie się urodziłaś?
 - W Ohio. - Chyba każdy mógłby pochodzić z Ohio? Było to bezpieczne kłamstwo, i o to mi chodziło.
 - Czym się zajmujesz?
- Nie chciałam powiedzieć, że wystrojem wnętrz. Nie chciałam też powiedzieć, że jestem pracownikiem naukowym, jak ojciec. Pomyślałam o matce. Co o niej wiedziałam? Niewiele.
- Robię na drutach. Projektuję ubrania robione na drutach. Jestem projektantką. - A ponieważ brzmiało to zbyt enigmatycznie, dodałam: - Głównie czapki i kapelusze.
 - Czapki i kapelusze - powtórzyła Vivian marzycielskim tonem. - Lubię czapki i kapelusze. Czy Jennifer przyrządza słodkie ziemniaki? Czuję ich zapach.
 - Owszem - odrzekł Elliot. - Obiecuj, że zjesz choć trochę.
 - Nie składałam już obietnic. Ach! - zawołała nagle. - Zapomnielibyśmy! - Sięgnęła po szklankę stojącą na stoliku przy łóżku. - Podaj mi łyżeczkę - poprosiła Elliota. Następnie zadzwoniła, łyżeczką o szklankę. - Ominął mnie ślub i wesele.
 - Nie mieliśmy wesela - sprostował Elliot nerwowo.
 - Ale ja lubię tę tradycję. Starzy stukają w szklanki, a młodzi się całują. Nie ma to sensu, ale podoba mi się ten zwyczaj, gdyż jest prymitywny. Spojrzeliśmy z Elliotem na siebie. Byliśmy mężem i żoną, musieliśmy się pocałować. Lekko wzruszyłam ramionami, a on szybko pochylił się i przycisnął swoje ciepłe usta do moich. Zacerwieniłam się i poczułam, jak zalewa mnie fala gorąca.

- Miłość - powiedziała Vivian. - Nie da się jej nie rozpoznać. - Odstawiła szklanę na stolik, położyła się i zamknęła oczy.

- Może odpoczniesz? - zapytałam.

- Przysuń sobie krzesło. Poczytaj mi, a ja zamknę oczy. Spojrzałam na Elliota. „Ja?”, zapytałam bezgłośnie. Skinął głową.

- Co mam czytać?

Machnęła ręką, jakby mówiła: „nieważne”.

- Może być coś ambitnego albo i nie. Wybierz cokolwiek.

Elliot wręczył mi książkę, leżącą na stoliku. Była to nieznana mi powieść Elizabeth Graver. Otworzyłam ją na założonej stronie i zaczęłam czytać: „Jedna z dziewcząt pokazała mi, jak tkać. Jej palce były prędkie jak jaskółki śmigające między ścianami przędzy zwieszającej się z ogromnego kołowrotka pod sufitem...”¹.

Siedząc tak przy niej, przeczytałam spory fragment powieści, która okazała się liryczna i urzekająca. Ale podczas lektury wciąż wracało do mnie wspomnienie miękkich ust Elliota na moich ustach, i znów zalewałam się rumieńcem. Powtarzałam sobie, że to był tylko krótki pocałunek, ale nie pomagało.

Ten dom zupełnie odbiegał od moich oczekiwań. Dziwiło mnie to, że w ogóle miałam jakieś oczekiwania, że próbowałam przygotować się na towarzystwo umierającej matki, nawet o tym nie wiedząc. Czy spodziewałam się domu pełnego smutnych pieśni humbaków?

Mężczyzny w warkoczowym swetrze oplatanego kablem słuchawek?

Czy oczekiwałam tępego skurczu rozpacz, którego zawsze się bałam, wchodząc do domu ojca, rozmowy, która wisiała w powietrzu, ale nigdy się nie odbyła?

Pytania Vivian nie wytrąciły mnie z równowagi jak Elliota. Poczułam ulgę. Nigdy nie byłam dobra w - jak to ujęła Vivian

136

beztroskich pogawędkach i gadkach szmatkach. Takie beztroskie pogawędki bywają zresztą bardziej niebezpieczne i najeżone pułapkami niż rozmowy na tematy istotne.

W którymś momencie dobiegł mnie głos Bib rozmawiającej w kuchni z Jennifer, szcęk garnków i sporadyczne pochrząkiwanie Jeżozwierza. Uniosłam głowę znad książki. Elliot siedział w fotelu z głową wspartą na dłoni. Patrzył na mnie tak jak kiedyś, stanowczym spojrzeniem, które sprawiało, że spuszczałam wzrok na własne buty. Teraz jednak w jego oczach było coś jeszcze. Gdzieś w głębi czał się niesłabnący smutek, współgrający z moim własnym - ze smutkiem jakby wbudowanym w podstawy mojej egzystencji. Pokój wciąż był zalany słońcem. Oddech Vivian stał się rytmiczny: spała.

- Naprawdę tu jesteś - odezwał się Elliot.

W tej chwili poczułam, jak serce wyrywa mi się do niego. Spojrzałam na Vivian, na jej lekko zwiniętą szczupłą dłoń. Pomyślałam o ojcu. On nie tyle ukrywał swój smutek, co zamienił go w obłok, w którym nauczył się chować. Ludzie niekoniecznie wiedzieli, czemu wydaje się taki nieprzystępny. Nawet głos miał pusty, metaliczny, dobiegający jakby z daleka. Ojciec rzeczywiście był daleko.

- Naprawdę tu jesteście - odparłam. Chodziło mi o to, że dom, w którym się znalazłam, zamieszkiwali ludzie jakby z innego świata i nie był on ani trochę podobny do mojego domu rodzinnego, ani nawet do tego, który stworzyłam z Peterem, ponieważ wszyscy byli tu tacy prawdziwi.

Czułam, że odnalazłam siebie. Jakbym błędziła bardzo długo, aż zapomniałam, że kiedyś miałam dom, w końcu jednak odnalazłam drogę. Nagle, przechodząc obok starego kąta, uświadomiłam sobie, że pamiętam to miejsce, a serce szybciej mi zabiło. Zatrzymałam się i dotknęłam pnia znajomego drzewa, z zamkniętymi oczami doszłam do następnego rogu ulicy. Zastałam tam wszystko to, co sobie wyobrażałam: mój dom, ogród, drzewa w sadzie uginające się pod ciężarem

owoców, jakby wszystko to wyłoniło się spod ziemi, by wyjść mi na spotkanie.

Może brzmi to dziwacznie. Może przesadzam. Pozwoliłam, by Elliot sprawił, że tak się poczułam - czy to szaleństwo? Nie zastanawiałam się nad tym. Wszystko było proste i oczywiste: Elliot Hull, dom, ogród, sad.

ROZDZIAŁ 16

Trudno powiedzieć, czy najpierw zakochałam się w Elliocie, czy w jego rodzinie. A może zdarzyło się to w tym samym czasie? Uwielbiałam niezwykle rozmowy z jego matką. Uwielbiałam patrzeć, jak Elliot i Jennifer wyklócają się w kuchni, piją wino z tego kieliszka, który akurat stoi na stole, i wyjadają sobie z talerzy, jak wybuchają śmiechem, wskazując na siebie palcami, gdy jedno z nich powie coś śmiesznego, i jak słuchają długich opowieści Bib o tym, co akurat tego dnia znalazła w trzcinach. Uwielbiałam patrzeć, jak Jeżozwierz przechodzi z rąk do rąk. Bib trzymała go przed sobą w sposób, w jaki dzieci trzymają czasem koty, obejmując go w pasie, tak że nogi dyndały mu w powietrzu. Podobało mi się to, jak bez słowa komentarza podawano go również mnie. Gdy lądował w moich ramionach, wpatrywał się we mnie wielkimi oczami, otwierając bezzębną buzię.

Elliot łyżeczką karmił matkę słodkimi ziemniakami, a w tym czasie Jennifer i ja gotowałyśmy w kuchni krewetki. Ich ciemnoszare ciała stopniowo różowiały i wyskakiwały na powierzchnię wody. Jennifer opowiedziała mi o swym ślubie z Sonnym w parku. Bib włożyła na tę okazję błękitną sukien-

kę, którą razem z babcią uszyły na maszynie znajdującej się na poddaszu. Elliot wszedł do kuchni i od razu włączył się do rozmowy.

- Mój krawat zrobiły z tego samego materiału. Był wprawdzie krzywy, ale idealnie krzywy.

- Ten krawat to był pomysł Bib.

- Pasowaliśmy do siebie, co, Bib? - Dziewczynka przechodziła właśnie obok, dzierżąc pudełko z wypluwką.

- Tak - odpowiedziała nieśmiało. - I dużo tańczyliśmy. Spociliśmy się strasznie. Wszyscy się spocili.

- Rzeczywiście - potwierdziła Jennifer.

- Szkoda, że nie znaliśmy wtedy Elizabeth. Zrobiłaby nam na drutach takie same kapelusze! - powiedział Elliot.

- Spanikowałam. Nie wiem, co mnie napadło.

- Nic się nie stało - zapewnił mnie Elliot. - Okazuje się, że moja matka zawsze kochała kapelusze.

Zadałam Jennifer więcej pytań o Sonny'ego. Był perkusistą i właśnie wyjechał w trasę z zespołem, który posiadał oddaną grupę fanów w świecie muzyki folkowej.

- Dosłownie znalazłam męża w biurze rzeczy znalezionych. Byliśmy na koncercie, on zgubił portfel, a Bib pamiętnik. Żadna z rzeczy się nie znalazła, więc pobraliśmy się na pocieszenie.

- Znalazłaś to, co miałaś znaleźć - powiedziałam, myśląc o tym, jak Elliot zamówił dwie gałki Gwen Merchant i dostał więcej, niż się spodziewał.

Czasami jedynym sposobem, by Jeżozwierz przestał płakać, było zabrać go na dwór i pochodzić z nim tam i z powrotem. Jennifer musiała pomóc matce w łazience, Elliot był zajęty przyrządzaniem sałatki, więc mnie przypadła w udziale opieka nad Jeżozwierzem i Bib. Dziewczynka zdążyła już wywędrować na taras w gumowych rękawicach i maseczce na twarzy. Na rozłożonej przed nią papierowej torebce leżała pęseta i sowa wypluwka. Trzymałam na rękach

Jeżozwierz, przechadzając się z nim po tarasie, jak mi przykazano.

- Co będziesz robić? - spytałam.

- Identyfikować kości myszy - odrzekła Bib. Jeżozwierz wciąż się wiercił i cicho marudził. - Trzeba śpiewać - powiedziała Bib.

- Śpiewać?

- Jeżozwierz lubi piosenkę o drzwiach.

- O drzwiach?

- No wiesz: trzaśnięcie drzwi, Mary tańczy. Lubi tę piosenkę.

- *Thunder Roadl*

Bib wzruszyła ramionami.

- Czy wypluwka śmierdzi? - spytałam.

- Nie mocno - odpowiedziała Bib wciąż pochylona nad mysimi szczątkami.

Jeżozwierz znów poruszył się z eichym jękiem, zaczęłam więc nucić Bruce'a Springsteena prosto w jego różowe ucho.

- Przyjechałaś, bo babcia ma umrzeć? - spytała Bib.

- Hm, nie - odpowiedziałam.

- Dużo ludzi dlatego przyjeżdża. Babcia to moja druga mama. Mam dwie.

- Szczęściara z ciebie - powiedziałam. - To szczęście mieć dwie mamy.

- A teraz mam też tatę. Sonny'ego. - Bib wciąż nie dotykała mysiego szkieletu. Wpatrywała się w niego tylko. - Myślisz, że rozetną babcię, kiedy umrze? Oddaje swoje ciało nauce.

- Nie wiem - powiedziałam. - Ale to miło z jej strony.

- Jesteśmy tylko kośćmi i czymś tam jeszcze.

- Jesteśmy czymś więcej - powiedziałam i przykucnęłam obok. - Wyobraźnię i miłością, i marzeniami. Nie sądzisz?

Bib spojrzała na mnie. Dopiero teraz zobaczyłam, że płacze. Po policzkach spływały jej łzy.

- Nie mogę rozciąć wypluwki.

- Nie musisz - powiedziałam. - Wiesz, jesteśmy kośćmi, a kości mogą zostać wykorzystane przez naukowców albo zniknąć. Ale te wszystkie pozostałe rzeczy, wyobrażenia i miłość, i marzenia... One żyją dalej, nawet gdy my umrzemy.

Bib spojrzała na dołeczki w kolanach Jeżozwierza i ścisnęła jedno z nich dłonią w rękawicze.

- A co się z nimi dzieje, kiedy umieramy? Położyłam jej palec na sercu.

- Żyją w sercach ludzi, których kochaliśmy. Bib wytarła nos w rękaw.

- Sowy płomykówki mają bardzo dobry słuch. Słyszą zwierzęta, które są pod śniegiem. Samice składają cztery do siedmiu jaj za jednym razem. - Jeżozwierz zaczął płakać. Spojrzałyśmy na niego obie. - Przestałaś chodzić i śpiewać.

- Rzeczywiście.

Wstałam i na nowo podjęłam spacer, śpiewając *Thunder Road*, a w tym czasie Bib włożyła swoją wypluwkę z powrotem do pudełka razem z pęsetą, maską i rękawiczkami. Jeżozwierz oparł pyzaty policzek na mojej piersi. Jego ciało stało się bezwładne. Zasnął. A ja usiadłam z Bib na skraju tarasu i zajęłam jej uwagę opowieściami z mojego dzieciństwa, o tym jak dorastałam w żółtym domu na Apple Road z doskonale nadającym się do wspinaczek drzewem przy podjeździe, zbzikowanymi Fogelmanami za płotem i ojcem, który wierzył w gadające ryby.

- Gadające ryby?

- O tak. Mają swoje języki. My ich po prostu nie rozumiemy.

- Może wszystko dookoła mówi językami, których nie rozumiemy.

Siedziałyśmy tak, obserwując migające w trawie robaczki świętojańskie i tłumaczyłyśmy ich mowę.

- Ten mówi: „Chodź tutaj! Chodź tutaj!” - powiedziała Bib.

- A ten: „Nie widzisz, że jestem zajęty?" O, a tamten: „Tęsknię za tobą. Czemu jesteś tak daleko?"

- A tamten mówi: „Zostań ze mną na zawsze w domku nad jeziorem. Zostań, zostań, zostań".

Kochałam tamtego robaczka. Pragnęłam zostać, zostać, zostać...

ROZDZIAŁ 17

Później zjedliśmy kolację, wszyscy razem, zgromadzeni wokół łóżka Vivian. Jennifer siedziała na fotelu z Jeżozwierzem na kolanach, Bib przycupnęła po turecku na podłodze, a ja stałam. Elliot karmił matkę słodkimi ziemniakami.

- Otwórzcie wreszcie prezenty - zaproponowała Vivian.

- Nie teraz - odparł Elliot. - Później. - Pięknie zapakowane pudła wprawiały mnie w poczucie winy. Ja również wcale nie miałam ochoty ich otwierać.

Elliot i Jennifer przypomnieli sobie figla, którego splatali jako dzieci. Podczas wyjazdu na narty nabrali do butelki zardzewiałej wody z ubikacji i próbowali przekonać inne dzieci ze schroniska, by się jej napiły, udając, że to mrożona herbata.

- Napiłaś się jej - powiedział Elliot do Jennifer.

- Nieprawda - odparła ona. - Ten drugi chłopak się napił. Skąd on był? Z Kanady?

- Nigdy bym nie wypić wody z ubikacji - odezwała się Bib. - I nigdy bym nie kazała Jeżozwierzowi jej wypić.

- Oczywiście że nie, Bib. Ty jesteś dzieckiem idealnym - powiedziała Vivian, uśmiechając się łagodnie. - Ta dwójka

musiała się nauczyć, jak być dobrymi ludźmi. Ty urodziłaś się dobra. Rozmowa toczyła się dalej, podczas gdy Vivian jadła słodkie ziemniaki, łyżeczka po łyżeczce. W końcu uniosła dłoń w geście, który mówił: dość. Pociągnęła Elliota za rękaw, a on pochylił się, by mogła wyszeptać mu coś do ucha.

- Dobrze - odszepnął, kiwając głową. - Dobrze. - Po czym gestem wyprosił nas z pokoju. Objął Jennifer za ramiona i zaczął mówić do niej coś o poziomie morfiny, a potem na kilka minut oboje zniknęli mi z oczu. Posprzątałam w kuchni, podczas gdy Jennifer, z niemowlęciem przy piersi, rozmawiała przez telefon z hospicjum, Elliot zaś poszedł ułożyć Bib do snu.

Gdy znów zjawił się na dole, wyglądał jakby sam prawie zasnął. Miał zmierzwiłone włosy i ciężkie powieki. Wycierałam garnek po krewetkach. Jennifer rozmawiała z matką w salonie. Elliot był wykończony, ale uśmiechał się delikatnym, zmęczonym uśmiechem.

Wskazałam na zdjęcie wiszące na ścianie, to, które przedstawiało go jako naburmuszonego nastolatka.

- Patrz - powiedziałam. - Oto dowód!

- Dowód na co? - zapytał.

- Elliot Hull, myśliciel. Roześmiał się.

- Spójrz na tę fryzurę i na te bermudy. Co ja sobie myślałem? - Wbił ręce w kieszenie. Wyglądał na rozproszonego.

- Wszystko w porządku? - spytałam. Uśmiechnął się.

- Obiecałem ci całą flotę łódek. Masz ochotę na nocną przejażdżkę?

- Jennifer cię nie potrzebuje?

- Nie teraz. Zapytałem, czy możemy zniknąć. Przypomniałem jej, że w końcu jesteśmy świeżo po ślubie.

Znów przypominałam sobie pocałunek, słodycz i czułość jego ust, i jak Vivian powiedziała: „Miłość. Nie da się jej nie rozpoznać”. Poczułam się jak panna młoda - niespokojna i pełna oczekiwania. Czy miłości, prawdziwej miłości, nie da się nie rozpoznać?

- Czy można odmówić parze młodej? - powiedziałam.

- Nie z czystym sumieniem - odparł Elliot.

Na jeziorze panowała cisza, nie licząc grupki dzieci biegających z zimnymi ogniami po pomoście w oddali. Elliot usiadł naprzeciwko mnie w łódce, w rękach trzymał wiosła. Byliśmy tak blisko, że moje kolana znalazły się między jego kolanami. Dryfowaliśmy. Jasny księżyc w pełni odbijał się od powierzchni jeziora.

- Masz wspaniałą rodzinę - powiedziałam.

- Rzeczywiście. - Elliot spojrział w niebo.

- Czy pogodziłeś się z ojcem? - zapytałam, przypomniawszy sobie, jak cierpiał w college'u. Po raz pierwszy zrozumiałam, że był wtedy wściekły na ojca, zresztą nie bez powodu. Z tego, co pamiętałam, ojciec Elliota zostawił rodzinę dla innej kobiety i od tego czasu rzadko pojawiał się w życiu syna.

- Kilka lat po skończeniu studiów napisałem do niego list o tym, jakim był draniem, ale że wciąż go Kocham.

- Odpisał?

- Tak - Elliot gwałtownie pokiwał głową. - Bardzo wylewnie. To był miły list, ale właściwie wciąż prawie nie rozmawiamy.

- Przykro mi.

- Daj spokój. - Elliot spojrział na dzieciaki kręcące zimnymi ogniami kółka w powietrzu. - Zaskoczyłaś mnie, odpowiadając na wszystkie pytania mojej matki. W college'u nie lubiłaś rozmawiać o takich sprawach.

- Nie lubiłam?

- Nie - powtórzył z nutką irytacji w głosie.

Przypomniałam sobie, jak staliśmy na płytkim końcu zimnego basenu uniwersyteckiego. Elliot zadał mi wtedy wszystkie te pytania, na które nie potrafiłam odpowiedzieć.

- Pytałeś o trudne rzeczy. Byłam dzieciakiem, nie byłam jeszcze gotowa.

- A teraz?

Pytanie zabrzmiało bardzo poważnie. Nie miałam pewności, co odpowiedzieć.

- Nie wiem.

- Czy powinienem jeszcze raz zadać ci to pytanie?

- Jakie pytanie?

- To, które sprawiło, że złapałaś mnie za twarz i przestałaś się do mnie odzywać.

- Nie pamiętam dokładnie, jak brzmiało - powiedziałam, ale serce zaczęło bić mi szybciej, jakby jakaś część mnie pamiętała jeśli nie słowa, to przynajmniej tamto uczucie. Podobnie czułam się, gdy włamano mi się do mieszkania, zanim poznałam Petera. Mieszkałam wtedy sama.

Martwiłam się nie tyle skradzionymi rzeczami, ile tym, że w brutalny sposób naruszono moją prywatną przestrzeń.

- Naprawdę nie pamiętasz?

Potrząsnęłam głową, zerknęłam na niego, ale zaraz znów odwróciłam wzrok.

- Chcesz, żebym ci przypomniał?

Nie chciałam, ale nie mogłam przyznać, że wciąż nie jestem gotowa (na co - nie byłam pewna).

- Powiedz - poprosiłam. Od jeziora wiał chłodny wietrzyk. Skuliłam się.

- Tamtego dnia rano leżeliśmy w łóżku, a ja nagle zdałam sobie sprawę z tego, że byłeś z matką w samochodzie w chwili wypadku. Wtedy zrozumiałem, że dlatego boisz się wody i dlatego płakałaś na basenie. Zacząłem cię wypytywać, a ty się rozzłościłaś. W końcu przyznałaś mi rację, ale zabroniłaś więcej o tym mówić.

- A ty znowu zaczęłaś w tamtym barze. - Przypomniałam sobie. Poszliśmy tam z grupą znajomych, ale jak zwykle skończyliśmy w jakimś kącie, rozmawiając tylko we dwójkę.

- Dziś moja matka zapytała, czy wybaczyłaś swojej matce, że umarła. Ale ja nie myślałam o tym w ten sposób. Nie zachowywałaś się jak ktoś, kto nie potrafi przebaczyć matce. Zachowywałaś się jak ktoś, kto nie potrafi przebaczyć sobie.

- Co masz na myśli? - spytałam, trzymając się krawędzi łódki, która zaczęła się kołysać.

- Naprawdę niczego nie pamiętasz? Znowu musimy odbyć tę samą kłótnię?

- Na to wygląda - powiedziałam. - Ponieważ nie wiem, o czym mówisz.

- Zapytałam, czy czujesz się winna, czy winisz się za śmierć matki.

- Jak mogłam się czuć winna? To nie była moja wina. Miałam pięć lat. Byłam dzieckiem w samochodzie.

- Wtedy powiedziałaś to samo. Powiedziałaś: „Pięciolatki nie obwiniają się o takie rzeczy. One nie rozumieją”. A ja powiedziałem, że przecież od tamtego czasu zdążyłaś zmądrzeć. Któregoś dnia zrozumiałaś. Musiałaś zrozumieć.

- Zrozumieć co? - zapytałam, wciąż kurczowo trzymając się łódki.

- Że przeżyłaś, a ona nie, że ktoś się zjawił i cię uratował, obcy człowiek, który przypadkiem przejeżdżał obok i uratował cię jako pierwszą, a jej już nie zdążył. Musiał podjąć decyzję i wybrał ciebie.

Zrozumiałam, że Elliot ma rację. Pomyślałam o słowach jego matki - że dzieci stają się ukochanymi zabójcami własnych rodziców. Wtedy zdanie to uderzyło mnie swoją szczerością dlatego, że było prawdziwe. W moim przypadku sprawdzało się nie tylko w przenośni, ale i dosłownie. Po wycieczce do domu starców, gdzie leciwej cioci wymknęło się, że w czasie wypadku byłam z matką w samochodzie, nowinę tę

potwierdziła pani Fogelman. Przez następne miesiące zmagalam się z tą myślą, aż stała się ona częścią mnie. Potem przez kilka lat codziennie idąc spać, wyobrażałam sobie człowieka, który mnie ocalił. Przypomniam sobie obraz, który stawał mi wtedy przed oczami: nieznajomy zatrzymuje samochód, biegnie do wody i w końcu nurkuje, by uratować mnie, ale nie moją matkę. Zamilkłam.

- Gwen - odezwał się Elliot. - Dobrze się czujesz? Dzieci miały teraz po dwa patyczki zimnych ogni w każdej

dłoni. Kreśliły nimi w powietrzu litery, nie potrafiłam ich jednak odczytać. Spojrzałam na Elliota. Dotknął mojej dłoni, którą wciąż zaciskałam na skraju łódki, usiłując utrzymać równowagę.

- Co ci wtedy odpowiedziałam?

- „Pieprz się”.

- Cóż. Zachowałam się jak prawdziwy mistrz słowa - odrzekłam, ale rozmowa była już zbyt poważna na takie komentarze. - Co było dalej? Opowiedz cio końca.

- Dziś po południu powiedziałaś mojej matce, że nie przebaczyłaś swojej, ponieważ nigdy jej nie winiałaś. Dlaczego nie?

- Nie wiem. Czemu pytasz? - Nagle przyszła mi na myśl sowa płomykówka, od której pochodziła wypluwka Bib. Pomyślałam o myszy połkniętej w całości, żywcem.

- Czy dlatego, że wciąż winisz siebie?

Wilgotne oczy Elliota lśniły. Moje też, poczułam napływające łzy.

Wietrzyk od jeziora nasilał się.

- Opowiedz mi resztę historii - poprosiłam. - W którym momencie cię uderzyłam?

- Nie uderzyłaś mnie.

- Kiedy złapałam cię za twarz?

Elliot spuścił wzrok na własne dłonie. Najwyraźniej nie miał ochoty mówić dalej. Położył ręce na kolanach.

- Powiedziałaś, że pogodziłaś się już ze śmiercią swojej matki i ja też powinienem. Powiedziałaś, że bym ci nie urzą-

dzał cholernej psychoanalizy. Ale ja ci powiedziałem, że wcale się z tym nie pogodziłaś. Wiem, że miałem rację. A jak jest teraz?

Łódka wykonała powolny półobrót. Nie widziałam już dzieci na pomoście tylko czarny bezmiar jeziora. Nigdy nie byłam dobrą pływaczką. Zaczęłam się zastanawiać, czy gdyby łódka się przewróciła, dopłynęłabym do pomostu Hullów? Jak to się stało, że tkwię z Elliotem Hullem na środku jeziora? Miałam uporządkowane życie, w którym nikt nie zadawał żadnych istotnych pytań, nikt nie wymagał, bym wyjawiała coś, czego nie chciałam wyjawiać, nikt nie grzebał w mojej przeszłości, by dowiedzieć się, czemu jestem tym, kim jestem. Nikt nie naruszał mojej prywatnej przestrzeni. Żyłam bezpiecznie.

- Czemu złapałam cię za twarz? - powtórzyłam.

- Zapytałaś mnie, dlaczego ci to robię. - Elliot mówił teraz niemal szeptem, przyciszonym, pełnym bólu i dziwnie czułym tonem. Wyglądał pięknie z ciemnym jeziorem za plecami i koszulą wydętą wiatrem. - Zapytałaś, czemu to dla mnie tak cholernie ważne. Powiedziałem ci, że chcę poznać cię lepiej, niż znam samego siebie, bo chcę spędzić z tobą resztę życia.

Spojrzałam na niego. Zrozumiałam, że to właśnie było dla mnie wtedy takie nieznośne, niewybaczalne. Nie chodziło o to, że Elliot penetrował moje dzieciństwo, moją psychikę. Nie. Powodem była miłość, jego odważne wyznanie, którego nie potrafiłam zaakceptować.

Złapałam go za twarz, tym razem delikatnie. Trzymałam ją w dłoni, a on nachylił się w moją stronę. Łódka zachwiała się i Elliot mnie pocałował. Pozwoliłam mu na to i oddałam pocałunek. Dryfowaliśmy powoli, zataczając kółka na jeziorze.

ROZDZIAŁ 18

Obudziłam się rano w dawnym łóżku Elliota po niespokojnie przespanej nocy. Byłam sama. Elliot i ja pocałowaliśmy się na łódce, ale na lądzie panowały inne reguły. Gdy dopłynęliśmy do przystani Hullów, powiedział: „Przepraszam. Nie powinniśmy byli tego robić. Wiem, że to koniec. Wiem o tym”.

Oczywiście to nie mógł być koniec. Elliot kochał mnie, a ja jego, choć żadne z nas nie powiedziało tego głośno. Wiedzieliśmy, że to, co dzieje się między nami, jest gorsze i bardziej skomplikowane niż zwykły romans.

Gdy obudziłam się w dawnym łóżku Elliota, pamiętającym letnie noce jego dzieciństwa - on sam spał w fotelu w salonie, by w razie potrzeby zająć się w nocy matką - poczułam chęć ucieczki. Nagle ogarnęło mnie poczucie winy i przerażenie. Wiedziałam, że muszę wracać do domu tak szybko, jak to możliwe. Muszę zobaczyć się z Peterem, wrócić do własnego życia i spróbować uczynić je najlepszym, jak się da.

Pokój urządzono bardzo oszczędnie - kilka trofeów piłkarskich, biurko, komoda - znalazłam jednak stary telefon tar-

czowy ze spiralnym kablem. Była godzina dziewiąta. Wykręciłam swój numer domowy i słuchając sygnału, rozejrzałam się po pokoju. Tu oczywiście też leżały książki, powieści przygodowe i fantastyczne, a także kilka szkolnych podręczników, głównie do matematyki, jakby małego Elliota zmuszano, by przywoził je ze sobą na wakacje i nadrabiał zaległości.

Peter nie odbierał. Automatyczna sekretarka przemówiła moim głosem. Pomyślałam, że muszę zmienić to nagranie. Głos brzmiał zbyt mechanicznie, zbyt zimno, jakby nie robiło mi różnicy, czy ktoś zostawi wiadomość, czy nie. Przerwałam samej sobie, odkładając słuchawkę. Wykręciłam numer komórki Petera. Od razu włączyła się poczta głosowa. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie wziął przypadkiem dodatkowej zmiany. Powiedziałam:

- Cześć Peter, mam tu słaby zasięg. Wracam po południu. Nie chcę zmarnować całego dnia. Mam nadzieję, że będziesz w domu. Może wyskoczmy na kolację? Do tej tajskiej restauracji? OK, pogadamy później.

Szybko się ubrałam i zeszłam na dół. Bib w małym pokoju oglądała w telewizji *SpongeBoba*. Obok Jeżozwierz w swym kojcu bawił się matą edukacyjną, pociągał za czerwony plastikowy kwiatek. W całym domu pachniało bekonem. Jennifer w salonie napełniała szklanek wodą z dzbanka, by podać ją matce. Spojrzała na mnie.

- Dzień dobry!

Vivian zwróciła twarz w moją stronę.

- Elizabeth, Elizabeth - powiedziała. - Przyjdiesz tu w końcu i otworzysz prezenty? Nie dają mi spokoju.

- Właśnie, czas wreszcie uwolnić te biedne tostery - odezwał się Elliot. Stał na drugim końcu przedpokoju z łopatką kuchenną w dłoni. Spojrzał na mnie, na mojej twarzy musiał malować się niepokój, i dodał: - Może po południu? Pali mi się bekon. - Wskoczył z powrotem do kuchni i włączył wywietrznik. Rozległ się głośny szum.

- Przepraszam na chwilkę - powiedziałam i weszłam za Elliotem do kuchni. - Elliot - odezwałam się cicho.
- Wykladał właśnie bekon na talerz przykryty złożonym na pół papierowym ręcznikiem.
- Nie możesz wyjechać - powiedział.
- Muszę.
- Nie. Podjąłem już decyzję, musisz zostać przynajmniej do obiadu. Pojedziesz wieczornym pociągiem.
- Muszę jechać. Twoja matka zrozumie. Zatrzymał się, odłożył łypatkę i oparł się o blat.
- W tej chwili nie o nią się martwię. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała w ten sposób.
- W jaki sposób?
- Jakbyś uciekała.
- Mam prawdziwego męża. Prawdziwy związek. Elliot ujął łypatkę i nerwowo postukał nią w blat.
- Ale widzisz, myślałem o tym,,. Moglibyśmy... Przerwałam mu.
- Nie mogę zniszczyć swojego małżeństwa z powodu pocałunku na łódce.
- Ale to coś więcej. To nie początek, tylko środek. Dobrze o tym wiesz.
- Wiem?
- W tym momencie do kuchni weszła Jennifer, odkręciła kran i nalała wody do wazonu.
- Mama dziś nie kontaktuje. Wzięła za dużo morfiny. Elliot skinął głową.
- Całą noc rozmawiała ze swoją zmarłą siostrą - wyjaśnił. Wtedy zrozumiałam, że Elliot nie spał od wczoraj. Był ubrany tak samo jak poprzedniego wieczoru.
- Muszę wyjechać wcześniej - powiedziałam. - Bardzo mi przykro.
- Niestety, muszę się czymś zająć w domu.
- Ojej. - Jennifer zerknęła na Elliota. - Cóż, i tak bardzo nam pomogłaś. - Otworzyła torebkę odżywki do kwiatów i wsypała

jej zawartość do wazonu. - Jeśli chcesz, mogę powiedzieć mamie.
Wyjaśnię jej. Nie kontaktuje dziś, więc może nie zrozumie, co się dzieje.
Nie przejmuj się.

- Nie, wejdę do niej i pożegnaj się jak trzeba.

- Dobrze. - Jennifer ruszyła w stronę salonu. - Szkoda, że musisz jechać -
powiedziała. - Świetnie nam było z tobą, dobrze dostać nową energię,
oderwać się na chwilę od... - Nie dokończyła zdania. Uśmiechnęła się. -
Nie przejmuj się - powtórzyła i wyszła.

Kilka minut później byłam już spakowana i siedziałam przy łóżku Vivian,
mówiąc jej, że jestem potrzebna w domu. Elliot chodził po pokoju, a
Jennifer stała obok z Jeżozwierzem w ramionach.

Vivian była niespokojna. Nie otworzyła oczu. Powiedziała:

- Gdybym żyła w Japonii, w dawnych dobrych czasach, już dawno
wspięłabym się na górę, by umrzeć pod warstwą śniegu. - Potrząsnęła
głową. - Lodu! - Myślałam, że chciała powiedzieć, iż wspięłaby się na
górze, by umrzeć pod warstwą lodu, ale myliłam się. Jennifer złapała
Jeżozwierza jedną ręką, drugą zaś wyjęła ze szklanki kostkę lodu i
wsunęła ją matce do ust.

- Cieszę się, że porozmawialiśmy wczoraj - powiedziałam i ujęłam jej
dłoń. Chwyciła ją mocno i spojrzała na mnie, jakby zaskoczył ją mój
widok. Potem gestem wyprosiła dzieci z pokoju.

- Idźcie! - zawołała. - Zostawcie nas same.

Elliot i Jennifer zawahali się. W końcu Jennifer odstawiła szklankę z
lodem i powiedziała:

- No dobrze, Jeżozwierz, chodźmy poszukać Bib. - Wyszła z pokoju, a
Elliot niechętnie podążył za nią.

Widziałam, że Vivian z trudem panuje nad sobą. Patrzyła na mnie, jakby
usiłowała dojrzeć coś w ciemnym tunelu.

- Co prawda to prawda - powiedziała. - Tak.

- Zawsze żałowałam młodych małżeństw. Byłam nieszczęśliwą dziewczyną i nieszczęśliwie wybrałam sobie partnera... Ale to już zamierzchła przeszłość. Ty i Elliot odnaleźliście się nawzajem. To coś więcej niż szczęście, coś więcej niż mądrość.

- Dziękuję - powiedziałam.

Obrzuciła mnie wzrokiem i nagle rozgniewała się.

- Och, nie rozumiesz! Nie mogę patrzeć, jak młodzi żyją, jak gdyby nigdy nic, bez krzty pojęcia.

-Ja... przepraszam... - wyjąkałam niepewna, jak odczytać jej gniew.

- Posłuchaj mnie. Powiem tak: Bib boi się orłów.

- Wiem - odpowiedziałam, przekonana, że majaczy. Ale ona nagle mocniej ścisnęła moją rękę.

- Nie wiesz!

- Próbuję zrozumieć.

- Jeśli pozwolisz, by twój strach podejmował decyzje za ciebie, to strach podejmie dobre decyzje, ale dobre dla strachu, nie dla ciebie. -

Potrząsnęła głową, jakby chciała zacząć od początku, tym razem spokojniej. - Bib boi się orłów i boi się stać na otwartej przestrzeni, bo myśli, że ją wypatrzą i zabiorą od nas. Złapią i odlecą. Powtarzam jej, że któregoś dnia będzie musiała być odważna, jeśli zechce poślubić człowieka, którego naprawdę kocha.

Zaskoczyły mnie te słowa. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Bib jest odważna.

- A ja mówię ci, że musisz stanąć na środku pola z wielkimi grabiami w rękę i przestać bać się orłów. - Wpatrzyła się we mnie wzrokiem nagle jak ze stali. Zaczęłam się zastanawiać, czy może z jakiegoś powodu pomyliła mnie z Bib, ale jednocześnie wiedziałam, że nie. Jej słowa skierowane były do mnie. Wpatrywała się we mnie z napięciem. - Co prawda to prawda. Mam rację?

Skinęłam głową.

- Małżeństwo to bzdura! - ciągnęła. - Ale miłość nie. Co prawda to prawda - powtórzyła, a potem zamknęła oczy.

- Co prawda to prawda - powiedziałam.

Skinęła głową i puściła moją dłoń. Wstałam i wzięłam do ręki torbę.

Vivian powiedziała coś tak cicho, że nie dosłyszałam. Nachyliłam się nad nią.

- Słucham?

Zachrypniętym głosem szepnęła jeszcze raz:

- Wszędzie bym cię rozpoznała. - Otworzyła oczy i wpatrzyła się we mnie.

Nagle straciłam równowagę i chwyciłam się krzesła. Byłam pewna, że w tej chwili dobrze wie, kim jestem.

- Słucham?

Vivian zamrugnęła szybko, jakby chciała oczyścić umysł.

- Zostań - powiedziała. - Jeszcze kilka dni. Na miłość boską, ja przecież umieram.

ROZDZIAŁ 19

Większości z nas wydaje się, że wszystko w życiu jest jednoznacznie dobre lub jednoznacznie złe, jak gdyby świat został podzielony na pół przez kogoś z ogromną poduszką do tuszu i dwiema pieczęciami.

Jesteśmy również głęboko przekonani, że postępujemy źle z powodu słabości, lenistwa, uleganiu żądzom bądź nieposkromionemu id. Możemy wówczas winić tych, którzy postępują niewłaściwie i obarczać ich odpowiedzialnością za cierpienie będące wynikiem podejmowanych przez nich złych wyborów. Poza tym, jeśli wszystko jest tak wyraźnie określone i ludziom nie udaje się postępować dobrze z powodu ich niedoskonałości, możemy wierzyć, że złego postępowania łatwo uniknąć. Myśląc w ten sposób, możemy wierzyć, że potrafimy postępować dobrze i potrafimy być dobrzy.

Ja również postrzegałam świat w podobny sposób. Teoria ta ma coś z prawdy, ale również jest dużym uproszczeniem. Świat jest bardziej skomplikowany, a etykiety z napisem „dobro” i „zło” bywają tak zamazane, że niemal nieczytelne. Co wtedy robić? A konkretniej mówiąc, co ja miałam zrobić?

Postanowiłam zostać. Wydawało mi się, że postępuję źle, ponieważ czułam, że ulegam pokusie, a to zawsze kojarzyło

mi się ze słabością. Może całą winę zrzucałam na Elliota. Chyba chciałam wierzyć, że wykorzystuję prośbę Vivian, by jeszcze побыć w tym domu pełnym smutku i miłości, jeszcze trochę być żoną Elliota. Jednak nie wszystko było takie proste. Moje prawdziwe motywy miały coś wspólnego z samą Vivian - kobietą i matką. Czegoś od niej potrzebowałam, chociaż wtedy jeszcze w niewielkim stopniu zdawałam sobie z tego sprawę.

Z torbą na ramieniu wróciłam do kuchni. Elliot siedział z założonymi rękami, wyglądał jak pacjent w poczekalni do lekarza - spojrzał na mnie wyczekująco szeroko otwartymi oczyma. Jennifer trzymała Jeżozwierza i kiwała dłonią do córki przez otwarte drzwi tarasu. Zobaczyłam Bib w wysokich kaloszach machającą do matki jak żeglarz ze statku.

- Zostaję - powiedziałam. Jennifer odwróciła się.

- To dobrze - odpowiedziała z ulgą.

- Jak ona to zrobiła? - zapytał Elliot, mając na myśli swoją matkę.

- Nie wiem - odparłam. - Ona jest siłą. Nieujarzmioną siłą.

- Ostrzegalem cię - powiedział Elliot, po czym uśmiechnął się szeroko. - Cieszę się, że zostajesz.

- Ja też.

Najpierw zadzwoniłam do Eili. Użyłam telefonu z tarczą w pokoju Elliota. Miałam nadzieję, że zastanę ją zrelaksowaną, tuż po zajęciach z tai-chi.

- Eila! - usłyszałam, jakby wykrzyczenie własnego imienia było ogólnie przyjętym sposobem odbierania telefonu.

- Cześć, mówi Gwen.

- Gwen. - Poczułam, jak wypuszcza powietrze. Fakt, że to tylko ja, oznaczał zwolnienie z konieczności urządzania przedstawienia i w jakichś trzech czwartych mogła być sobą.

Zawsze się zastanawiałam, jaka jest prawdziwa Eila, a właściwie prawdziwa Sheila.

- Mam chorą krewną. Przyjechałam do niej na weekend i okazało się, że jestem potrzebna dłużej.

- Chorą krewną? - zapytała. - A konkretnie?

Nie byłam pewna, czy chodzi jej o krewną czy o chorobę, powiedziałam więc:

- Moja teściowa ma raka.

- Tak mi przykro - odrzekła, chociaż ani szczerość, ani empatia nie były jej mocną stroną. - Jak Peter sobie radzi?

Zdziwiłam się, że pamięta imię mojego męża.

- Lepiej niż sądziłam.

- Kiedy wrócisz? Na Westonów, Murphych czy Greerów?

- Mam nadzieję, że to będzie tylko kilka dni. Powinnam zdążyć na Greerów. W środę po południu.

- Tego się trzymajmy. Greerowie w środę po południu. Potrzebuję cię, złotko! - Po czym zaczęła przemawiać do swojej suczki Pru i po chwili się rozłączyła.

Następny był Peter. Nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać.

Wykręciłam nasz domowy numer, usiadłam na skraju łóżka i czekałam, aż odbierze. Na nocnym stoliku zauważyłam miniaturowy stateczek, jeden z tych, które zazwyczaj wsadza się do butelek. Podniosłam go. Był lekki, chyba zrobiony z balsy. Myślałam, że włączy się sekretarka, ale w ostatniej chwili Peter odebrał, lekko zadyszany.

-Halo?

- To ja - odezwałam się.

- Co u pani, pani Hull? - zapytał żartobliwym tonem. Chyba wolałabym, by w tym momencie był mniej radosny.

- Nie jest idealnie - odpowiedziałam, myśląc, że właśnie teraz mogłabym powiedzieć mu o pocałunku z Elliotem na jeziorze. Odłożyłam na stół stateczek z balsy. - Gdzie byłeś? Skąd ta zadyszka?

- Robiłem brzuski i podkręciłem muzykę na maksa, ledwo usłyszałem telefon.

- Podkręcasz muzykę na maksa, kiedy nie ma mnie w domu? To dlatego sąsiedzi tak krzywo na mnie patrzą?

- AC/DC - odpowiedział. Nagle wyobraziłam go sobie wiodącego zupełnie inne, kawalerskie życie, w którym starcza mu czasu na wyrzeźbienie idealnego kaloryfera na brzuchu, ale za to jego gust dotyczący ubrań, produktów do pielęgnacji włosów czy kultury popularnej od lat się nie zmienia. To dzięki mnie nadażał za trendami. Zdecydowałam, że mam na niego dobry wpływ. Potrzebował mnie, chociaż z drugiej strony czy to, do czego byłam mu potrzebna, naprawdę miało znaczenie? Z zamyślenia wyrwał mnie jego głos: - Co słyszeć?

- Muszę zostać jeszcze kilka dni. - Oczyma wyobraźni ujrzałam Vivian, sposób, w jaki na mnie patrzyła, mówiąc: „Wszędzie bym cię rozpoznała”. W chwili, gdy wypowiedziała do mnie te słowa, dziwne uczucie zalało mi serce i teraz na samą myśl o tamtej chwili powracało. Poczułam narastający ucisk w klatce piersiowej. Zamknęłam oczy i odetchnęłam głęboko.

- Naprawdę? - powiedział Peter. Nie potrafiłam rozszyfrować jego tonu. Czy był tylko zaskoczony, czy wręcz odrobinę uradowany? Czy aż tak bardzo podobało mu się życie słomianego wdowca i AC/DC podkręcone na maksa?

- Nie bądź taki zachwycony.

- Nie, nie - powiedział, odchrząkając, nagle poważny. -Po prostu zaskoczyłaś mnie. Co się dzieje?

- Źle z nią. A ja czuję, że pomagam, przydaje im się dodatkowa para rąk. - Mówiąc to, poczułam się winna. Tak naprawdę wcale dużo nie pomagałam. Nawet ani razu nie pozmywałam naczyń. Dodałam więc szybko: - Chyba zrobię dziś wegetariańskie lasagne, nagotuję więcej i zamrozę jak pani Fogelman. - Gdy miałam mniej więcej dwanaście lat, pani Fogelman wiodła rej w kościelnej organizacji

charytatywnej i umówiła się z moim ojcem, że będę jej pomagać w gotowaniu dla potrzebujących. Nauczyłam się przyrządzać wszystkie możliwe rodzaje zapiekanek, dzielić je na porcje i przechowywać w zamrażalniku. W krótkim okresie, gdy pracowałam w dziale PR i wyjeżdżałam na konferencje, w ten sam sposób wyposażałam naszą domową lodówkę dla Petera, zawsze jednak źle oceniałam czas wyjazdu i przez kilka następnych miesięcy jedliśmy mrożonki mojego autorstwa.

- To twoja mocna strona. Zostań i pomagaj.

- Dzwoniłam do Eili - dodałam, kładąc palec na miniaturowym maszcie z balsy. - Nie miała nic przeciwko. Złapałam ją akurat po zajęciach z tai-chi.

- Sprytnie.

Na chwilę zapadło milczenie. Zastanawiałam się, czy Peter znów postanowi spróbować zazdrości i czy zazdrość wciąż będzie cisnąć go w szyć. A może oboje wiedzieliśmy, że gdybym zaczęła opowiadać, co naprawdę się dzieje, musielibyśmy przeprowadzić dłuższą i bardziej mroczną rozmowę...

- Tęsknię za tobą - powiedział w końcu Peter. Wiedziałam, że to formułka pożegnalna.

- Ja za tobą też.

- Odzywaj się - poprosił.

- A ty oszczędzaj sąsiadów.

- Obiecuję. Słowo skauta.

Odłożyłam słuchawkę. Była tak ciężka, że z ulgą odłożyłam ją z powrotem na widełki. Znów spojrzałam na stateczek. Zwijałam i rozwijałam miniaturowe żagle, myśląc, co się stało z butelką.

Domyśliłam się, że ktoś musiał ją rozbić, może jakaś zbłąkana piłka strąciła ją z półki, ale stateczek był tak lekki, że przetrwał wypadek - mały artefakt dzieciństwa Elliota Hulla. Co symbolizował pozbawiony wody i butelki stateczek?

Vivian drzemała, a Jennifer była wykończona, zaproponowaliśmy więc z Elliotem, że zabierzemy Jeżozwierza i Bib na zakupy. Stojąc na podjeździe, wspólnymi siłami próbowaliśmy rozszyfrować skomplikowane zapięcie fotelika Jeżozwierza.

- Ta sprzączka tutaj - powiedziałam.

- Nie, chyba tutaj - odparł Elliot.

Gdy kolejna próba zakończyła się porażką, wybuchnęliśmy śmiechem. W końcu Bib zniecierpliwiała się i zrobiła to za nas.

- Widzicie? Proste!

- Dla ciebie - odparł Elliot.

- Bib to mały geniusz - powiedziałam.

- Mam bardzo wysoki iloraz inteligencji.

- Testują go w szkole? - spytałam. Bib wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

Elliot ruszył przed siebie minivanem Jennifer.

- Czuję się jak u steru „Proud Mary”. To auto jest ogromne.

- Co to jest „Proud Mary”? - zapytała Bib.

- Żeby to wyjaśnić, musiałbym zacząć od historii parowców - odparł Elliot. - Następnie przejść do lat sześćdziesiątych i zespołu Creedence Clearwater Revival, a potem jeszcze do Ike'a i Tiny Turnerów.

- No i wyjaśnić, dlaczego podmiot liryczny „w mieście harował noc i dzień”.

- Kto to jest podmiot liryczny? - zapytała Bib.

Elliot nie odpowiedział. Po prostu zaczął śpiewać. Po chwili dołączyłam do niego jako chórek. Jeżozwierz był zachwycony, zwłaszcza gdy zaczęłam udawać parowiec. Śpiewanie wychodziło nam okropnie, ale pozwalało zapomnieć o rzeczywistości. Zastanawiałam się, kiedy wyjawić Elliotowi, że jego matka zna prawdę. Rozpoznałaby mnie wszędzie. Dlaczego jej słowa tak głęboko mnie poruszyły? Nie potrafiłam tego wyjaśnić, byłam jednak pewna, że Elliot miałby na ten temat coś do powiedzenia. Nie wiedziałam tylko, czy jestem

gotowa na jego teorie dotyczące mnie, i dotyczące matek. Jak to możliwe, że znał mnie tak dobrze? Czy byłam kiedyś na tyle odważna, by dać mu tak wiele z siebie? Byłam wtedy młoda. Nie wiedziałam, że nie powinnam tego robić. A teraz? Gdy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle, musiałam zwalczyć pokusę, by przechylić się nad siedzeniem i pocałować go. Tak bardzo miałam na to ochotę.

Już wkrótce krążyliśmy niespiesznie między rzędami półek. Jeżozwierz siedział w wózku na zakupy, a Bib wypytywała o każdy produkt, którego nie potrafiła z miejsca rozpoznać i zakwalifikować: mleczko kokosowe, ryż z szafranem, suszony fasolnik chiński, pumeks, pozbawioną głowy rybę ułożoną na kostkach lodu. Wyjaśnialiśmy wszystko po kolei, najlepiej jak potrafiliśmy, jednocześnie gromadząc w wózku produkty niezbędne do zrealizowania przepisów na potrawy do zamrożenia.

Jeżozwierz zaczął płakać, wzięłam go więc na ręce i zaczęłam kołysać, w tym samym czasie wskazując Elliotowi łokciem i sandałem poszczególne produkty.

- Weź to - mówiłam. - Hm, nie, większe opakowanie. Stoi obok.

Elliot zaś, podążając wzrokiem za moją stopą, dopytywał:

- To? Czy to? To tutaj? A może tamto?

Pod koniec wycieczki Jeżozwierz zasnął i nagle poczułam, jakbym trzymała worek kamieni. Piekły mnie mięśnie ramion, Elliot zaś zorientował się, że zapomnieliśmy o pieczywie. Zawrócili więc z Bib i pobiegli w stronę półek, zostawiając mnie przy kasie.

- Za chwilę wrócą - powiedziałam kasjerce.

- Dobrze, że mąż pani pomaga. Sporo ma pani na głowie - odrzekła.

Już chciałam ją poprawić, powiedzieć, że to nie mój mąż i nie nasze dzieci. Przypomniałam sobie jednak, że udawałam przecież żonę Elliota, uśmiechnęłam się więc tylko i ski-

nęłam głową, a nawet ze zmęczeniem wzruszyłam ramionami, jakbym mówiła: „No cóż, tak to już jest”.

Ulżyło mi, gdy Elliot i Bib pojawili się na horyzoncie.

- Idą! - powiedziałam, ale czułam coś więcej niż zwykłą radość. Czułam, że spieszą się do mnie, dla mnie. Przypomniałam sobie opowieść Elliota o tym, jak kilka dni wcześniej wpadł na dawnego kolegę z wózkiem pełnym zakupów i gromadką dzieci. W tej chwili spełniało się jego marzenie.

Robił duże, szybkie kroki jak uczestnik biegu narciarskiego, niemal unosił się nad posadzką. Wydawał się szczęśliwy. Bib również wyglądała na zadowoloną, mając dwiema torebkami z chlebem trzymanymi w zaciśniętych piąstkach.

- Jesteśmy! - zawołała. - Jesteśmy!

To była piękna, zwykła chwila - spocone niemowlę, dziewczynka w kaloszach, Elliot i ja. Kasjerka w supermarkecie wzięła nas za rodzinę. W moim dzieciństwie wydarto ziejącą czarną dziurę. W żadnej z dotychczasowych prac nie czułam się jak w swoim żywiole. Nawet będąc z Peterem, chyba nigdy nie byłam do końca sobą. A w tym momencie, udając żonę innego człowieka i matkę cudzych dzieci, poczułam, że wreszcie jestem tam, gdzie powinnam.

ROZDZIAŁ 20

Przez resztę dnia gotowałam - lazanie, zapiekanki z kabaczków, quiche, gęstą zupę ziemniaczaną. Elliot siekał warzywa, Bib odmierzała składniki i mieszała. Jennifer wchodziła i wychodziła z kuchni. Buzia Jeżozwierza wystawała to sponad jej ramienia, to sponad ramienia Elliota. Czasem nawet dzieciak ładował w moich objęciach i trzymałam go, choć ręce miałam całe w mące albo brudne od kartofli. W pewnej chwili przypomniała mi się krzątająca po kuchni pani Fogelman w niedzielne popołudnia, gotowanie obiadów dla ludzi, którym dopiero co urodziło się dziecko, właśnie wyszli ze szpitala albo stracili bliską osobę. Czułam wtedy, że działam w imię wyższego dobra. Pan Fogelman ulatniał się z kuchni, a pani Fogelman i ja byłyśmy jak dobrze naoliwiony mechanizm, prześlizgując się obok siebie, rozbijając jajka, nastawiając minutniki. Czasami wyobrażałam sobie, że jest moją matką. Nie patrzyłam na jej twarz, koncentrowałam się za to na tułowiu, bladych, piegowatych ramionach, zawiązanym w talii fartuchu. Najbardziej lubiłam, gdy jedyne dźwięki w kuchni dochodziły z ustawionego w głębi blatu radia. Już prawie zaczynałam rozumieć, jak

to jest mieć matkę, gdy nagle ona odzywała się, a ja podnosiłam wzrok i była to tylko pani Fogelman.

Nie pamiętałam, żebyśmy z Peterem kiedykolwiek razem gotowali. Od czasu do czasu bywaliśmy razem w kuchni, ale on zawsze skupiał się na innej potrawie niż ja. Z Elliotem było inaczej. Przeciskaliśmy się obok siebie między blatem, wyspą a kuchenką. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z erotycznej fizyczności gotowania - skłony, balansowanie, ubijanie, minutniki brzęczące niecierpliwie, utrzymujące tempo, które nagle zwalnia, gdy się prostujesz i oblizujesz palce. Gotowanie z Elliotem nie było zwykłą czynnością, lecz sztuką, czymś, co można napełnić miłością i precyzją. Emanowało zmysłowością.

Pomyślałam o Bettinie i Shweersie. Czy właśnie tak wyglądało ich życie? Czy wszystko - nawet najprostsze domowe prace, choćby wycieranie naczyń - znaczyło dla nich więcej, ponieważ byli razem? Poczułam się tak, jakby moje ciało nie należało tylko do mnie, jakbyśmy z Elliotem stopili się w jedno. Każdy ruch wzmacniał świadomość jego obecności. Czułam, jak krząta się za mną lub sięga po coś tuż przede mną. Elliot Hull w luźnych szortach, po tych wszystkich latach. Czasami zdawało mi się, jakbym znała go od zawsze.

W końcu napełniłam wszystkie garnki, patelnie i rondle. Ustawiłam je rządkiem na blatach, by wystygły. W kuchni było gorąco i parno, ale ładnie pachniało.

- Ona potrafi gotować, i to jak! - odezwała się Jennifer.

- I to ile! - dodał Elliot.

- Czy jednak jakoś dorównuje ilości? - zapytała Jennifer, podkradając się do lazanii.

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Spróbowaliśmy po trochu każdego dania, a do tego ryż

z szafranem, i popiliśmy mleczkiem kokosowym - oba te produkty wrzuciliśmy w sklepie do wózka na prośbę Bib. Vivian wciąż drzemała.

Pierwsza dawka morfiny tylko lekko

złagodziła ból. Poprosiła o więcej i druga porcja skutecznie ją uśpiła. Pragnęłam ją nakarmić czymś, na co miałyby ochotę, ale i tak cieszyłam się, widząc wszystkich przy jednym stole, jedzących, zachwycających się moim dziełem i wyciągających talerze po dokładkę.

Po kolacji Bib zaproponowała grę w kalambury.

Jennifer wycofała się, Jeżozwierz marudził.

- Pora położyć go spać.

Zaproponowałam, że posiedzę z Vivian, „by dotrzymać jej towarzystwa”.

- Jestem mistrzem kalamburów - zwrócił się do mnie Elliot. - Kiedyś narysowałem altankę w cztery sekundy. Ominie cię okazja podziwiania prawdziwego artysty.

- Ja narysowałam kiedyś marchewkę, a wujek Elliot myślał, że to łódka - powiedziała Bib. - I ciągle mi powtarzał, że to łódka, chociaż to nie była prawda.

Nagle przez myśl przemknął mijjocałunek na jeziorze. Jego usta.

Poczułam ucisk w żołądku. Za oknem zapadał zmrok. Zastanawiałam się, czy będziemy jeszcze sami, a jeśli tak, co się wtedy wydarzy?

- Nie wyrzucajcie rysunków, obejrzę je później.

- Nie rysunków, arcydzieł - poprawił mnie Elliot. - Zgadza się, Bib?

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

- Zgadza się.

Vivian leżała w łóżku z podniesionym wezgłowiem. Miała zamknięte oczy. Włosy zakrywały jej twarz, jakby przewracała się we śnie. Nie byłam pewna, po co właściwie przyszłam. Wiedziałam, że czegoś od niej chcę. „Wszędzie bym cię rozpoznała”. Chciałam, by znów to powiedziała. Jak długo już czułam się niczym dziecko zagubione na plaży, zdezorientowane, z wiaderkiem obijającym się o nogi wędrujące od parasola do parasola, pod każdym z nich odnajdując nie swoją ro-

dzinę? Ze wszystkich kobiet, które mogłyby stać się dla mnie drugą matką, pani Fogelman zrobiła, co mogła, Eila się nie nadawała, matka Petera była zbyt chłodna i nigdy zbyt nie lubiła... Czemu musiałam związać wszystkie nadzieje właśnie z Vivian? Ona umierała. I tak nie miałabym dość czasu, by wchłonąć całą tę macierzyńską miłość, której zawsze tak mi brakowało.

Usiadłam w fotelu po drugiej stronie pokoju, bo bałam się, że ją obudzę, jeżeli zbyt się do niej zbliżę. Ale ona chyba wyczuła moją obecność i już po chwili na mnie patrzyła.

- Giselle - odezwała się. - Uratowałam ich w środku nocy.

- Nie jestem Giselle - powiedziałam, podchodząc bliżej, by mogła zobaczyć mnie w świetle lampki nocnej. - To ja. - Nie wiedziałam, jak się przedstawić. Elizabeth? Gwen? Powtórzyłam więc po prostu: - To ja. Położyłam dłoń na jej dłoni, a ona mocno ją ścisnęła. Na jej twarzy malował się gniew.

- Powiedz mi prawdę - odezwała się, po czym dodała: - Choć tyle mi obiecuj! - Zrozumiałam, że Giselle musiała ją wielokrotnie i głęboko zawieść. Poczułam się podwójnie winna zdrady, za Giselle i za siebie.

- Obiecuję - zapewniłam. - Powiem mu.

Rozluźniła uścisk. Zamknęła zmęczone oczy. Kilka łez wypłynęło spod powiek i znikło we włosach.

- Uczesz mnie. Jestem taka potargana - szepnęła. - Uczesz mnie.

Odgarnęłam kilka kosmyków z jej policzka i zaczęłam głaskać ją po delikatnych, miękkich włosach palcami, potem całą dłonią. Co dziwne, teraz ja czułam się jak matka, która opiekuje się gorączkującym dzieckiem. Było to dobre uczucie. Z matkami i córkami tak już bywa, że zmieniają się rolami, które są przecież płynne. Jedna uczy drugą, jak być matką po to, by któregoś dnia zaopiekowano się nią jak dzieckiem.

Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zostałam pozbawiona

również i tego doświadczenia: zajmowania się matką na starość. Moja matka nigdy się nie zestarzeje, nawet w snach jest młoda, taka jaką ją zapamiętałam.

- Vivian? - szepnęłam. - Mogę ci coś podać? Otworzyła oczy i wpatrzyła się we mnie.

- Oni nie wiedzą. I nie chcę, żeby wiedzieli. Mogę ci powiedzieć?

- Oczywiście, co tylko chcesz.

- Zostawił mnie dla niej - szepnęła. - Dla mojej siostry Giselle.

Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Twój mąż?

- Żyła z jakimś facetem w Burbank, a potem przyjechała tu. Miała złamane serce. Przyłapałam ich razem. Kochał ją, ale ona jego nie.

- Tak mi przykro - powiedziałam.

- W porządku. Nie wiedziała, jak bardzo chciała mnie zniszczyć.

Próbowała mi wszystko ukraść. Była młoda. Jej miłość do mnie była równie mocna jak nienawiść. - Vivian zacisnęła powieki. - Już nie żyje.

Miała wypadek motocyklowy gdzieś na zachodzie. Kiedy umierasz, nagle wszystko do ciebie wraca. Udaje coś innego, to straszne. Te jej myszy... czułam je w dłoniach.

- To morfina - powiedziałam.

- To śmierć: Nie mów dzieciom.

- Nie powiem.

- Myślą, że to była kobieta z miasteczka. Po co im mówić?

- O jaką prawdę ci chodziło? - zapytałam. - Chciałaś, żebym powiedziała mu prawdę.

- To ty - odpowiedziała, unosząc w górę palec. - Ty obiecałaś powiedzieć mu prawdę. Nie Giselle. Ty.

- Ale myślałam, że nie chcesz, żebym mówiła o tym Elliotowi - przypomniałam jej zdezorientowana.

- Powiedz mu prawdę o sobie. Obietnica jest obietnicą.

Już po chwili zaczęła oddychać lekko i powoli. Spała. Nie byłam pewna, co mam robić ani co przed chwilą obiecałam. Chciałam opowiedzieć wszystko Jennifer albo Elliotowi, ale oczywiście nie mogłam. Vivian spała spokojnie. Jej dłoń wysunęła się z mojej dłoni, wróciłam na fotel. „Powiedz mu”, pomyślałam, obserwując, jak wiatr łopocze cienkimi zasłonami. „Powiedz mu prawdę. Choć tyle mi obiecaj”. Pomyślałam o mężu Vivian, ojcu Elliota, i jego romansie z Giselle. Jak długo Vivian nosiła w sobie ten sekret? Czy kiedykolwiek wcześniej komuś go wyjawiała? Zaczęłam się zastanawiać, czy ja sama na łożu śmierci będę chciała wyjawić komuś jakąś długo skrywaną tajemnicę. Pomyślałam o mężczyznach mojego życia. Któremu z nich należało powiedzieć prawdę? Peterowi czy Elliotowi? I co właściwie było prawdą? Jak mogę powiedzieć komukolwiek prawdę, jeśli sama jej nie znam?

ROZDZIAŁ 21

Jeżozwierz i Bib leżeli już w łóżkach, ja zaś siedziałam na jednym z ustawionych przodem do jeziora drewnianych krzeseł na tarasie. Wiał chłodny wietrzyk, a księżyc odbijał się w pomarszczonej powierzchni wody. Przy pomoście białe wiaderka Bib. Elliot został w domu. Przejął dyżur przy Vivian, choć spała ona mocno. Jakaś część mnie miała nadzieję, że i on uśnie w fotelu, nie zostanę z nim sama i nie będziemy musieli rozmawiać. Ten dzień był zarazem dziwny i cudowny - wycieczka do supermarketu, zaparowana kuchnia, poczucie, że mam rodzinę, nawet jeśli była to rodzina, którą połączył smutek. Nie chciałam psuć tego wrażenia, choć z drugiej strony pragnęłam być z Elliotem sama, bardziej niż czegokolwiek innego chciałam znów znaleźć się na łódce krążącej powoli po jeziorze. Na tarasie pojawiła się Jennifer z butelką czerwonego wina. Napęła dwa kieliszki, wręczyła mi jeden i usiadła na krześle obok.

- Wiem że zostawiłaś swoje życie, żeby tu być - odezwała się. - Mam nadzieję, że nikt u ciebie w domu nie ma nic przeciw temu.

Domyśliłam się, że chodzi jej o moje małżeństwo.

- Chyba nie - odpowiedziałam. - Kiedy ostatnio dzwoniłam do męża, podkręcał na maksa AC/DC, udając, że znów ma dwadzieścia lat.
- Wydaje mi się, że faceci łatwo cofają się w rozwoju. Niewiele im potrzeba. - Uśmiechnęła się. - Wasz związek musi być mocny, skoro pozwala ci udawać żonę kogoś innego. Nie sądzę, żeby Sonny się na to zgodził, nawet w słusznej sprawie. A perkusiści teoretycznie są bardzo wyluzowani.
- Peterowi chyba to nie przeszkadza - powiedziałam. Czułam, że Jennifer próbuje mnie wy badać, może ze względu na Elliota? Nie byłam pewna. - Twoja matka wzięła mnie za Giselle - zmieniłam temat.
- Znów o niej mówiła? Zawsze na tym się kończy, gdy zaczyna majaczyć. Giselle to jej młodsza siostra. Jako dzieci były ze sobą bardzo blisko, ale jako dorosłe się nie dogadywały. Giselle umarła trzynaście lat temu.
- A twój ojciec? - spytałam. - Gdzie jest teraz?
- W Arizonie. Matka nie pozwala mu przyjechać. Nie chce, żeby widział ją w tym stanie.
- Naprawdę tak bardzo go kochała?
- Nie wiem. - Jennifer zapatrzyła się w swój kieliszek. - Po rozwodzie raczej trzyma! się z daleka chyba dlatego, że go zawstydziała. Ona ma taką moc. Zawsze twardo przekonana o swojej racji. To jej najgorsza cecha. Przez chwilę wsłuchiwałam się w rechot żab.
- Ale mimo wszystko wciąż wierzy w miłość - odezwałam się w końcu.
- Owszem, ale nie w to, że jej jest pisana. Żadnych mężczyzn. Tak bardzo przeżyła tamtą stratę. Może to sprawiło, że stała się prawdziwą romantyczką. Nie znosi, gdy miłość się marnuje.
- Kazała mi obiecać, że powiem prawdę - powiedziałam z uśmiechem. - Jaką prawdę? Nie wiem. Obietnica była ogólna.

Jennifer zmrużonymi oczami popatrzyła na jezioro. Na pomoście po drugiej stronie rozwieszono były lampki.

- Nie wiem, czy w ogóle jest jakaś prawda - powiedziała i spojrzała na mnie. - Czy myślisz, że w kwestiach sercowych można mówić o prawdach? Prawdach absolutnych?

Wzruszyłam ramionami.

- Kochasz kogoś albo nie, ale czy myślisz, że resztę dyktuje życie czy miłość dyktuje, jak żyć?

Nie byłam pewna, o którym życiu mówi, moim czy swojej matki?

- Nie wiem - odpowiedziałam.

Odchyliła się na krześle i zakołysała kieliszkiem.

- Teraz wiesz, jak Elliot się czuł.

- Kiedy?

- Kiedy jej powiedział, że ma żonę. Nie miał wyjścia. Ona potrafi sprawić, że mówisz jej to, co chce usłyszeć. - Jennifer przyciągnęła kolana do piersi. - A ty? Zgodziłaś się?

- Na to wygląda.

- Kiedy poprosiła, żebyś jej obiecała, że powiesz prawdę, obiecałaś?

- Obiecałam.

- I co? - spytała, patrząc na mnie szczerym wzrokiem.

- Z czym? - Udałam, że nie rozumiem, o co pyta, mając nadzieję, że odpuści.

- Powiesz mu prawdę?

- Komu? Jaką prawdę?

- Któryemukolwiek z nich - odparła. - Jakakolwiek prawdę. Czy chciała, bym powiedziała mężowi, że kocham innego człowieka? Przyznała się do pocałunku na łódce? A może, żebym wyznała Elliotowi, jak głębokie jest moje uczucie, i zaryzykowała życie, które dotychczas wiodłam? Przypomniało mi się, jak w cukierni Helen kazała nam zamknąć oczy i choć przez minutę poczuć wdzięczność za to, co mamy. Miałam dobre życie, Peter był dobrym człowiekiem. Kim byłam, żeby

pragnąć więcej? Czy czułam, że zasługuję na więcej? Nie uważałam, że to, co mam, z góry mi się należy. Życie to życie. Rozdziela troski jak popadnie. Bierzesz część, która ci się trafi, i znajdujesz w niej coś, za co warto być wdzięcznym -to twoje zadanie jako człowieka.

Zdenerwowałam się. Właściwie poczułam się sprowokowana. Jennifer najwyraźniej wyczuła mój nastrój.

- Przepraszam - powiedziała. - Wtykam nos w nie swoje sprawy.

- Nie szkodzi - odrzekłam i była to szczerza odpowiedź. Byłyśmy tylko dwiema kobietami rozmawiającymi nad jeziorem przy kieliszku wina. Tego rodzaju rozmowy zawsze sprawiały, że czułam się skrepowana jak cudzoziemka, która opanowała tylko łamaną wersję języka kobiet.

Podczas takich cichych rozmów między kobietami dzieją się ważne rzeczy. Szczerze mówiąc, uważałam, że miała rację, prowokując mnie.

Potrzebowałam tego.

- Masz rację. Chyba komuś będę musiała powiedzieć prawdę. Obietnica to obietnica.

Minęło trochę czasu, nie wiem dokładnie ile. Jennifer z gracją skierowała rozmowę na bezpieczniejsze tematy - eksperymenty Bib, palce u nóg Jeżozwierz, które zaczynały dziwnie na siebie zachodzić, śpiewającego gitarzystę, który miał się zjawić w ciągu najbliższych dni przysłany przez hospicjum.

- Moja matka nigdy nie lubiła ludzi, którzy ni z tego, ni z owego wyciągają gitarę i zaczynają śpiewać. Twierdzi, że zepsuli msze w kościele, a także, cytuję; „To między innymi z ich powodu lata siedemdziesiąte zrobiły klapę”.

Ja zaś mówiłam o pracy, usiłując opisać jej Eilę i naszych klientów w ich superekskluzywnych, dusznych, ponurych domach, chciwców, którzy zawsze nabierali się na artystyczne natchnienie Eili.

- Wydaje mi się, że oni wiedzą, czego im brak w życiu, a ona wie, jak im to dać.

Jennifer zadała mi kilka pytań dotyczących wystroju wnętrza, a ja starałam się, jak mogłam, by wymyślić, co zaproponowałyby Eila.

Po dłuższej chwili ciszy Jennifer zapytała, co ja podkreśliłabym na maksa, gdybym chciała udawać, że znów mam dwadzieścia lat. W tym momencie na tarasie pojawił się Elliot.

- Nie mam pojęcia - odrzekłam.

- O czym nie masz pojęcia? - zapytał.

- Ja podkreśliłabym Vana Morrisona - powiedziała Jennifer. - Kiedy miałam dwadzieścia lat byłam taką trochę neo-hipiską.

- Jaką muzykę włączyłbyś na cały regulator, żeby przypomnieć sobie, jak to jest mieć dwadzieścia lat? - spytałam Elliota.

- Czy na to pytanie nie potrafisz odpowiedzieć?

- Po prostu nic nie przychodzi mi do głowy.

- Lubiałaś Smashing Pumpkins i Pearl Jam, kochałaś się w Howardzie Jonesie, uwielbiałaś piosenki z filmów Johna Hughesa. I od dziecka słuchałaś INXS.

Zaczerwieniłam się, fala gorąca zalała mi nie tylko policzki, ale także szyję i klatkę piersiową.

- Zgadza się - powiedziałam. - Howard Jones. Był elegancki.

- Jak mama? - spytała Jennifer.

- Śpi mocno.

- A na górze spokój?

- Spokój.

- Pójdę, sprawdzę, czy u wszystkich wszystko gra. - Podniosła pustą butelkę po winie. - Dobranoc! - rzuciła przez ramię.

- Dobranoc - odpowiedziałam. Jennifer zniknęła w domu.

Elliot podszedł do balustrady tarasu.

- Lubiłaś *I'll Stand by You* The Pretenders i Pat Benatar, i chociaż nigdy nie przyznałabyś się do tego publicznie, radio w samochodzie, w tej małej charkoczącej toyocie, miałaś nastawione na stację z przebojami. Czasami zachowywałaś się standardowo. Gdy byłaś bardzo wkurzona, włączałaś na cały regulator Alanis Morissette jak każda inna dwudziestolatka. Był jeszcze Johnny Cash, znałaś wszystkie jego piosenki i winałaś za to swojego ojca. Lubiłaś też Rickiego Lee Jonesa i kochałaś Carole King. Znałaś na pamięć wszystkie jej teksty. Domyśliłem się, że twoja matka miała te płyty.

- Jakim cudem to wszystko pamiętasz?

- Za każdym razem, kiedy słyszę jedną z tych piosenek, myślę o tobie.

Wszystko mi się przypomina. Za każdym razem. - Westchnął. - Od *I Feel the Earth Move under My Feet* do *No One Is to Blame*. Kiedy słyszę w radiu *Pretty in Pink*, muszę ze względu na ciebie wysłuchać jej do końca.

- Przepraszam - odpowiedziałam. - Tyle musiałeś wycierpieć.

- Cóż mogę powiedzieć? Prawdziwy ze mnie rycerz.

- Wiesz... - zaczęłam, podchodząc do balustrady i stając obok niego. - Tak sobie myślę. Ludzie pytają, czym się zajmujesz, a ty im musisz mówić, że jesteś profesorem filozofii. Jak na to reagują? To znaczy, to musi być...

- Krępujące?

- Nie, tylko... Mógłbyś chyba powiedzieć, że jesteś filozofem. Ale wtedy...

- Wyobraźaliby sobie, jak jem winogrona owinięty w białe prześcieradło?

- Albo że nie żyjesz.

- Racja.

- No więc, co robisz?

- Większość filozofów w takich sytuacjach zazwyczaj kłamie. Kiedy zaczepiają mnie w samolocie lub coś w tym stylu, mówię, że sprzedaję ubezpieczenia na życie albo pracuję dla

Amwaya. Pytam, czy zastanawiali się kiedyś, jak Amway może poprawić jakość ich życia.

- Czy Amway może poprawić jakość mojego życia?

- Jak najbardziej. - Wiatr sprawił, że zaczęły mu łzawić oczy, lśniły w świetle lampy na tarasie. - Spójrz na mnie!

Patrzę. Wiem, że kiedyś będę musiała wrócić do domu. To co jest między nami, nie potrwa długo i będę musiała pamiętać takie chwile - jego bose stopy, dzinsy wypłowiałe na szwach, błyszczące oczy. Moja dłoń znajdowała się zaledwie dwa centymetry od jego dłoni. Wyciągnął mały palec i dotknął nim mojego małego palca jak szóstoklasista.

- Lubię cię - powiedział.

- Naprawdę? Nie miałam pojęcia.

- Właściwie - szepnął, nachylając się do mnie - to bardzo cię lubię. Tak na poważnie.

- Lubiłeś Otisa Reddinga. - Przypomniałam sobie piosenki, które nagrał kiedyś na kasetę i słuchał ich z walkmana.

- *Shout Bamalamal* - zawołał. - Otis to był gość.

- Miałeś rację co do Carole King i Rickiego Lee Jonesa. Moja matka nie miała wielu płyt, ale wiedziałam, że te należały do jej ulubionych. W gimnazjum przechodziłam taki etap, że w kółko ich słuchałam. Ojciec chyba rozumiał, co się dzieje, że potrzebuję jakiegoś połączenia z nią, i nie narzekał. - Zastanowiłam się przez chwilę. - To musiało być dla niego trudne. Nigdy wcześniej nie myślałam o tym z jego punktu widzenia, ale pozwalał mi robić to, co było dla mnie ważne.

- Ciekawe, o czym dziś rozmawiają ryby - powiedział Elliot.

- Gdyby tylko mój ojciec tu był i nam to przetłumaczył...

- Wciąż rozmawia z rybami?

- Każdy potrzebuje kogoś do rozmowy.

Elliot odwrócił się i spojrzał na mnie, przesuwając wzrokiem po każdym centymetrze mojej twarzy. Szczególnie długo wpatrywał się w usta.

- Nie wiem, co robić.
- Tak myślałam, że nie będziesz wiedział.
- Po prostu chciałem być szczery. Na wypadek, gdyby ci się zdawało, że realizuję tu jakiś perfidny plan. To nie tak.
- Twoja matka wie, że ja to ja - powiedziałam.
- Jak to?
- Wie, że jestem Gwen Merchant, nie Elizabeth.
- Powiedziała ci?

Odwróciłam się tyłem do jeziora i założyłam ręce na piersi.

- Od dziecka się bałam, że moja matka nie pozna mnie w niebie, ponieważ umarła, gdy byłam mała. Będę inaczej wyglądać i nigdy się nie odnajdziemy. To był głupi lęk. Ale twoja matka powiedziała do mnie: „Wszędzie bym cię rozpoznała”. -Zaczęłam płakać: gwałtowny wdech, potem szloch. Ukryłam twarz w dłoniach. - Od kiedy pamiętam, to właśnie pragnęłam usłyszeć od swojej matki. - Elliot wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po włosach. - To nie była moja wina - powiedziałam.
- Oczywiście, że to nie była twoja wina, Gwen. Oczywiście, że nie.

Poczucie winy bywa bezsensowne.

Otarłam łzy i spojrzałam na niego ostro.

- Ale my jesteśmy winni. Jesteśmy tu, razem. Na tym polega nasza wina. Elliot nie potrafił odpowiedzieć.
- Myślisz, że nie chciałabym być taka jak ty? - zapytałam. - Wierz mi, wolałabym móc powiedzieć ludziom, co naprawdę czuję, i zaakceptować to, jak mnie odbierają.
- Możesz taka być. Potrząsnęłam głową.
- Jestem, kim jestem.
- Czy to znaczy, że nie mogę ci powiedzieć, że wciąż cię kocham?
- Możesz to nawet wykrzyczeć, jeśli chcesz, ale ja nie mogę tego przyjąć, nie tak, jakbyś chciał. Chyba znasz mnie już na tyle dobrze, żeby to wiedzieć.

Elliot roześmiał się i uderzył pięścią w balustradę.

- Co za ironia losu - powiedział. - Nawet to w tobie Kocham.

Po drugiej stronie jeziora rozległo się pyknięcie, jak gdyby ktoś otworzył szampana, a potem rozległ się chór głosów.

- Ktoś urządza imprezę - zauważyłam.

Elliot objął mnie i przyciągnął do siebie. Ładnie pachniał płynem po goleniu i jedzeniem, które dziś przyrządzaliśmy. Powiedział:

- Udawajmy, że to przyjęcie na naszą cześć, i wymknęliśmy się, by być sam na sam.

Po wodzie poniosł się śmiech jakiejś kobiety. Pijani mężczyźni zaczęli śpiewać studenckie przyśpiewki. Zaszczekał pies. Rozległ się wystrzał kolejnego korka od szampana. Staliśmy tak na tarasie, Elliot mnie obejmował, a głosy odbijały się wokół nas echem.

ROZDZIAŁ 22

Kolejne dwa dni minęły szybko, choć starałam się korzystać z każdej chwili. Większość czasu spędziłam, zajmując się dziećmi. Jennifer nauczyła mnie trzymać nosidełko i zabierałam oboje na grządkę z jagodami, gdzie dostawaliśmy kubek i byliśmy opłacani od kilograma. Poza tym graliśmy w ogrodzie w krokieta. Bib okazała się bezwzględną przeciwniczką. Gdy dołączał do nas Elliot, wymyślał dodatkowe zasady - punkty za styl - na przykład za grę na jednej nodze, mówienie z brytyjskim akcentem, podkreścone kule. Trzymał na rękach Jeżozwierza, co, jak twierdził, utrudniało mu zadanie. Bib była zachwycona. Mój akcent brzmiał nieporadnie, ale świetnie radziłam sobie na jednej nodze i nieźle podkręcałam. Elliot grał bosą i próbując wypchnąć mnie z boiska, uderzył się kijem w stopę. Świeciło słońce, na całym trawniku rozstawione były bramki, a Elliot fechtował się z Bib kijami krokietowymi. Potem Jeżozwierz ucinał sobie drzemkę, a Bib pokazywała mi swoje kijanki pływające w wiaderkach. Woda była mętna. Kijanki albo dziko wywijały ogonkami, albo trzymały

je sztywno i prosto jak strzały. Bib zauważyła w jednym z wiaderek larwę komara.

- Tam - zawołała. - Zobacz! - Larwa przemieszczała się w błyskawicznym tempie. Bib z trudem wodziła za nią palcem, aż w końcu ją dojrzałam. Dziewczynka zauważyła również, że jedna kijanka jest mniejsza niż pozostałe. Poinformowała mnie, że wyrośnie z niej żaba zwana „ryczącą”.

Podkradłyśmy z lodówki trochę sałaty, ugotowałyśmy ją i nakarmiłyśmy kijanki, które wystawiały swe niezgrabne, bulwiaste główki, niezauważalnymi kęsami pochłaniając liść.

- Są takie żywe - powiedziałam.

- Jakie mają być, przecież żyją - cierpliwie tłumaczyła mi Bib.

Jedliśmy przygotowane przeze mnie obiady oraz jagody ze śmietaną na deser. Ból Vivian nie zmniejszył się, wołała jednak przyjmować mniej morfiny i zachować dzięki temu większą przytomność umysłu.

Wiedziała, że pozostało jej niewiele czasu, walczyła więc o każdą chwilę. We wtorek wieczorem usiadłam przy niej.

- Wyjeżdżasz jutro rano. Skinęłam głową.

- Otwórz przynajmniej mój prezent - poprosiła, wskazując na elegancko zapakowane dary zgromadzone na stoliku po drugiej stronie pokoju. - Zrób to dla mnie.

- Jasne - odpowiedziałam. - Pójdę po Elliota.

- Nie, nie. To prezent dla ciebie. Poza tym kupiłam wam bardzo luksusowy ekspres do cappuccino. Ale to było, zanim cię poznałam. -

Wskazała na prezent rozmiarów *Encyklopedii Britannica* zawinięty w srebrny papier w dzwoneczki. - Przepraszam za ten papier, został ze świąt. Jennifer pakowała.

Wzięłam do ręki wskazaną przez nią mniejszą paczuszkę. Była lżejsza, niż się spodziewałam. Usiadłam na krześle obok łóżka i położyłam ją sobie na kolanach. Poczułam, że kręci mi się w głowie.

- Czuję się jak małe dziecko - powiedziałam. - Nie wiem dlaczego, ale denerwuję się.

- Otwórz - ponagliła. - Przez ciebie ja też się denerwuję. Oderwałam taśmę klejącą, starając się nie zniszczyć papieru.

- Rozedrzyj.

Na chwilę znieruchomiałam, po czym rozdarłam opakowanie. W środku ujrzałam oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiające Vivian w białym kostiumie kąpielowym, z małymi Elliotem i Jennifer, na trawniku przy tarasie, zrobione z okna na piętrze.

- Skąd wiedziałaś, że podoba mi się to zdjęcie? Odkąd je zobaczyłam... - Nie mogłam mówić dalej. Słowa utknęły mi w gardle, a do oczu napłynęły łzy.

- Elliot widział, jak na nie patrzyłaś. Mnie też zawsze bardzo się podobało.

Przebiegłam palcami po fragmencie przezroczystej zasłony w rogu fotografii.

- Wygląda, jakby ktoś nad wami czuwał.

Vivian wyciągnęła rękę, wychudłą, lecz wciąż elegancką. Nachyliłam się, by mogła dotknąć mojej twarzy. Jej dłoń była miękka i sucha.

- Ona czuwa, kochanie. Czuwa nad tobą. Oczywiście nie zdawałam sobie sprawy, że myślę o swojej

matce, ale to o nią chodziło Vivian. Chciała mi powiedzieć, że moja matka wciąż jest ze mną, że nigdy nie będę jej obca. Była ze mną przez te wszystkie lata, spoglądając z miłością na moje życie i na otaczających mnie ludzi. Łzy napłynęły mi do oczu i spłynęły po policzkach.

- Dziękuję - szepnęłam. - Dziękuję. - Wiedziałam, że ta chwila głęboko mnie odmieniła. Skoro nigdy nie będę obca swojej matce, to i ona nie będzie mi obca już nigdy więcej. Wiedziałam, że będę musiała zmierzyć się z ojcem i spróbować wreszcie odnaleźć prawdę.

Vivian pokiwała głową.

- Chciałabym mieć dla ciebie więcej czasu - powiedziała. - Jesteś wspaniałą córką. Elliot ma szczęście. - Spojrzała na mnie błękitnymi oczyma pełnymi łez. - Bądź dla niego dobra.

Tamtej nocy nie mogłam spać. Pod cienkim prześcieradłem było mi gorąco, a kiedy je skopałam, wpadający przez okno powiew wiatru sprawił, że zrobiło mi się zimno. Wiatr dmuchał coraz mocniej.

Słyszałam szelest liści i gdy podeszłam do okna, by je zamknąć, okazało się, że księżyc zniknął za wąskimi fioletowymi chmurami i drzewa zaczynają się kołysać. Niebo było ciężkie. W powietrzu wisiała burza.

Fotografia stała na nocnym stoliku. Podniosłam ją i obejrzałam ponownie, zauważając, że Elliot ma na niej lekko ugięte kolana, nieco za duże kąpielówki i szopę kręconych włosów. Był pięknym dzieckiem z kpiarskim uśmiechem, piegami i mądrym spojrzeniem. Chłonał otaczający go świat, już wtedy był małym filozofem. Usiadłam na skraju łóżka, potem wstałam i zaczęłam przechadzać się po pokoju.

Zdecydowałam, że muszę się czegoś napić - szklanka mleka pomoże mi zasnąć.

Zeszłam po schodach w szortach oraz błękitnej koszulce bez rękawów i wśliznęłam się do kuchni. Nalałam mleka do szklanki i popatrzyłam przez oszklone tarasowe drzwi na jezioro i wysokie trawy falujące na wietrze.

Ujrzałam, jak coś białego porusza się w oddali. Najpierw myślałam, że to żuraw albo inny duży ptak, potem dostrzegłam, że to koszula. Elliot siedział sam na końcu pomostu.

Wyszłam na taras i przyglądałam mu się przez chwilę. Siedział odchyłony do tyłu, podpierając się rękami. Przeszłam przez chłodny, mokry trawnik i wkroczyłam na pomost. Wiatr był już tak głośny, że Elliot usłyszał mnie dopiero, gdy wypowiedziałam jego imię.

Odwrócił się spłoszony.

- Co ty tu robisz?
- Mogłabym cię zapytać o to samo.
- Przyszedłem obejrzeć burzę. - Wskazał na drugą stronę jeziora. Błyskawica zacznie się tam i przetnie niebo nad całą wodą. Najprawdopodobniej przeleci nad nami i skończy się w tym miejscu. Wyrysował palcem linię w powietrzu aż do majaczących w oddali dachów.
- Spojrzałam w granatową kopulę nieba.
- Elliot przesunął się i poklepał deski obok siebie.
- Siadaj.
- Usiadłam. Pomost był stary, stracił już ostre krawędzie.
- Kiedy byłem mały, wpadłem w tornado szkwałowe. Byłem wtedy na łódce, o tam.
- Tornado szkwałowe?
- To rodzaj tornada, pojedynczy podmuch, który pojawia się znikąd. Pływałem żaglówką sąsiada. Podmuchał żagiel i uniósł mnie razem z łódką, wprowadził tylko parę metrów, ale i tak poczułem się bardzo dziwnie. Bańka powietrza, która nagle się unosi. Pogoda była taka jak teraz, przedburzowa, tyle że to zdarzyło się w dzień. Opowiedziałem o tym ojcu, ale mi nie uwierzył. Bardzo chciałem, żeby mi zrobili zdjęcie do gazety.
- Matce też o tym powiedziałaś?
- Owszem. Ona mi uwierzyła. Przez całe lato nazywała mnie swoim małym poszukiwaczem przygód. To było wkrótce przed ich rozwodem. Próbowwała sprawić, bym uwierzył, że jestem twardy i nic mi nie straszne. Wiedziała, co nas wszystkich czeka.
- Vivian jest mądra - powiedziałam. - Naprawdę bardzo mądra.
- Lubisz ją. - Elliot uniósł brwi. - Wiedziałem, że się polubicie.
- Nie potrafię tego wyjaśnić, ale w ciągu tej krótkiej wizyty dużo dla mnie zrobiła. Nie wiem, jak to określić, ale zmieniłam się. Sprawiała, że inaczej myślę.

- „Inaczej” w dobrym znaczeniu tego słowa? -Tak.

W oddali rozległ się grzmot. Spojrzałam tam, gdzie według Elliota miała zacząć się błyskawica, ale on nie spuszczał ze mnie wzroku. Czułam na sobie jego spojrzenie. Zamknęłam oczy.

- Prosiła, żebym była dobra dla ciebie.

- Naprawdę? - Nachylił się w moją stronę, z nadzieją w oczach. -I?...

- Być może to jest wszystko, co kiedykolwiek będzie nam dane.

Twarz Elliota rozświetliła odległa błyskawica. Podmuch wiatru sprawił, że włosy zasłoniły mi twarz. Elliot odgarnął je i ujął moją twarz w dłoń. Pocałował mnie - delikatny pocałunek szybko przerodził się w namiętny. Wyobraziłam sobie, że kochamy się tu, na pomoście, pod niebem przeciętym błyskawicą, wśród gwałtownego wiatru i deszczu. W tamtym momencie nie pragnęłam niczego innego.

Ale on się cofnął.

- Nie chcę nagrody pocieszenia - powiedział. Zaparło mi dech w piersiach.

- Słucham?

- Nie chcę, żeby to było wszystko, co kiedykolwiek będzie nam dane. Nie chcę też, żeby nasz związek zmienił się w romans, w coś, co zamiata się pod dywan.

- Nie mogę zostawić męża.

- Tak, wiem, rozumiem. Ale ja nie chcę, żebyś z mojego powodu czuła się winna, nie chcę, żebyś się mnie wstydziła.

Wstał. Usłyszałam szum deszczu i już po kilku sekundach znaleźliśmy się w samym środku ulewy. Jednak żadne z nas się nie poruszyło.

- Pamiętam czas, kiedy byliśmy razem. Pamiętam dotyk twoich żeber i bioder pod palcami. Pamiętam twoje znamię na udzie. Nie myśl, że mnie to nie dobija - powiedział i od-

garnął z twarzy mokre włosy. - Oddałbym wszystko, by móc znów się z tobą kochać. Prawie wszystko - poprawił się. Wyglądał pięknie, krople deszczu spadały mu z rzęs, mokra skóra lśniła. - Dorastając, nauczyłem się, że wiele rzeczy na świecie się rozpada. Moi rodzice byli ze sobą i nagle nastąpił koniec. Nauczyłem się nie ufać własnemu sercu. Ale gdy ci się przyglądam i widzę, jak ty na mnie patrzysz, wiem, że mam rację, że cię kocham. Znów zacząłem sobie ufać. - Otarł mokrą od deszczu twarz. - To proste. Wszyscy myślą, że nie potrafię się ustatkować ani zaangażować w żaden związek. Ale kiedy cię zobaczyłem w tamtej lodziarni, zrozumiałem, że nie byłem w stanie się zaangażować, bo już byłem zaangażowany w miłość do ciebie. I to też nie musi być zrozumiałe dla nikogo poza mną.

Wstałam. Wciąż oddychałam z trudem. Przesunęłam dłońmi po jego przesiąkniętej deszczem koszuli. Chwyciłam ją i przez sekundę mocno ścisnęłam materiał. Nic nie było proste. Rozluźniłam uścisk i puściłam.

ROZDZIAŁ 23

Pragnęłam, by pożegnanie trwało jak najkrócej. Weszłam do salonu. Vivian wpatrywała się w półki z książkami. Usiadłam na krześle obok jej łóżka.

- Wyjeżdżam - powiedziałam. Popatrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem.

- Przyjedź jeszcze. - Nie byłam pewna, czy wie, kim jestem, czy jest to automatyczna uprzejmość. Ale wtedy poklepała mnie po ręku. - Dziękuję, że to zrobiłaś.

- Co takiego? - Udawałam, że nie rozumiem.

- Wiesz - odpowiedziała. - Mogłaś się nie zgodzić.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek, nie mogłam jednak wykrztusić słowa. Głos uwiązł w ściśniętym gardle.

Elliot trzymał na rękach Jeżozwierza, czekając na mnie na trawniku.

Widziałam przez okno, jak cicho przemawia do dziecka. Nie mogłam wymazać z pamięci obrazu jego twarzy w strugach deszczu, jego koszuli w mojej zaciśniętej pięści, wiatru, błyskawicy i tego, że pierwszy odszedł z pomostu. Odwrócił się i ciężkim krokiem poszedł w stronę domu, a jego mokre czarne włosy lśniły.

- Nie potrafię być dla niego dobra, nie wiem jak - powiedziałam. - Nie potrafię być dla niego dobra i jednocześnie pozostać dobrym człowiekiem.

- Jesteś dobra - odparła Vivian. - Naprawdę. - Westchnęła. - Zdjęcie, które ci podarowałam, zrobiła moja siostra. Kocham je, ponieważ myślę, że w tamtej chwili ona kochała nas. Kochała nas za bardzo i nie potrafiła tego wyrazić. Skończyło się na tym, że próbowała nas zniszczyć. Ale zawsze się zastanawiałam, co by się stało, gdyby umiała po prostu nam powiedzieć, co czuje, i gdyby naprawdę potrafiła słuchać. To wszystko jest bardziej skomplikowane, niż się ludziom zdaje.

- Kochałaś go? - spytałam.

- Kochałam. Wciąż kocham. - Uśmiechnęła się i grzbietem dłoni dotknęła mojego policzka. - Jesteś dobra - powiedziała. - Słyszysz?

Zamknęłam oczy i skinęłam głową. Wiedziałam, że się zmieniłam, i gdy wrócę do domu, zmienię życie, które sobie zbudowałam, życie pełne beztrudnych pogawędek i gadki szmatki. Nie byłam pewna, czy Elliot Hull będzie pasował do mojego nowego stylu życia. Wiedziałam jednak, że nie mam wyboru. Miałam tylko nadzieję, że nie zabraknie mi odwagi, że Vivian przekazała mi wystarczająco dużo swojej drogocennej siły, bym podołała. Czy będę potrafiła stanąć na środku pola z grabiami w dłoni i podejmować odważne decyzje?

- Dziękuję - powiedziałam. - Za wszystko. Za więcej niż możesz sobie wyobrazić.

- Proszę.

Wstałam z poczuciem pewności i siły, ale również ze smutkiem w sercu. Chciałam jej powiedzieć, że niedługo znów się zobaczymy, ale ani ja, ani ona nie potrafiłyśmy złożyć takiej obietnicy. Wzięłam więc torby, na moment zatrzymałam się w drzwiach, a potem wyszłam z pokoju i z domu.

Bib biegła przez ogród. Potknęła się o bramkę do krokietu i ciężko upadła na ziemię, wciąż mokrą od deszczu. Krzyknęła

do matki, która nadeszła od strony podjazdu, gdzie rozmawiała z pielęgniarką z hospicjum.

Jennifer prowadziła pielęgniarkę do domu, z Bib uczeponą u boku. Spojrzała na moje torby.

- O nie! A więc to prawda. - Przyciągnęła mnie do siebie i uściskała. - Nie jedź! - poprosiła, po czym natychmiast dodała: - Wiem, wiem. To samolubne z mojej strony.

Bib przytuliła się, obejmując mnie w biodrach.

- Wrócisz! - powiedziała. - Obiecuj, to nie będę się smucić. Poklepałam ją po plecach i zmierzwiłam jej włosy. Elliot podał niemowlę Jennifer.

- No to jedziemy - powiedział, biorąc ode mnie bagaż. Poszłam za nim do samochodu.

W drodze na stację niebo wciąż było zachmurzone, dlatego Elliot nie opuszczał dachu. W samochodzie było sucho i duszno.

- Jak sobie z tym wszystkim poradzisz? - zapytałam. - Przecież ty też masz swoje życie, które na ciebie czeka. Musisz chyba chodzić do pracy?

- Zastępują mnie koledzy. Bardzo mi pomagają. Ale w końcu będę musiał zacząć dojeżdzać. Od poniedziałku do środy będę w mieście, a przez resztę czasu tutaj. Niedługo przyjedzie mąż Jennifer. Jego zespół kończy trasę. Przez jakiś czas tu zostaną, a Sonny bardzo nam pomaga.

Polubiłabyś go. Zwariowany facet, ale kochany.

Dalej jechaliśmy w ciszy, choć tak wiele mieliśmy sobie do powiedzenia. Gdy dojechaliśmy do stacji, poprosiłam, by nie odprowadzał mnie na peron. Zamiast tego przez chwilę jeszcze posiedziałam z nim w samochodzie. Nie wiedziałam, jak po tym czasie spędzonym z Elliotem, Vivian, Jennifer i dziećmi wrócę do normalnego życia.

A gdybym została z Elliotem? Gdybym nigdy już nie wróciła do domu?

Eila w ciągu tygodnia zatrudniłaby kogoś na

moje miejsce. Czy Faith i Helen powiedziałyby, że zwariowałam? Czy ojciec przyjechałby, aby udzielić mi jakiejś niezręcznej rady? Czy Peter zjawiłby się, próbując mnie odzyskać? Nigdy nie widziałam go w podbramkowej sytuacji. Nie miałam pojęcia, jak by zareagował.

Pomyślałam o robaczkach świętojańskich, których mowę przetłumaczyłyśmy z Bib: zostań, zostań, zostań. Była to tylko przelotna fantazja. Całkowicie nierealna. Wiedziałam, że muszę wrócić do domu.

- Wiesz, że nie możemy się więcej widywać. To by za bardzo boleło. Nie mogłabym... Muszę się uporać z własnym życiem. -Poczułam ucisk w gardle. Nie chciałam przy nim płakać.

- Prosisz mnie o rozwód? Nie otworzyliśmy nawet prezentów. - Starał się żartować.

- Proszę tylko o rozwód na niby.

- Niczego nie podpiszę. Spojrzałam na niego.

- To poważna sprawa.

- Nie musisz mi mówić, że to poważna sprawa - odparł. -Pragnę pełnego wózka w supermarkecie, zasmarkanych dzieci i ciebie, na zawsze.

Wzięłam torbę, otworzyłam ją i wyjęłam fotografię, którą dała mi jego matka. Przez chwilę wpatrywałam się w trzyosobową rodzinę, widmową krawędź zasłony, zmarszczoną powierzchnię jeziora za ich plecami. W końcu oddałam mu zdjęcie. Nie było moje.

- Nie - zaprotestował. - To twój prezent.

- Ale tak naprawdę do mnie nie należy.

- Owszem, należy.

- Kiedyś będziesz chciał mieć to zdjęcie - powiedziałam. -Później, kiedy ona już...

- Jest twoje - przerwał mi stanowczo. - Ona chciała, żebyś je miała.

Położyłam sobie zdjęcie na kolanach. Co z nim zrobię? Gdzie postawię?

Czy mogłabym ustawić je w salonie obok

fotografii mojej matki w sukience na ramiączkach i z wyszywaną koralikami torebką w dłoni? Co by pomyślał Peter? Na razie po prostu włożyłam fotografię do torby. Prawdę mówiąc, pragnęłam ją zatrzymać. Miałam nadzieję, że Elliot nie będzie chciał jej z powrotem.

- Chcę wiedzieć... Chcę, żebyś do mnie zadzwonił, kiedy już przyjdzie czas... kiedy twoja matka odejdzie. Muszę to wiedzieć. - Chciałam powiedzieć mu, że kazała mi sfańać na polu z grabiami i stawić czoło strachowi. Ale nie potrafiłam.

Elliot skinął głową.

Zamknęłam za sobą drzwi samochodu i szybko poszłam w stronę stacji. Okna dworcowego budynku były zaparowane. Spojrzałam w jedno z nich i zobaczyłam siebie we mgle.

ROZDZIAŁ 24

Siedząc w pociągu, zdecydowałam, że muszę być twarda, a nie znałam nikogo, kto w obliczu straty byłby twardszy niż mój ojciec. Postanowiłam zdystansować się do sytuacji i spojrzeć na to, co jest między mną a Peterem, okiem naukowca. Podobnie jak mój ojciec podchodził do cykających węgorzy z Cape Cod, zacząć od początku i zadając proste pytania, odnaleźć proste prawdy. Czym jest małżeństwo? Czy jest tym samym w zaciszu domowym, co na widoku publicznym? Jaka jest jego rola z punktu widzenia jednostki, a jaka z punktu widzenia społeczeństwa? A przede wszystkim, co małżeństwo ma wspólnego ze mną, czego ode mnie wymaga, i co jest mi winne w zamian?

Mankament owego planu polegał na tym, że ojciec nie był już dla mnie jedynym wzorcem w kwestii straty. W głowie wciąż dźwięczały mi rozmowy z Vivian. Wiedziałam, że poszukując prostych prawd, będę musiała skonfrontować się z ojcem. Chociaż nie byłam pewna, co to właściwie znaczy, wiedziałam, że ten nowy styl życia będzie wymagał ode mnie odwagi, nie wiedziałam tylko, czy ją mam. Chyba nie byłam jeszcze gotowa. Elliot znów pojawił się w moim życiu jak

huragan, a ja zgubiłam drogę. Postanowiłam najpierw zorientować się, na czym stoję.

Wiedziałam, że moje zachowanie jest tchórzliwe i niewłaściwe, nie traciłam jednak nadziei, że mądrość Vivian i energia, jaką mi dała, wrócą do mnie wtedy, kiedy będę ich potrzebować najbardziej. Na razie skupiłam się na ponownym uporządkowaniu swoich spraw.

Gdy dotarłam do domu, Peter spał zwinięty w kłębek na kanapie przed ściszonego telewizorem. Miał poduszkę pod głową, a zwiniętą w pięść dłoń przyciskał do klatki piersiowej. Usiadłam na kanapie przy jego stopach, nie zdjął butów. Pomyślałam, że pewnie wrócił późno do domu i zasnął, jak stał. Może nawet był trochę pijany. Ponieważ w szpitalu pracował na zmiany, jego wewnętrzny zegar zdążył się rozregulować i Peter nie sypiał regularnie, lecz wtedy, gdy był zmęczony.

Ripken poprosił, bym wzięła go na spacer. Pogłaskałam go po bulwiastej głowie.

- Dobrze - powiedziałam. - Już dobrze.

Gdy wstałam, by sięgnąć po smycz, Peter przewrócił się na plecy i przeciągnął.

- Wróciłaś.

- Wróciłam. - Z miejsca przyjmując postawę naukowca, doszłam do wniosku, że małżeństwo ma dużo wspólnego z domem. Te dwa koncepty można wręcz stosować zamiennie.

Peter oparł się na łokciach.

- Jak było?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Smutno. Oni tracą matkę, cudowną osobę. Utrata kogoś, kogo się kocha, zawsze jest trudna.

- Tak, to prawda - przytaknął Peter, jakby dopiero w tym momencie zdał sobie z tego sprawę. - Ale, eee, bardziej chodziło mi o to, jak było udawać czyjaś żonę.

- Ach - powiedziałam, sięgając po smycz Ripkena do ceramicznej miski, w której ją trzymaliśmy. - Dziwnie. Nie bar-

dzo potrafię kłamać. Powiedziałam jej, że zarabiam na życie robieniem na drutach czapek i kapeluszy. Czy w ogóle są ludzie, którzy się tym zajmują?

- Stare kobiety w Bułgarii? Zdaje się, że prawidłowe określenie to modystka. - Często tak mnie poprawiał.

- Szkoda, że cię tam nie było - powiedziałam. - Moje kłamstwa zyskałyby na jakości. - Przypięłam Ripkenowi smycz. Spojrzałam na zegarek. - Umówiłam się z Eilą w domu klientów o wpół do czwartej. - Miałam jakąś godzinę, żeby wyprowadzić psa, wziąć prysznic i przebrać się przed wyjściem. Ripken obskakiwał mnie radośnie. - Chodź z nami - poprosiłam.

- Muszę się wykapać - powiedział Peter, po czym podszedł do mnie od tyłu i objął w talii. - Ale powiedz serio. Jak było? - szepnął mi do ucha. - Czy wznoszono toasty i musieliście się całować?

- To nie był ślub.

- Daj spokój, musieliście chociaż trzymać się za ręce, żeby wypaść przekonująco - wyszeptał.

- Czyżby cię to kręciło?

- Nie - odparł, opuszczając ręce. - Chcę tylko wiedzieć, co się działo. - Zrozumiałam, że jest nie tyle ciekawy, ile zazdrosny.

- Myślałam, że próbowałaś zazdrości, ale uwierała cię w szyję.

- Hej, po prostu próbuję sobie to wszystko wyobrazić. Mam prawo.

- No dobrze, dużo rozmawiałam z jego matką i siostrą, która ma dwójkę dzieci, i z Elliotem. Wszyscy robią, co mogą, zważywszy na okoliczności. Nie jest im teraz wesoło. Ale już wróciłam. Jestem w domu.

Peter usiadł na kanapie.

- Co to miało znaczyć?

- Co takiego?

- Nic, zapomnij - powiedział. - Widzę, że muszę po prostu zapytać Elliota, jak było. On przynajmniej udzieli mi jasnej odpowiedzi.

- Elliot? Daj mu spokój. - Pomyślałam o Eliocie i jego naturalnej szczerości. Ruszyłam z Ripkenem do drzwi.

- Już dawno chciałem go zaprosić na golfa, poznać z chłopakami.

- On nie ma czasu na grę. Musi się gimnastykować, żeby pogodzić pracę z opieką nad Vivian. - Co Elliot mógłby wygadać Peterowi podczas niekończącej się partii golfa?

- Na pewno znajdzie w tygodniu wolne przedpołudnie. Jest profesorem na uniwerku, co to za praca? - powiedział Peter, a potem nachylił się w moją stronę. - Czemu nie chcesz, żebyśmy go zapytał?

Wzruszyłam ramionami.

- Pytaj go, o co chcesz - odparłam. - Ja nie mam nic przeciw temu. -

Otworzyłam drzwi i wyszłam. Ripken dreptał przede mną radośnie.

Ogarnęła mnie panika. Zaraz po wyjściu wyciągnęłam telefon, ale nie miałam pojęcia, czy zadzwonić do Faith, Helen, do obu czy do żadnej z nich. Podczas naszej ostatniej rozmowy Faith oskarżyła mnie, że udając żonę Elliota, pragnę wywołać zazdrość Petera. Helen zaś powiedziała mi, że bronię siebie, broniąc Jasona, oraz że mam niską samoocenę. Właściwie niezbyt miałam ochotę na rozmowę z którąkolwiek z nich. Ale jeśli chciałam się przyjaźnić z kobietami, musiałam nauczyć się być ponad to. Nie miałam siostr, potrzebowałam więc przyjaciółek, by trzymały mnie na ziemi. Tak to już jest. Prawdziwi przyjaciele mówią to, co mają do powiedzenia. Potrzebowałam w życiu więcej szczerości.

Zadzwoniłam do Helen, ale włączyła się poczta głosowa. Nie wiedziałam, jak ona to robi. Głos, który usłyszałam, brzmiał profesjonalnie, a jednocześnie seksownie. Słowa: „Je-

stem w tej chwili nieosiągalna", zdawały się mieć podwójne, a nawet potrójne znaczenie z powodu subtelnej zmiany tonu to tu, to tam, lecz nie można jej było na niczym złapać. Z pozoru ten komunikat zdawał się niczym nie różnić od jakiegokolwiek innego, a jednak słuchając go, odnosiłam zawsze wrażenie, jakby ktoś ze mną flirtował. Po sygnale zasugerowałam spotkanie wieczorem w cukierni znajdującej się w pobliżu domu Faith.

Potem zadzwoniłam do Faith. Odebrała od razu.

- Jak poszło? - spytała szeptem. Najwyraźniej była gdzieś, gdzie nie powinna odbierać telefonu. Postanowiłam się streszczać.

- Sytuacja wymaga kryzysowego spotkania w cukierni.

- Aż tak źle?

- Gdzie jesteś?

- Właśnie mam wygłosić przemowę na temat, o którym nie mam zielonego pojęcia. Czy wspominałam już, że moje życie to jedno wielkie oszustwo? Chociaż z drugiej strony, czyje życie nim nie jest?

Tego popołudnia Eila i ja utknęłyśmy w salonie klientów. Oni sami - sztywna para nuworyszy - przeprosili i poszli się kłócić do swej granitowej kuchni. Zamknęli za sobą drzwi. Eila przyłapała mnie na bezmyślnym gapieniu się w jasnobrązowy berberyjski dywan.

- Co jest?

- Ach, nic takiego - odpowiedziałam, uśmiechając się odrobinę zbyt radośnie.

- Coś jest nie tak. Mów.

- Sama nie wiem - odparłam. - Chyba próbuję zrobić jakiś krok, żeby moje życie nie rozpadło się na kawałki.

- No tak. W końcu wciąż jesteś młoda. Zapominam czasami, ile ludzie mają lat. - Poklepała mnie po kolanie. - Gdy będziesz starsza, zrozumiesz, że twoje życie nie stanowi żadnej

całości, nie ma więc sensu powstrzymywać go przed rozpadnięciem się. Dobiegające z kuchni krzyki stawały się coraz głośniejsze i gwałtowniejsze. Coś trzasnęło o granitową posadzkę, czyżby elegancka francuska książka kucharska? Nagle zapadła cisza.

- Tylko ich posłuchaj. Oni nadal myślą, że ich życie stanowi całość. Ha! - zakrzyknęła. - Co za katastrofalnie tragiczna sprawa.

Dotarłam do cukierni spóźniona jakieś piętnaście minut. (Klienci w końcu wyszli z kuchni, ale każdą decyzję podejmowali powoli i z bólem, wśród burknięć, gniewnych spojrzeń i gestów oraz wzajemnych oskarżeń. Do tego wszystkiego żona co jakiś czas wyrzucała ramiona do góry, prychając i mówiąc: „Jak sobie chcesz!"). Zastałam Faith nad porcją mrożonego jogurtu przy stoliku z tyłu sali. Przyniosła ze sobą Edwarda, który przysypiał obok w foteliku samochodowym. Przed ladą stała kolejka nastoletnich dziewcząt, każda w pełnym makijażu i z włosami ściągniętymi w ciasny kucyk. Wszystkie były tak samo ubrane: miały na sobie niebieskie trykoty do tańca ozdobione cekinami, a do tego tenisówki i kurtki przeciwdeszczowe.

- Przepraszam - rzuciłam. - Liczyłam na to, że Helen już będzie i zaczniecie beze mnie.

- Przed chwilą zadzwoniła i powiedziała, że niestety nie może przyjść. Zdaje mi się, że jest zakochana i wstydzi się przyznać, bo jeszcze przed chwilą zaklinała się: żadnych więcej facetów.

- To byłby jej nowy rekord.

- Tak myślisz?

Wzruszyłam ramionami i usiadłam. Nie miałam ochoty analizować zachowania Helen, nie pod jej nieobecność. To nie miałoby sensu. Poza tym sama potrzebowałam analizy. Oderwałam odstającą od torebki nitkę i wbiłam wzrok w okno.

- Zamów coś.
- Nie mogę jeść - odrzekłam.
- Przecież chciałaś spotkać się w cukierni.
- Ostatnie trzy godziny spędziłam w towarzystwie zręcznej pary.
Wykończyli mnie. Może później - odparłam. - Poza tym jest kolejka.
- Pojawiły się znikąd - powiedziała Faith, wskazując na stadko podlotków. - Boję się nastolatek. Zawsze się bałam. To pierwotny lęk. - Dziewczeta były głośne i niespokojne, poszturchiwały się nawzajem, to szeptały, to wybuchały dzikim śmiechem. - Są nieprzewidywalne jak zwierzęta.

Przez chwilę się im przyglądałyśmy. Od razu było widać, która wodzi rej. Miała najlepszą fryzurę i wcale nie zachowywała się głośno, ale i tak pozostałe dziewczyny kręciły się wokół niej. Towarzyszące im dwie matki usiłowały zebrać zamówienia i przedstawić je możliwie precyzyjnie kobiecie za ladą.

- Też byliśmy kiedyś takie młode - powiedziałam.
- To wydaje się niemożliwe.
- A jak tam Edward? - spytałam. - Wiesz, któregoś dnia...
- Ma się świetnie. To prawdziwy twardziel. I zgodził się nigdy nie wchodzić w wiek dojrzewania - powiedziała i oparła się łokciami o stół. Zapadła cisza. Faith wiedziała, że próbuję zyskać na czasie. Nie potrafiłam zacząć. - Powiedz, co się dzieje - odezwała się w końcu. Westchnęłam.

- Coś się wydarzyło - powiedziałam, mając na myśli moją wewnętrzną przemianę.
- Miałaś romans z Elliotem?
- Nie - odparłam. - To znaczy, całowaliśmy się. Ale to, co się między nami wydarzyło, jest gorsze niż romans.
- Ach. - Faith odchyliła się do tyłu. Wiedziała doskonale, co mam na myśli. - To minie - pocieszyła mnie. - Minęło ostatnio, minie i tym razem. Wszystko będzie dobrze.
- Ten wyjazd mnie zmienił.

Spojrzała zdziwiona.

- Jego matka podarowała mi fotografię, na której ona, Elliot i jego siostra stoją w ogrodzie, a z boku widać skrawek firanki. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale to zdjęcie mnie poruszyło. To był niezwykle prezent. Sprawił, że poczułam się lepsza, silniejsza, jakby ktoś czuwał nade mną... Jakby ona rozumiała...

-Co?

Nie potrafiłam tego lepiej wytłumaczyć. Sama nie do końca wiedziałam, o co mi chodzi.

- Nic. Schowałam to zdjęcie w szafie, na górnej półce. -Spojrzałam na nią.

- Nie martw się. Nie zniszczę sobie życia. Będę udawać. Będę udawać nawet lepiej niż dotychczas. Ale szczerze mówiąc, nie chcę, żeby to minęło. Nie chcę, żeby „było dobrze”.

Skinęła głową. Edward zaczął się wiercić. Zakołysała fotelikiem, a on jeszcze raz się poruszył, zamruczał cicho i zasnął.

- Przykro mi - powiedziała Faith. - Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Problem w tym, że Peter chce wziąć Elliota na golfa. Chce go przedstawić znajomym, wkręcić w nasze towarzystwo.

- To by była katastrofa.

- Wiem.

Dziewczęta zaczęły gwarnie obsiadać stoliki zgodnie z panującą w ich grupie hierarchią. Przepychały się, wstawały, siadały, zmieniały miejsca, to zbliżając się do siebie, to oddalając i łącząc w coraz to nowe konstelacje.

- Musisz to zakończyć, raz na zawsze - powiedziała Faith. - Nie pozwól, by wszystko się rozpadło.

- A jeśli nie da się powstrzymać życia przed rozpadnięciem się na kawałki, bo ono z natury nie stanowi całości? -spytałam.

Roześmiała się.

- Życie jest całością - powiedziała. - Mamy do dyspozycji tylko stary, powiązany z kawałków sznurek, a mimo to sprawdzamy co chwilę supły i nie poddajemy się. Cały czas próbujemy nie dopuścić do tego, by się rozpadło. Nie mamy innego wyjścia.

Jeszcze rano mówiłam Elliotowi, że może skontaktować się ze mną tylko w przypadku śmierci matki. Teraz sama do niego dzwoniłam. Wracałam z cukierni. Zamówiłam na drogę gałkę lodów, która topniała w woskowanym styropianowym kubku. Zaparkowałam na osiedlu kanciastych domków w stylu lat czterdziestych i zadzwoniłam.

- Halo - odezwał się Elliot. Miał głęboki, miękki, odrobinę zmęczony głos. Pomyślałam o jego ustach, białych zębach i podbródku.

Natychmiast przed oczami stanęło mi całe jego ciało.

- Cześć, to ja.

- Myślałem, że mamy surowe zasady...

- Peter ma zamiar zaprosić cię na partię golfa.

- To miło z jego strony! - powiedział, jakby nieświadomy potencjalnej niezręczności sytuacji.

- Chciałabym, żebyś był zajęty.

- Być może będę. Kiedy on planuje tego golfa?

- Nie dzwonię jako jego sekretarka.

- O, naprawdę?

- Naprawdę - odpowiedziałam, nerwowo przekładając jakieś papiery.

- Chcesz, żebym odrzucił zaproszenie.

- Tak - odpowiedziałam zdecydowanym tonem. - Ale nie, poczekaj!

- W końcu tak czy nie?

- Nie możesz odmówić wprost, to by było podejrzone.

- Jak to?

- On myśli, że coś się wydarzyło.

- Bo się wydarzyło.
- Słuchaj! Powiesz, że bardzo chętnie, a potem zadzwonisz, że nie dasz rady.
- Strasznie to skomplikowane. A może po prostu się zgodzę?
- Umiesz chociaż grać w golfa?
- Grałem kilka razy w liceum. Miałem kolegę, Barry'ego Merchesona. Jego rodzice należeli do klubu, on dorabiał tam jako *caddie*². Głównie jeździliśmy po polu meleksami. Nie miałem jeszcze wtedy prawa jazdy, więc...
- To nie jest śmieszne - powiedziałam.
- Po prostu się zgodzę, co ty na to? Rozerwę *się*, pogram w golfa.
- Dobrze - powiedziałam. - Proszę bardzo. Tylko proszę, nie bądź nadmiernie szczery.
- Spróbuję więc rozegrać nieszczerą partię golfa.
- Obiecuj!
- Obiecuję. Obiecuję ani przez chwilę nie być szczery. Czy przez szczerłość rozumiesz także uczciwość?
- Powstrzymaj się od jednego i drugiego. - Zamilkłam na chwilę. - Jak Vivian?
- Czy teraz mogę być szczery?
- Tak - odpowiedziałam. - I uczciwy.
- Wciąż żyje, ale już za nią tęsknię.

²*Caddie* - w golfie: osoba nosząca kije za graczem.

ROZDZIAŁ 25

Byłam podenerwowana i czujna. Żyłam swoim życiem, jednocześnie je obserwując. Budziłam się rano, otwierałam oczy i myślałam o tym, że jestem kobietą w łóżku, żoną. To moja stopa, która dotyka stopy mojego męża. Czyściłam zęby i w lustrze widziałam żonę, która czyści zęby. W kuchni witałam się z Peterem. Gdy on zaczynał jak zwykle perorować na temat płatków słodzonych i niesłodzonych, epidemii otyłości i syropu kukurydzianego, ja obserwowałam własne reakcje - przytakiwałam, przyznawałam mu rację i nalewając mleko do miski niesłodzonych płatków, marzyłam, by zalać je syropem. Oboje żartowaliśmy. Było to zupełnie coś innego niż gotowanie z Elliotem. Gadka szmatka. Czy na tym polega małżeństwo?

Fotografię od Vivian schowałam na najwyższej półce w szafie. Miałam poczucie winy, że ją ukrywam, że w ogóle ją mam. A jednak od czasu do czasu ją wyciągałam i myślałam o Vivian, a także o swojej matce i o tym, jak czuwa nade mną. Ale co według niej powinnam zrobić? Czego ode mnie oczekiwała? Nie wiedziałam.

Postanowiłam nie wracać do tematu golfa z Elliotem z nadzieją, że Peter napomknie o tym, by mnie sprowokować.

Jednak któregoś ranka szykowałam się właśnie do pracy, gdy zobaczyłam Petera w szortach, koszulce polo i butach do golfa - starego rodzaju, z metalowymi kolcami, które głośno stukały o drewnianą podłogę.

- Grasz dzisiaj? - spytałam, nalewając sobie mleka do kawy.

- Z Hullem, tak jak mówiłem.

- Nie wiedziałam, że mówisz poważnie. - Byłam żoną mieszającą kawę.

- Czemu miałbym żartować? - zapytał. - Widziałś gdzieś mój zegarek? -

Peter był beznadziejny w szukaniu zgubionych rzeczy. Stał na środku pokoju, podparty pod boki, bezsilnie rozglądając się dookoła.

- Zobacz na nocnym stoliku - poradziłam, próbując nadać swemu głosowi swobodną nutę. Peter ruszył do sypialni. Zawołałam za nim: - Czemu włożyłeś te buty? Wyglądają na przedpotopowe.

- A tak, to buty ojca. Musiałem je od niego pożyczyć. - Wrócił bez zegarka. - Nie ma go tam. Chyba nie mógł tak po prostu wyparować?

- Nie. Co się stało z twoimi butami?

- Próbowałem zagrać piłką, która wpadła do stawu. Potknąłem się i sam wylądowałem po kostki w wodzie. Buty wyschły, ale straciły kształt.

- Ojej.

- Nic nie szkodzi. Udało mi się zaliczyć dołek. - Stał przede mną z torbą na ramieniu. - Nie wiem, gdzie ten zegarek. Daj znać, jeśli go znajdziesz - dodał, mając na myśli: „czy mogłabyś go poszukać?”.

- Baw się dobrze - powiedziałam.

- Na pewno - odparł, machinalnie całując mnie w policzek. - Na pewno. - Czy to na tym opiera się małżeństwo? Na gestach miłości? Zdawkowych uprzejmościach, które powtarzane często i regularnie rekompensują pustkę? Wciąż słyszałam w głowie słowa matki Elliota: „Małżeństwo to bzdura”.

Są przecież ludzie, jak na przykład państwo Fogelman, którzy żyją obok siebie przez wiele lat i dzięki takim zdawkowym gestom udaje im się przetrwać w tym nieprzyjaznym świecie. Być może w dzisiejszych czasach ludzie zbyt wiele wymagają od miłości. Ja zostałam wychowana w domu, w którym panował jej deficyt, nie miałam więc poczucia, że mi się należy. Czy nie powinniśmy wszyscy bardziej cieszyć się z tego, co mamy? Skąd w nas ta chciwość? Czemu chciałam być z Elliotem Hullem? Czemu wciąż o nim myślałam? Żyjąc swoim życiem i obserwując siebie żyjącą swoim życiem, zastanawiałam się jednocześnie, jak wyglądałoby ono z Elliotem, jaka byłaby ta czy tamta chwila. Ale czy nie miałam więcej, niż ktokolwiek mógłby pragnąć? Pomyślałam: a co gdybym teraz była z Elliotem? Nie musiałabym się tyle zastanawiać. Mogłabym zrezygnować z przyjmowania roli naukowca - co zaczynało wchodzić mi w nawyk - i jednocześnie wreszcie przestać być przedmiotem obserwacji.

W drodze z pracy do domu myślałam o Elliocie i Peterze przemierzających pole golfowe podskakującym na nierównościach białym meleksem i zaliczających kolejne dołki. Czy Elliot naprawdę nie grał od czasów szkolnych? Czyżby właśnie robił z siebie idiotę? Czy Peter chciał się po prostu popisać? Był doskonałym golfistą. Przyniósł kiedyś do domu pięć tysięcy dolarów wygrane w jakichś amatorskich zawodach. Pewnie będzie chciał rozmawiać z Elliotem głównie o weekendzie w domku nad jeziorem, robiąc żartobliwe podchody do wzmianki o naszym fikcyjnym małżeństwie.

Jeśli Eila miała rację i życie nie było całością, postanowiłam po prostu o tym nie myśleć. Zdecydowałam, że nie będę pytać Petera, jak poszła gra, nie zadzwonię również w tej sprawie do Elliota.

Tego popołudnia wróciłam z pracy trochę wcześniej z powodu drobnego nieporozumienia: klienci najpierw

postanowili sprzedać dom, a potem się rozwieść, lecz nie uzgodnili, kto zapłaci za nasze usługi. Gdy weszłam do salonu, ujrzałam Elliota siedzącego na mojej kanapie, pijącego piwo, ze stopą w kubelku pełnym kostek lodu i nogawką podwiniętą do kolana. Odebrało mi mowę. Nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek go ujrzę, a oto był ze swymi ciemnymi, kręconymi włosami, zdecydowanymi łukami brwi i uroczymi ciemnymi oczami. Nagle poczułam się winna, jakbym sprowadziła go tu siłą własnego pożądanego.

- Co tu robisz? - spytałam. - Co się stało?

W tym momencie z kuchni wyszedł Peter, trzymając w ręku plastikową maszynkę do lodu.

- Nieszczęśliwe zderzenie z głowicą zraszacza - poinformował mnie, wrzucając resztę lodu do kubelka. Elliot napiął mięśnie i złapał się za udo. Ripken, wierny pielęgniarz, leżał niewzruszony u jego stóp. - Plus złe wyczucie chwili zabłąkanej wiewiórki.

- Wyleciałem z meleksa - dodał Elliot.

- No, wyleciał to może przesada - skorygował Peter. - W końcu brak ci skrzydeł.

Podeszłam bliżej i zobaczyłam, że Elliot ma rozcięty goleń. Podniósł nogę do góry i pokazał mi spuchniętą kostkę.

- Nie widziałem żadnej wiewiórki.

- Patrzyłeś w inną stronę - odparł Peter.

- Opowiedzcie od początku. Peter łyknął piwo.

- Zjeżdżaliśmy w dół, dosyć szybko. Gawędziliśmy, a Elliot patrzył na domy. Nigdy tam nie byłaś, koło pola stoją piękne stare domy. Wtedy pod koła wyskoczyła nam wiewiórka. Skręciłem ostro, Elliot niczego się nie trzymał...

- Nie trzymałem się - powtórzył Elliot takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „Skąd niby miałem wiedzieć, że trzeba się trzymać?”.

- I wyleciał z meleksa...

- Choć przecież brak mi skrzydeł.
- Dosyć mocno przywalił w ziemię i skręcił kostkę. A potem rozciął nogę na głowicy zraszacza. To wszystko było absolutnie nie do przewidzenia.
- Rzeczywiście - Elliot potrząsnął głową. - Tajemniczy zbieg okoliczności, jestem pewien, że nie widziałem żadnej wiewiórki.
- To była szalona wiewiórka - powiedział Peter. - Wskoczyła pod koła jak wariatka. Jim ją widział.
- Naprawdę? - spytał Elliot. -Aha.
- Przyniosę wody utlenionej - powiedziałam.
- Nie, nie. - Elliot skrzywił się, wyciągając nogę z kubelka. - Nic mi nie jest. Opatrzę się w domu. Pójdę już.
- Nie gadaj głupot - powiedziałam. - Nie możesz prowadzić ze spuchniętą kostką.
- Ale to lewa stopa - odparł, odwijając nogawkę i podnosząc z podłogi but wraz ze wsuniętą do środka, zwiniętą w kulkę skarpetką. Prawie na mnie nie patrzył. Wodził wzrokiem po podłodze. Czułam, że boi się na mnie spojrzeć. Co by się stało, gdyby to zrobił? Czy było coś, co chciał mi powiedzieć? - Nic mi nie będzie - dodał. - W tę stronę też przyjechałem samochodem.
- Zmusiłem go, żeby dał sobie pomoc, wcisnąłem mu lód, vicodin, pilota do telewizora - powiedział Peter. - Naprawdę mi przykro, czuję, jakby to była moja wina.
Elliot rzucił mu spojrzenie mówiące: „Jeśli nie twoja, to czyja?” Ale zaraz szybko powiedział:
- Nic mi nie jest. - Wziął klucze oraz portfel i kuśtykając, ruszył w stronę drzwi, wciąż trzymając w dłoni but.
- Nieprawda - powiedziałam. Nie byłam pewna, jaka rozmowa miała miejsce w meleksie, wiedziałam jednak, że Elliot się nie wygadał. Peter zachowywał się zbyt beztrosko. - Odprowadzę cię do samochodu - dodałam, odbierając mu but.

- Przykro mi, że tak się to skończyło - powiedział Peter. -Może następnym razem...

- Zaraz wrócę - rzuciłam.

- A co ja mam zrobić z tym zmarnowanym lodem? - zapytał, stojąc na środku salonu.

Zamknęłam drzwi i dogoniłam Elliota, który wciskał już guzik windy.

- O rany - odezwał się. - Ale porażka.

Drzwi windy otworzyły się. Weszliśmy do środka.

- Tak mi przykro - powiedziałam, wciskając przycisk „parter”. - Peter pewnie był okropny?

- Nie było żadnej wiewiórki - odparł Elliot. - I... - zaczął, po czym umilkł, kręcąc głową.

-Co?

- Sam nie wiem - odpowiedział, zamykając oczy i opierając się plecami o ścianę windy. - Powinienem ci powiedzieć...

-Co?

- Nic - szepnął.

Wyszliśmy na parking na tyłach kamienicy. Przez całą drogę przeproszałam go za Petera, za jego kolegów, którzy też pewnie byli kretynami, za nieistniejącą wiewiórkę. Na parkingu ujrzałam zdezelowane auto Elliota, to które odkupił od kolegi przebywającego obecnie w Kalifornii. Otworzyłam przed nim drzwi, położyłam jego but na siedzeniu pasażera. Elliot ostrożnie opuścił się na miejsce kierowcy.

- Gwen - powiedział.

- Słucham?

- Nie wiem, jak to wytrzymam. -Co?

- Utratę ciebie. Kolejny raz. Zdawałoby się, że rozgrzewka w college'u powinna mnie zahartować, ale tym razem jest jeszcze gorzej. Jak to możliwe, że jest aż tak źle?

Stałam w otwartych drzwiach jego samochodu.

207

- Nie chcę być kimś, kogo utraciłeś - powiedziałam. - Po prostu nie mam wyboru.

- Masz.

- Mam zobowiązania wobec Petera.

- Ale czy on czuje się zobowiązany wobec ciebie?

- Słucham?

- Nie, nic. Po prostu szukam furtki. - Skrzywił się, jakby dopadł go nagły atak bólu, a potem potrząsnął głową. - Kocham cię. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Ja też go kochałam, ale na tym polegała różnica między nami: ja nie chciałam, by on o tym wiedział, nie chciałam, by wiedział, że na jego widok robi mi się słabo i odbiera mi dech.

- Nie chcę być kimś, kogo utraciłeś - powtórzyłam. Na więcej nie mogłam sobie pozwolić.

Kilka minut później byłam już z powrotem w mieszkaniu. Peter zdążył pozbyć się zawartości kubelka. Później, gdy brałam kąpiel, znalazłam bryłę lodu zapychającą odpływ. Gdy weszłam, rozmawiał przez telefon: „Tak. Tak. Jasne. Rozumiem”. Domyśliłam się, że to rozmowa służbowa. Gdy się rozłączył, powiedziałam:

- Zabłąkana wiewiórka? Wzruszył ramionami.

- Jim też ją widział. Zabłąkana wiewiórka. Elliot miał szczęście, że nie gęś. Pętają się po całym polu i widziałem, że potrafią zaatakować.

- Więc Elliot miał szczęście? Miał szczęście, że wypadł z meleksa, rozciął nogę o zraszacz i skręcił kostkę?

- Hej - powiedział Peter. - To w końcu sport. Golf jest sportem. Wypadki się zdarzają.

- Sport dla starych dziadków.

- Jest w nim jakaś niezaprzeczalna fizyczność. Zdziwiłabyś się, jak wiele kontuzji już widziałem.

- Wypadnięcie sztucznego biodra się nie liczy! - Zbaczyliśmy z tematu. Peter był w tym dobry. Zresztą tym razem to nie miało znaczenia, bo sama postanowiłam dać sobie spokój. - Nie chcę o tym mówić.

- Hull jest beznadziejny. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem, żeby ktoś tak źle grał. Nie tyle bierze zamach, co próbuje wkręcić się w ziemię.

- Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać! - wrzasnęłam, wychodząc z sypialni.

- Bycie wyrzuconym z meleksa to jak rytuał przejścia, Gwen - wyjaśnił Peter. - A on nawet to schrzanił.

Zatrzymałam się w połowie przedpokoju, zawróciłam i weszłam z powrotem do salonu.

- A więc wyrzuciłeś go celowo?

- Nie - odparł. - Niezupełnie. To była wiewiórka. -Mmhm - powiedziałam. - Dobrze, w takim razie naprawdę nie mam najmniejszej ochoty o tym rozmawiać.

- W porządku. Ja też nie. -OK.

-OK.

ROZDZIAŁ 26

Szybko nadeszła jesień. Dni stawały się coraz krótsze. Mieszkanie wypełniło chłodniejsze powietrze. Okna trzaskały na wietrze. Był to szary, deszczowy czas, rzadko tylko przerywany słonecznymi prześwitami. Moja matka umarła jesienią, więc ta pora roku zawsze miała na mnie dziwny wpływ. Wieje zimny wiatr, liście opadają z drzew, tracą zieleń - to czas naznaczony śmiercią. Tej jesieni czułam, że nawiedza mnie niewyraźne wspomnienie nie tylko matki, ale także Vivian. Gdy wzięła mnie za swą siostrę Giselle, obiecałam jej, że „powiem mu prawdę”. Od tej chwili minęły miesiące, a ja wciąż nie poradziłam sobie ze strachem. Codziennie czułam, że zawiodłam jej zaufanie, a jednocześnie było mi coraz trudniej nie myśleć o tamtej rozmowie. Pragnęłam zadzwonić do Elliota i zapytać go o matkę. Czekałam na wiadomość, ale żadna nie nadeszła. Nie wiedziałam, czy Vivian jeszcze żyje, a Elliot nie mógł albo nie chciał do mnie zadzwonić. Raz w środku bezsennej nocy sama siebie przekonałam, że matka Elliota wcale nie była umierająca i z jakichś niepojętych powodów tylko udawała. Gdy nadszedł ranek, wiedziałam, że to szalony pomysł, ale i tak

zaczęłam się zastanawiać, czy nie sprawdzić jego planu zajęć na stronie internetowej uniwersytetu, by zobaczyć go wychodzącego z pracy i ocenić wyraz jego twarzy oraz sposób poruszania się, a tak naprawdę, by przekonać się, że wciąż istnieje. Znalazłam nawet w internecie jego rozkład zajęć, zrezygnowałam jednak ze swego planu, bo prawdopodobnie byłby to powalający cios dla mojego poczucia własnej wartości. Oparłam się więc pokusie.

Codziennie myślałam o Elliocie, nie wspominałam jednak jego imienia. Nie rozmawiałam o nim z Peterem, on również nie zaczynał rozmowy na ten temat. Pilnowałam się, by nie zadawać Eili żadnych poważnych, filozoficznych pytań dotyczących życia. Poza tym oświadczyłam Helen i Faith wprost, że nie chcę rozmawiać o Elliocie Hullu. Nie ma mowy.

- Czy możemy tak cenzurować nasze rozmowy? - zapytała Helen. - Czy to jest zdrowe?

Faith wzruszyła ramionami.

- Mnie to nie przeszkadza. Jeśli o mnie chodzi, temat nie istnieje.

Helen spojrzała na Faith, a potem z powrotem na mnie.

- Dobrze - powiedziała. - Może i ja któregoś dnia będę chciała uciąć jakiś temat. Niech w takim razie będzie to precedens.

- Ale nie może nam to wejść w nawyk. Powinno to być jak „bezpłatne wyjście z więzienia” w Monopoly. Jednorazowa możliwość - zaproponowała Faith.

- Dobrze - zgodziłam się. - Każda może uciąć jeden temat i nie musi odpowiadać na żadne pytania. Mój temat to Elliot.

Jakiś czas później wyjeżdżałam z parkingu przed supermarketem i zobaczyłam go odprowadzającego wózek na zakupy. Popychał go, a potem stanął na wystającej z dołu półeczce i pojechał z poważnym, niemal kamiennym wyrazem twarzy. Był taki odpowiedzialny. Ja nigdy nie odstawiałam wózków na miejsce.

Zastanawiałam się, czy do niego nie podejść. Nie wiedziałam jednak, co powiedzieć. Chciałam tylko wiedzieć, czy nadal istnieje. Teraz wiedziałam, że tak. Przyglądałam się, jak wbija ręce w kieszenie i wraca do samochodu. Już nie utykał. Kostka zagoiła się. W końcu dotarł do swego gruchota, a w środku, na miejscu pasażera, ujrzałam ładną kobietę z krótkimi brązowymi włosami. Gdy tylko wsiadł, zaczęła coś do niego mówić. Czy była kimś, z kim Elliot mógł prowadzić rozmowę trwającą całe życie? Pokiwał głową, ruszył, wtopił się w ruch uliczny i już go nie było.

A ja siedziałam jak porażona. Czyżby spotykał się z kimś, z kim mógł wypełnić po brzegi wózek na zakupy, zamiast kupować jedną marną limonkę? Czy uczucie do mnie przeszło mu tak po prostu? Mnie nie przeszło. I wcale nie miało zamiaru przejść, bo było tak silne jak wtedy, na łódce. W końcu wyprostowałam się i potrząsnęłam głową. „Niech mu się wiedzie”, powiedziałam na głos, ale sama nie wierzyłam w to, co mówię. Chciałam powtórzyć te słowa jeszcze raz, z większym przekonaniem, ale utknęły w ściśniętym gardle. Poruszałam tylko bezgłośnie ustami.

Może rzeczywiście Elliotowi przeszło. Mimo starań nie potrafiłam tego zaakceptować, podjęłam za to decyzję o konfrontacji z ojcem. Nagłe poczułam, że nie mogę czekać ani dnia dłużej.

W następną niedzielę pojechałam do ojca na lunch. Było to kilka dni po jego urodzinach. Ojciec nienawidził obchodzić urodzin. Kiedy wspominałam, że się zbliżają, natychmiast otrzymywałam surowy zakaz świętowania ich w jakikolwiek sposób. Mogłam najwyżej wykonać jakiś drobny gest pamięci później. Gdy Peter zobaczył, że piekę ciasto czekoladowe z proszku - ulubione ciasto ojca - zaproponował, że pojedzie ze mną.

- Przecież wiesz, że on z trudnością przyjmuje nawet ciasto z pudełka zrobione na jego cześć - przypomniałam mu.

Gdybym przyjechała z Peterem, byłoby to prawie jak przyjęcie i ojciec spędziłby całe spotkanie, przepraszając nas za kłopot, jaki sprawił nam swoją osobą.

Przywiozłam więc ciasto czekoladowe. Ojciec przyrządził swoją specjalność - kotleciki z łososia. Łosoś był z puszki. Denerwowałam się i nie byłam głodna. Patrzyłam jak je. Zanim spróbował ciasta, poprosiłam, żeby pomyślał życzenie. Nie mieliśmy świeczek.

- Życzenie? Och, nie wiem, po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa.

- Chodzi o to, żebyś zażyczył sobie czegoś dla siebie -przypomniałam mu. - To twoje urodziny.

Spojrzał na mnie profesorskim okiem, jakby mówił: „To jest życzenie dla mnie, głuptasku”. Zjadł do końca ciasto i widelcem pozbierał okruszki.

- Jeśli nie chcesz wykorzystać życzenia, ja to zrobię - powiedziałam.

- Proszę bardzo. Wiesz, że jestem oszczędny i nie znoszę, gdy się coś marnuje.

- W takim razie chciałabym, żebyś powiedział mi prawdę - wyrzuciłam z siebie, ze wzrokiem wbitym w jego talerzyk. Nie miałam siły spojrzeć mu w oczy.

- Prawdę? O czym? Poczułam w oczach piekące łzy.

- O mamie - wyszeptałam, z trudem wydobywając z siebie słowa. - Co się naprawdę wydarzyło? Powiedz mi prawdę...

Zapadła cisza. Słyszać było tylko tykanie i szum grzejnika. Ojciec położył dłoń na mojej dłoni.

- Chciałbym ci coś pokazać.

- Dobrze. - Było to tak niezwykle dla niego zachowanie, że aż lekko zachwiałam się na nogach. Czułam, że osiągnęliśmy jakiś nowy etap naszej relacji i to mnie nieco zdezorientowało. Ojciec zawsze był moim przewodnikiem, przykładem tego, jak omijać trudne tematy.

Poszłam za nim na górę. W przedpokoju pociągnął za sznurek i spod sufitu, niczym patykowate nogi, wyłoniły się schodki na poddasze.

- Co chcesz mi pokazać? - spytałam.

- Chodź na górę - odparł. Wszedł pierwszy, schodki skrzypiały głośno pod jego ciężarem. Gdy zapalił gołą żarówkę, ruszyłam za nim. Ogromny strych zajmował powierzchnię całego domu. Powietrze było chłodne i suche. W rogu stała sztuczna choinka, z jej gałęzi wciąż zwisały resztki lamety. Resztę pomieszczenia, od podłogi aż po sufit wypełniały gęsto ściśnięte kartonowe pudła. Rozpoznałam jedno z nich, to, na którym czarnym flamastrem napisane było: „Gwen”. Pudło zawierało moje szkolne albumy, studencki biret i togę, świadectwa, najprawdopodobniej ponadgryzane przez rybiki, oraz kilka trofeów. Nigdy się nie zastanawiałam, co jest w pozostałych kartonach. Zadrżałam i założyłam ręce na piersi.

- Uważaj - powiedział ojciec. - Stąpaj tylko po belkach.

- To tutaj trzymam robótki twojej matki. Włożyłem je do kartonów i tu schowałem. Nie wiedziałem, co z nimi zrobić.

- Które to kartony?

- Wszystkie.

Byłam zdumiona. Omiotłam wzrokiem strych. Musiało być tam ponad pięćdziesiąt kartonów, dużych, oklejonych taśmą, nieoznaczonych.

- Wszystko to są pudła z robótkami? Wszystkie?

- W tym jest misa do ponczu po mojej matce, a w tamtym jakieś stare ramki do zdjęć - powiedział, wskazując odpowiednie kartony. - Reszta to ciasno upchane robótki.

- Ale czy to w ogóle możliwe? Tyle tego jest! Kiedy miała na to czas?

- Źle sypiała.

- Mimo wszystko... - Podeszłam wzdłuż belki do sterty kartonów i przeciągnęłam palcem po ich zakurzonej powierzchni.

- Dużo robiła na drutach - odezwał się ojciec.

- Ale żeby aż tyle? To szaleństwo - powiedziałam, rozglądając się powoli, chłonąc widok kartonów.

- Tak - odparł ojciec cicho.

Wtedy odwróciłam się i spojrzałam na niego. Nerwowo stukał palcami o palce.

- To jest szaleństwo - powtórzyłam, tym razem zupełnie poważnie.

- Zgadza się.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że moja matka była szalona?

- Cierpiała - odpowiedział ojciec, składając dłonie i spuszcżając głowę prawie jak do modlitwy. - To nie to samo.

Zastanowiłam się nad jego słowami. Cierpiała? Nigdy o tym nie myślałam. Moja matka nie żyła. Ta wiadomość mi wystarczyła, już i tak czułam się winna, a teraz jeszcze to? Cierpiała?

- W jakim sensie?

- Cóż - zaczął ojciec nagle ogarnięty gniewem. - „Szaleństwo” brzmi jak coś z wyboru, coś co się robi dla zabawy. Szalone lata, szalona młodość.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem - powiedział. - Przepraszam.

- Po prostu tyle tu tego... - Zrobiłam krok do przodu.

- Uważaj - przypomniał mi. - Pamiętaj, stąpaj tylko po belkach.

- To po prostu bardzo smutne - powiedziałam, ostrożnie stawiając stopy, a potem odklejając taśmę z najbliższego pudła. - Tyle tu... cierpienia.

Czemu nie pokazałeś mi tego wcześniej?

- Nie byłem pewny, czy chciałabyś to zobaczyć, czy chciałabyś wiedzieć. Myślałem, że może cię to przestraszyć.

- Miałam chyba prawo wiedzieć!

Ojciec rozejrzał się po strychu. Przyklepał rzadkie włosy i powiedział:

- Miałaś. Po prostu nie chciałem cię straszyć.

Nie do końca rozumiałam, co chce przez to powiedzieć, poczułam jednak, że chodzi mu o to, że w jakimś sensie jestem zbyt słaba.

- Myślałeś, że będę się bała, że sama też oszaleję?

- Nie wiem - odparł. - Czasem bałaś się mamy, kiedy byłaś mała.

Siedziałaś z głową na jej kolanach, a ona nuciła ci do snu, jednocześnie z furią robiąc na drutach. Wiedziałaś, że coś jest nie tak, dzieci często podświadomie wyczuwają takie rzeczy... Czasami patrzyłaś na nią w taki sposób... Nie potrafię tego wyjaśnić.

Potrzebowałam faktów.

- To robienie na drutach było maniakalne.

Ojciec potrząsnął głową. Najwyraźniej wciąż nie czuł się swobodnie, rozmawiając o jej problemach.

- Ona cierpiała.

- Miała depresję?

- Tak - odparł, zapinając sweter. - Była jednocześnie niespokojna i przygnębiona.

Znów spojrzałam na pudła. Poczułam się, jakby napierały na mnie ze wszystkich stron.

- Chcę je przejrzeć. Wszystkie - powiedziałam.

- Kartony? - Tak.

- Nie rób tego - poprosił ze łzami w oczach. - To zbyt wiele. Wszystko już spakowane. Niech tak zostanie.

- Chcę je wszystkie przejrzeć - powtórzyłam. - Zrobię to. - Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Stał ze złożonymi dłońmi. Nie potrafiłam odczytać tego gestu. Czy było to błaganie? - Czego oczekiwałeś?

- Nie wiem. Myślałem, że chcesz, żebym ci coś o niej powiedział. To jest moja odpowiedź.

- Przejrzę je.

- Kartony są nieporęczne. Pomogę ci je znieść. Chcę ci pomóc.

Następne godziny spędziłam, gorączkowo przekopując się przez kartony, oglądając poszczególne rzeczy i układając na podłodze sterty koców, swetrów, rękawiczek i skarpetek. Po zaprowadzeniu wśród robótek jako takiego porządku, rozłożyłam na podłodze jeden z wełnianych koców mojej matki i uklęknęłam na nim. Nagle wszystko stało się zamazane, oczy zaszyły mi łzami. Koc wykończony był frędzelkami, jak przez mgłę pamiętałam z dzieciństwa ich fakturę. Już sama liczba mączynych robótek - były wśród nich szaliki, poszwy na poduszki, czapki, kapelusze, swetry - opowiadała jakąś historię. Postanowiłam przyjrzeć się bliżej jednemu z koców, przyjrzeć mu się dokładnie, żeby zobaczyć, czego mogę się dowiedzieć o matce na podstawie tego, co zrobiła na drutach. Bardzo mało wiedziałam o robótkach ręcznych. Sama miałam krótki etap robienia na drutach w czasach studenckich. Wtedy przypominało mi to o matce. Wiedziałam wówczas tylko, że gdy byłam mała, robiła dla mnie ubranka. Nie miałam pojęcia, że to była obsesja. Przesunęłam palcami po ściegach, jakbym czytała Braille'a.

Ojciec przyniósł mi herbatę i co jakiś czas zaglądał, pytając ściszym głosem, czy mam ochotę na jeszcze.

- Nie, dziękuję - mówiłam.

Zatrzymywał się, czekając, aż powiem mu, co zobaczyłam albo przynajmniej czego szukam, ale ja nie miałam mu nic do powiedzenia. Za każdym razem powtarzał:

- Dobrze, w takim razie daj znać, gdybyś czegoś potrzebowała - i wycofywał się do swej pracy na stole w jadalni.

Od początku nie miałam wątpliwości co do jednego: matka nie miała obsesji na punkcie jakości tego, co tworzyła. Wręcz przeciwnie. Niektóre rzędkie były ściągnięte i nieregularne, zbyt ciasne i splątane; potem na chwilę stawały się równe, by za chwilę znów niechybnie się zamotać. Były też luźne fragmenty, wykonane jakby w chwili rozproszenia, którego powodem najprawdopodobniej byłam ja.

Na dnie jednego z pudeł leżała kolekcja dużych podręczników robienia na drutach w miękkich okładkach, z pozaginany-mi stronami. Matka zakreśliła niektóre wzory i lekcje niebieskim długopisem, a w innym miejscu fioletową kredką - prawdopodobnie używała tego, co miała pod ręką. Jednak trudniejsze ściegi - koronkowy, warkoczowy, ściągacz - nigdy nie pojawiały się w jej robótkach. Wyraźnie trzymała się podstaw. Uklękałam na rozłożonym na podłodze kocu. Widziałam w nim odbicie kilku dni z jej życia - misterne pasmo emocji, napięcie i desperację, które ustąpiły miejsca chaosowi, rozpacz, lękowi i depresji. Zawołałam ojca. Zjawił się od razu, jakby czekał pod drzwiami. Miał zaczerwienione policzki i pełen wyczekiwania wzrok.

- Mam pytanie - powiedziałam i wstałam tak nagle, że aż zakreśliło mi się w głowie. Wciąż trzymałam koc, ściskając w dłoni wełniany frędzel.

- Tak? - Ojciec stał w progu niezgrabnie, w swetrze zapiętym pod szyję. Miał miękkie, zaróżowione policzki i rozbiegane oczy.

Chciałam jakoś złagodzić pytanie, by było mu łatwiej, ale nie wiedziałam jak. Poza tym, choć pragnęłam go chronić, to jednocześnie miałam serdecznie dosyć tego, jak przez długie lata chroniliśmy siebie nawzajem. Byłam zmęczona ukrywaniem prawdy.

- Czy mama miała skłonności samobójcze?

Ojciec znieruchomiał na chwilę, po czym skinął głową. Zapadła cisza.

Gdzieś z oddali dobiegł mnie odgłos dmuchawy do liści. Oczy ojca zaszczyły łzami. Potrząsnął głową.

- Nie próbowałaby się zabić z tobą w samochodzie. Nigdy by tego nie zrobiła.

- Dokąd jechała tamtego wieczoru?

Ojciec usiadł w fotelu i chwycił się za podbródek, jakby chciał powstrzymać jego drżenie. Wydał mi się bardzo drobny i kruchy.

- Odchodziła ode mnie - wyrzucił z siebie, wydychając powietrze.
- Odchodziła? - Usiadłam na kanapie i wpatrzyłam się w sterty robótek, stos podręczników, puste kartony. - Czemu nigdy mi o tym nie powiedziałaś?
- Wróciłaby - odparł, choć w jego głosie słychać było z wątpienie. - Wiem o tym.
- Pokłóciliście się? - Nie pamiętałam, by rodzice kiedykolwiek podnosili głos, żadnych krzyków, żadnych awantur. Gdy byłam młodsza, żałowałam czasem, że nie byli bardziej wybuchowi, bo miałabym wtedy wyraźniejsze wspomnienia.
- Nie - odrzekł. - Była na to zbyt słaba. Nie miała siły na kłótnie. Powiedziała mi, że to erozja. Czują, że ulega erozji i musiała pobyć z dala ode mnie, by się przekonać, co to uczucie oznacza.
- Dokąd jechała?
- Do koleżanki ze studiów.
- Jak doszło do wypadku?
- Nie jestem pewien. Drogi były mokre, most w remoncie. Matka była wyczerpana. Nie spała od kilku dni. - Wyobraziłam ją sobie szarpiącą kierownicę, zamroczoną bezsennością. Wilgotne powietrze, światła migające w ciemności być może bardziej ją dezorientowały, niż wskazywały drogę. Może zasnęła?
- Ale ktoś się pojawił i mnie uratował.
- Tak - odparł ojciec. - Nazywał się Martin Mendez. Obcy człowiek. Poszliśmy kiedyś na kawę.
- Na kawę? - powtórzyłam oszołomiona. Martin Mendez i mój ojciec, dwóch mężczyzn w kawiarni, o czym właściwie rozmawiali? Czy nieznajomy opisał ojcu miejsce wypadku, to jak samochód wpadł w poślizg, śmierć mojej matki?
- Chciałem dowiedzieć się jak najwięcej - powiedział cicho ojciec. - To był dobry człowiek. Umarł kilka lat temu.

- Co ci powiedział?

- Że zobaczył wypadek. Patrzył, jak samochód wpada do rzeki i jak woda zaczyna wlewać się do środka. - Tu ojciec przerwał na chwilę. -

Powiedział, że woda była zimna. Ale wszedł do rzeki, zobaczył, że próbujesz utrzymać się na powierzchni, a ona nie. I ciebie pierwszą uratował. Kiedy wyniósł cię na brzeg, ktoś już tam był. Wrócił i wyciągnął twoją matkę, ale już nie żyła. Prawdopodobnie zginęła w wyniku zderzenia z powierzchnią wody.

Odwróciłam się i przez okno balkonowe spojrziałam na zachwaszczony trawnik, popękany chodnik, zardzewiałą skrzynkę na listy, chłopca spacerującego pustą ulicą z terierem na smyczy.

- Gdybyś powiedział mi o tym wcześniej, sama mogłabym zadać Mendezowi te pytania. - Martin Mendez nie żył. Nigdy już nie usłyszę jego wersji wydarzeń, która pomogłaby mi odbudować wspomnienia.

- Przepraszam - powiedział ojciec, ale ja nie chciałam jego przeprosin.

- Chcę zobaczyć ten most - powiedziałam, wstając, nagle wściekła. - Co to był za samochód? Chcę porozmawiać z sanitariuszami. Przecież przyjechali? Chcę z nimi porozmawiać!

Ojciec również wstał.

- Nie, nie - powiedział. - Już po wszystkim. To już historia.

- Chcę porozmawiać z sanitariuszami!

Ojciec podszedł i położył dłoń na moim ramieniu. Strząsnęłam ją.

- Kochanie - powiedział. - Gwen.

- Spójrz na to wszystko - krzyknęłam, wskazując wybebeszone pudła, stosy swetrów, czapek i rękawiczek, sterty podręczników do robótek ręcznych, rozłożony na podłodze koc, tajemnicę, którą ojciec ukrywał przede mną przez

wszystkie te lata, kartony sekretów, nagle odpakowanych,
wypuszczonych na wolność. - Gdybyś powiedział mi wcześniej... -
zaczęłam znów. - Gdybyś tylko... Mogłabym sobie to wszystko
uporządkować. Te wszystkie pudła, to takie niezdrowe, takie trujące. Jak
mogłeś tu żyć? Jak mogłeś żyć, oddychać z tymi ciężkimi pudłami
kurzącymi się na strychu, tuż nad głową, przez cały czas?

- Już po wszystkim - powtórzył.

- Czemu po prostu mi nie powiedziałeś, że miała zamiar odejść? Przez te
wszystkie lata jak głupia winiłam siebie... Czemu nie powiedziałeś mi
prawdy?

Ojciec zapatrzył się na własne dłonie.

- Myślałem, że biorę w ten sposób winę na siebie - powiedział. -

Myślałem, że oszczędzam ci bólu.

- Nie - odpowiedziałam. - Myliłeś się. - Wzięłam torebkę i ruszyłam do
drzwi. - Całkowicie się myliłeś.

ROZDZIAŁ 27

Nie pamiętam drogi powrotnej. Gdy weszłam do domu, Peter przyrządził zapiekankę według przepisu swojej matki i przypomniałam sobie, że mieliśmy tego wieczoru wybrać się do znajomych. Peter zawsze przygotowywał na tę okazję zapiekanki. Jak zwykle miał na sobie profesjonalny biały fartuch kucharski z grubego materiału.

Zdażyłam właśnie dojść do jakichś dla mnie samej nie do końca jasnych wniosków na temat roli tajemnic w naszym życiu. Nie potrafiłam wyrazić, jak bardzo ukrywanie prawdy może być bezcelowe i niebezpieczne zarazem. Ojciec pokazał mi robótki matki. Wreszcie wyrzucił z siebie tajemnicę, która zmieniła wszystko. Wiedziałam jedno: nie chcę dłużej żyć z tajemnicami.

Położyłam klucze i torebkę na stole w jadalni. Weszłam do kuchni. Peter spojrzał na mnie znad zapiekanki, którą posypywał właśnie tartą bułką. Wpatrywałam się w niego przez chwilę. Wiedziałam, że zaraz wszystko się zmieni i pragnęłam po raz ostatni spojrzeć na tego człowieka. Kochałam go w tamtej chwili - jego fartuch, sprawne dłonie, szerokie ramiona. Kochałam to, jak zerknął na mnie

i uśmiechnął się niczym mały chłopiec dumny z tego, że jest taki dorosły. Zrobiło mi się go żal, ponieważ wiedziałam, co za chwilę nastąpi. Chciałam oszczędzić mu bólu. Zrobiłabym to, gdybym mogła. Przeniosłabym go w jakąś nieokreśloną przyszłość, w której być może bylibyśmy przyjaciółmi - jak towarzysze broni walczący niegdyś wspólnie w okopach, które sami sobie wydrążyliśmy. Wiedziałam, że będę tęskniła za naszym wspólnym życiem, za tym mieszkaniem, parną kuchnią, za tym człowiekiem. Ale wiedziałam też, że to życie nigdy mi nie wystarczy. Znałam prawdę i nadszedł czas, by wypowiedzieć ją na głos.

- Kocham Elliota Hulla.

Peter przerwał to, co robił, i odłożył pojemnik z tartą bułką na blat. Nie patrzył na mnie.

- Słucham? - zapytał.

- Kocham Elliota Hulla.

- Spałaś z nim? Macie romans? Jego reakcja rozwścieczyła mnie.

- Nie - powiedziałam. - To coś gorszego.

- Nie - odparł. - Najgorsze byłoby, gdybyś się z nim przespała. Uwierz mi. Nie zareagowałam. Nie poruszyłam się.

- Chcesz zostawić mnie dla niego? - zapytał Peter, a potem parsknął krótkim śmiechem, jakby to był absurdalny pomysł, chyba zresztą zabrzmiało to dość absurdalnie.

- Nie - odparłam. - Myślę, że on z kimś się spotyka.

- Kochasz więc faceta, który spotyka się z kimś innym -podsumował Peter, jakby próbował złożyć to wszystko na karb mojej głupoty, nie zdrady.

- Nie mam zamiaru zostawić cię dla Elliota. - Nie przemyślałam jeszcze wszystkiego do końca, a mimo to poczułam, że ogarnia mnie dziwny spokój. Dość logicznie dodałam: -Ale nie sądzę, żebym mogła być twoją żoną, kochając kogoś innego.

- Proszę cię - odparł Peter. - Mnóstwo ludzi tak żyje. - Wziął naczynie z zapiekanką, gwałtownym ruchem wsadził je do piekarnika i nastawił minutnik.

- Naprawdę? - spytałam. Czy to była jego definicja małżeństwa? Jak mogłam być z nim tak długo i o tym nie wiedzieć? W dodatku wypowiedział te słowa z tak niezachwianym przekonaniem, że doznałam szoku.

- Oczywiście, że tak. Nie bądź naiwna. Zapomnisz o Elliocie. To minie. - Jego ton był już swobodny i po raz kolejny nie mogłam się uwolnić od wrażenia, że traktuje mnie z góry. Zapomnę o Elliocie?! To minie? Byłam wściekła, ale jednocześnie wiedziałam, że Peter zareagował tak, jak umiał. Mimo to jego słowa namieszały mi w głowie. Co on właściwie chciał mi powiedzieć? Co to znaczy, że mnóstwo ludzi tak żyje. Tak, czyli jak? Kochają jedną osobę, a pozostają w małżeństwie z drugą?

- Zdarzyło ci się to? - spytałam.

- Co? - Peter wyjął z lodówki butelkę piwa i otwierał ją przez fartuch.

- Być czymś mężem, a jednocześnie kochać kogoś innego?

- Nie - odparł, kręcąc głową i karcąco kiwając na mnie palcem. - Nic podobnego. To twój problem. Nie odwracaj kota ogonem. - Ze złością ściągnął fartuch przez głowę i wcisnął go w uchwyt lodówki. - Zrób coś z tym - powiedział. - Oto, co mam ci do powiedzenia. Po prostu zrób coś z tym. - Odwrócił się i wyszedł do salonu.

Przez chwilę stałam w kuchni sama, po czym powiedziałam:

- Peter, ja nie wiem, co z tym zrobić. - Poszłam do jadalni i wzięłam ze stołu torebkę oraz klucze.

- Nie mów mi, że wychodzisz! - zawołał, w końcu okazując oznaki prawdziwego gniewu. - Nie możesz tak wyjść w środku kłótni.

- To my się kłócimy? - spytałam.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Oczywiście, że nie. Powiedziałaś mi, że kochasz kogoś innego, i nie kłócimy się! Oto, czego z pewnością nie robimy!

- Wychodzę na chwilę. - Poczulałam mdłości. - Do niczego w ten sposób nie dojdziemy. Muszę pomyśleć. Muszę pobyć sama.

- Idziemy dziś z wizytą - przypomniał mi Peter. - Do Faith. Zapomniałaś?

- Muszę iść - powtórzyłam i wyszłam.

Przez godzinę albo i dłużej jeździłam samochodem bez celu, wciąż na nowo odgrywając w pamięci kłótnię z Peterem. Wyobraziłam sobie swoją matkę, jak jedzie tak samo jak ja w zapadającym zmroku, a potem w ciemności. Gwałtownie zakończyłam rozmowę zarówno z ojcem, jak i z mężem. Czulałam się odległa, niewidzialna, jakbym wyszła poza siebie. Nikt nie wiedział, gdzie jestem, co robię ani co mam zamiar zrobić. Nawet ja tego nie wiedziałam.

W końcu zaczęłam się zastanawiać, dokąd pojechać. Chyba powinnam z kimś porozmawiać? Nie mogłam błąkać się tak bez końca. Gdybym mogła, odwiedziłabym Faith, ale ona przygotowywała się na rychłe przybycie gości. Została mi Helen, która rozumiała mężczyzn oraz zasady rządzące związkami i miłością na swój własny, szczególny sposób.

Wiedziałam, że raczej nie wybiera się na przyjęcie u Faith, twierdząc, że nie chce mieć do czynienia z kliką małżonków, nie wspominając już o tym, że podobne spotkania uważała za nieznośnie banalne. Był niedzielny wieczór. Miałam nadzieję, że zastanę ją w domu.

Zapukałam do drzwi jej mieszkania. Z wnętrza doszły mnie odgłosy krzątania.

- Kto tam? - zawołała Helen.

- To ja - odparłam. - Gwen.

Krzątanina ucichła i po chwili drzwi się otworzyły. Helen spojrzała na mnie. Zastanowiłam się, jakie muszę sprawiać wrażenie z szeroko otwartymi oczami, potargana, blada.

- Gwen - odezwała się. - Co się stało?

Gestem ponagliła mnie, bym weszła do środka, i posadziła na swojej długiej białej sofie. Milczałam. Nie wiedziałam, od czego zacząć.

- No dobrze - powiedziała Helen. - Poczekaj. - Przyniosła butelkę wina i dwa kieliszki. Napełniła jeden i podała mi. -Au Bon Climat. Rocznik 2005. Pinot noir. Spróbuj.

Wzięłam łyk i zamknęłam oczy. Wino było gładkie i dobre. Otworzyłam oczy i pokiwałam głową.

- Naprawdę dobre.

- No to mów.

Zacząłam mówić. Mówiłam i mówiłam. Helen nie przerywała. Usiadła wygodnie. Kiwała głową. Sączyła wino. A ja nie rozplakałam się. Nawet nie zebrało mi się na płacz. Po prostu zdałam jej relację z ostatnich kilku miesięcy mojego życia. Opowiedziałam o Elliocie Hullu, jego matce i siostrze, o Bib i orłach, o partii golfa, którą Peter odbył z Elliotem, o Elliocie na parkingu przed supermarketem, o kobiecie w jego samochodzie, o wyznaniu ojca, robótkach ręcznych matki, o jej wypadku, o kłótni z Peterem - o wszystkim. Mówiłam szybko, niemal bez tchu, ale również z dziwnym spokojem. Opowiedziałam wszystko, aż do tej chwili na jej kanapie z kieliszkiem wina. A potem spojrzałam na nią.

- Dlatego tu jestem - powiedziałam.

Gdy spojrzałam na Helen, zdałam sobie sprawę, że opowiadając, cały czas rozglądałam się po mieszkaniu bądź wpatrywałam w przestrzeń. Zaskoczyło mnie więc, że Helen mocno się zaczerwieniła, a na jej bladej szyi pojawiły się plamy. Błądziła wzrokiem po pokoju. Miała wilgotne oczy.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - odezwała się.

- Ty zawsze wiesz, co powiedzieć.

- Nie tym razem - odparła. - Powinnaś zadzwonić do Petera. Powinnaś z nim porozmawiać.

- To wszystko? - Opadłam na oparcie kanapy i zagapiłam się na nią.

- Zadzwoń do niego - powtórzyła. - Będzie się martwił, gdzie jesteś.

Kocha cię. - Podniosła się i dodała: - Przepraszam. Muszę iść do łazienki.

Przez chwilę siedziałam bez ruchu. Zastanawiałam się, czy Helen nigdy nie wyszła za mąż dlatego, że w chwilach, gdy było to najbardziej potrzebne, brakowało jej umiejętności oceny sytuacji. Jednocześnie doszłam do wniosku, że ma rację. Mówiąc krótko, poradziła mi, co robić. Peter będzie się martwił. Przecież mnie kocha. Zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu telefonu, lecz przypomniałam sobie, że zostawiłam go w samochodzie. Komórka Helen leżała na stoliku. Sięgnęłam po nią i wystukałam numer Petera.

Odebrał już po pierwszym dzwonku i od razu poznałam, że jest pijany.

Nie odezwałam się. On za to powiedział:

- Hej, czemu nie dzwonisz? Czekałem na twój telefon. Odsłuchałaś moje wiadomości?

Zrozumiawszy, że się upił, przez chwilę czułam ulgę, ponieważ ja wyszłam, a on rozpaczliwie czekał na mój telefon, ale chwila ta bardzo szybko minęła. Milczałam dalej, ponieważ był to telefon Helen, nie mój.

Peter myślał, że rozmawia z Helen, nie ze mną. „Hej, czemu nie dzwonisz? Czekałem na twój telefon. Odsłuchałaś moje wiadomości?”

Powiedział to cichym, niecierpliwym głosem, tonem, którego używał w najbardziej intymnych sytuacjach. Serce zaczęło mi bić tak głośno, że słyszałam je w uszach. Żołądek wydał się lekki, jakby wypełniony powietrzem, i zebrało mi się na mdłości. Zatrzasnęłam klapkę telefonu.

Helen wróciła do pokoju. Wyglądała teraz tak normalnie. Helen.

Zdradziła mnie. Jej zwiewne suknie, nieopanowany śmiech, dzika gestykulacja, wszystko to była przykrywka. Co

ukrywała? Ta prosta kobieta z prostymi potrzebami była prymitywna, była złodziejką. Nagle wyobraziłam sobie nas wszystkich jako zwierzęta. Oto czym jesteśmy, pomyślałam. Zwierzętami.

- Zadzwoń! - spytała.

Prawie niezauważalnie skinęłam głową. Odłożyłam jej telefon z powrotem na stolik.

Spojrzała na niego, a potem na mnie.

- Czy... - Zrobiła krok w stronę telefonu i zatrzymała się. Zrobiła gest, jakby chciała powstrzymać się od niewłaściwego ruchu. - Zadzwoń! z mojego telefonu - powiedziała.

Przewiesiłam przez ramię torebkę i wstałam.

- Poczekaj - zatrzymała mnie. - Co powiedział? Ruszyłam w stronę drzwi.

- Gwen - zaczęła, a potem swoim zwyczajem wykonała nagłą serię nic nieznaczących gestów. - To nie było zaplanowane.

W ten sposób potwierdziła wszystko. Miała romans z Peterem.

Westchnęła i wyciągnęła dłoń, by dotknąć mojego ramienia.

Powstrzymałam ją, podnosząc ręce. Otworzyłam drzwi i szybko ruszyłam korytarzem. Wzorzysta wykładzina przesuwiała się pod moimi stopami, z boku przemykały żółte ściany.

- Gwen! - krzyknęła Helen. - Gwen!

Gdy wyszłam na zewnątrz, okazało się, że pada śnieg. Był początek listopada. Poczulałam się nieco zagubiona. Łatwo było mi wyobrazić sobie, że przebywam w innym świecie. Śnieg zdążył cienką warstwą pokryć ziemię i moją małą hondę. Wciąż padał, a płatki wirowały na wietrze.

Cały świat przykryła koronkowa firanka śniegu.

Wsiadłam do samochodu, włączyłam silnik i wycieraczki. Śnieg był lekki i suchy. Ostrożnie ruszyłam i wyjechałam na ulicę. Peter i Helen mieli romans. W innym świecie, w którym się znajdowałam, był to fakt. Wciąż miałam w głowie jego

pijany głos: „Hej, czemu nie dzwonisz? Czekałem na twój telefon. Odsłuchałaś moje wiadomości?”. Kiedy to się zaczęło? Zanim zostałam żoną na niby Elliota? Czy potem? Czy Peter zrobił to, by się na mnie odegrać? Przypomniało mi się, jak rzucił się na Helen i odgryzł jej bukiecik. Czy wtedy byli już razem? Powiedział o niej, że śmieje się jak jedna z tych staroświeckich zabawek, które opadają po naciśnięciu guzika. Czy Helen była już z Peterem tamtego dnia, kiedy podczas lunchu oświadczyła, że rezygnuje ze związków i interesują ją wyłącznie romanse? Czy Peter był pierwszy na liście? Przypomniałam sobie, jak podczas tamtego lunchu kazała nam dziękować losowi i docenić to, co mamy. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy romansując z moim mężem, Helen karała mnie za to, że nie byłam dostatecznie wdzięczna. Jechałam w stronę centrum miasta. Wokół mnie wyrastały kamienice. Wtedy właśnie zaczął dzwonić mój telefon, leżący tam, gdzie go zostawiłam, na siedzeniu pasażera. Podniosłam go i spojrzałam na wyświetlacz.

Dzwonił Elliot Hull.

Czego, u diabła, mógł ode mnie teraz chcieć? Czy wiedział? Wyczuł, że coś jest nie tak? Byłam gotowa uwierzyć niemal we wszystko.

Przebywałam w innym świecie, który rządził się własnymi regułami.

Prawdę mówiąc ulżyło mi. Byłam wdzięczna, że dzwoni. Pragnęłam usłyszeć jego głos, by wymazać echo słów Petera: „Hej, czemu nie dzwonisz? Czekałem na twój telefon. Odsłuchałaś moje wiadomości?”

- Halo - odezwałam się, zjeżdżając na pusty parking.

- Wiem, że miałem nie dzwonić, ale Peter strzelał w mój dom piłkami do golfa. - Usłyszałam jakiś brzęk i stłumione: „O w mordę!” - Ma cholernie dobry zamach!

- Piłkami do golfa? W twój dom?

- Cholera jasna! - usłyszałam głos Elliota i kolejny brzęk. - Tak, piłkami do golfa! Kompletnie mu odbiło. Co jest?

- Bardzo cię przepraszam - powiedziałam. Wiele razy widziałam Petera pijanego. Od czasu do czasu alkohol wywoływał u niego złośliwy ton, który szybko przeradzał się w agresywny. Nigdy jednak nie widziałam, by w takiej sytuacji mój mąż zamieniał słowa w czyny. Nie zdziwiłam się, że nie wytrzymał. Ale żeby strzelać piłkami do golfa w dom Elliota? To moja wina. Elliot nie powinien być w to zamieszany. Zastanawiałam się, czy jest z nim tamta kobieta, czy planowali spędzić razem miły wieczór, a teraz Elliot musiał wyjaśniać jej to szaleństwo. - Przyjadę po niego.

- Masz jakiś pomysł, dlaczego Peter chce mi wybić wszystkie okna? Na razie poszły dwa. Dwa okna!

- Powiedziałam mu.

Na chwilę zapadła cisza.

- Co dokładnie mu powiedziałaś?

Wzięłam głęboki oddech i wyjaśniłam, tak szybko jak się dało:

- Słuchaj, wiem, że się z kimś spotykasz, wiem, że ci przeszło, znalazłeś sobie kogoś, tak samo jak poprzednio znalazłeś Ellen Maddox.

- Poczekaj, zwolnij - przerwał mi, ale ja nie przestałam mówić i zagłuszyłam jego protesty:

- Wiesz, to jest tak jak z Ellen Maddox. W każdym razie powiedziałam mu, że cię kocham, ale nie dlatego, że chcę z tobą być. Tylko dlatego, że nie chcę już tajemnic. Za dużo ich jest na świecie. Każdy coś ukrywa.

Więc musiałam mu powiedzieć. To wszystko. Chodzi o niego i o mnie.

Nie o ciebie. Przepraszam. Rozłączam się. Nie dam ci szansy nic powiedzieć. Po prostu się rozłączam, bo to ja mam problem z Peterem, nie ty, tu nie chodzi o nas. Więc się rozłączam. Jadę do ciebie odebrać Petera, ale to wszystko. Nie będę zwracać ci głowy. Rozłączam się.

Protesty Elliota nasiliły się.

- Poczekaj, poczekaj. Nie rozłączaj się! Ale i tak się rozłączyłam.

Musiałam.

Później, dużo później, poznałam ogólną wersję tego, co się wydarzyło pomiędzy rozmową z Elliotem a moim przyjazdem do niego. Peter zaczął głośno przeklinać. Jedna z piłek poleciała w bok i uderzyła w okiennicę sąsiada, który zadzwonił do Elliota i zagroził, że jeśli natychmiast nie uspokoi tego maniaka, on dzwoni po policję.

Elliot wyszedł, by przemówić Peterowi do rozumu. Gdy sięgnął po kij w rękę Petera, ten uderzył go i już za chwilę mocowali się na śniegu.

Tak ich zastałam.

Walka wyglądała na zacieklą. Peter był pijany, ale bardziej wysportowany, Elliot zaś próbował wykorzystać nieskoordynowane ruchy przeciwnika. Obaj zarobili kilka szybkich ciosów. Torba golfowa Petera przewróciła się. Kije rozsypały się na białym trawniku, a piłki potoczyły się na chodnik. Rozwścieczony sąsiad stał już na ganku. Był w dresie, a kaptur bluzy ciasno okalał jego czerwoną, mięsistą twarz. Kilkoro innych sąsiadów spoglądało ciekawskim wzrokiem z oświetlonych okien. Śnieg padał coraz szybciej, a płatki były większe i bardziej mokre.

Wysiadłam z samochodu i stanęłam na chodniku, przyglądając się tej scenie oszołomiona. Czy chciałam, żeby Elliot pobił Petera? Chyba tak, chciałam, żeby pobił go za to, że spał z Helen. Ale nie zmartwiłabym się, gdyby i Elliot zarobił kilka ciosów - za to, że tak szybko o mnie zapomniał. Czy dlatego stałam tam bez ruchu? Możliwe, ale poza tym tak wiele już się tego dnia wydarzyło. Żyłam w innym w świecie niż ten, w którym obudziłam się dzisiejszego ranka. Nie wiedziałam, jak powinnam się zachować, co powiedzieć.

W końcu Elliot zadarł Peterowi koszulę na głowę, unieruchamiając mu w ten sposób ręce i obnażając klatkę piersiową. Skóra Petera była blada, ale naznaczona czerwonymi śladami, które wyglądały tak, jakby w ciągu jednej nocy miały zamienić się w siniaki. Następnie Elliot przyciągnął

Petera do siebie i zakleszczył jego głowę pod swoim ramieniem.

- Jedź do domu! - wydyszał. - Po prostu przestań i jedź do domu!

- Żadnego rozejmu! - wrzasnął Peter, który najwyraźniej cofnął się w rozwoju do poziomu szóstoklasisty. - Żadnego rozejmu! Nie poddaję się!

- Zaraz ktoś wezwie policję! - upomniał go Elliot, rozglądając się po ulicy, jakby się zastanawiał, czy ktoś już tego przypadkiem nie zrobił, i wtedy ujrzał mnie. Rozluźnił uścisk. Peter wyrwał się i wstał. Wściekłym ruchem obciągnął koszulę, jakby nagle zaczął walczyć z samym sobą. Obaj wpatrzyli się we mnie. Elliot miał już napuchnięte oko, powieka powoli się zaciskała. Z nosa Petera małym strumyczkiem ciekła krew.

- Gwen - powiedział Elliot.

- Powiedz mu, że mnie kochasz! - wrzasnął Peter.

- Gwen - powtórzył Elliot, ruszając w moją stronę. - Z nikim się nie spotykam. Nie wiem, o czym mówiłaś przez telefon. - Nie byłam pewna, czy mogę mu ufać, czy mogę komukolwiek ufać. Nic nie miało sensu. Peter dogonił Elliota, zanim ten się zbliżył do mnie, i odepchnął go na bok.

- Znajdź sobie własną cholerną żonę - powiedział. - Ty pieprzony skurwielu!

- Hej - zaprotestował Elliot, podsuwając Peterowi palec pod nos. - Nie zaczynaj.

- Spałeś z Helen - powiedziałam do Petera. Było to proste zdanie, tylko na tyle mogłam się zdobyć. Peter znajdował się trzy metry ode mnie. Mówiłam cicho.

- Co? - zapytał. - Z Helen?

- Spałeś z nią.

- Ona ci to powiedziała? - roześmiał się i obrócił wokół własnej osi.

- To prawda - powiedziałam. - Przyznaj się.
 - Ani mi się śni - odparł. - To jakieś pieprzone bzdury! - Zaczął zbierać kije z trawnika, ale stracił równowagę i upadł na jedno kolano. Szybko poderwał się z powrotem.
 - Po prostu powiedz jej prawdę - odezwał się Elliot ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami założonymi na piersi.
- Spojrzałam na niego ostro.
- Czemu nie jesteś zdziwiony? - zapytałam. Spojrzał na mnie, a potem znów spuścił wzrok.
 - Powiedział mi.
 - Wiedziałaś? Od jak dawna?
 - On nic nie wie! - krzyknął Peter, wskazując kijem na Elliota. - Nic nie wiesz, prawda?
 - Opowiadałeś mi wtedy, w meleksie - odparł Elliot.
 - Czemu mi nie powiedziałeś? - wtrąciłam się.
 - Jak mógłbym to zrobić? Wyszłoby na to, że twój dawny chłopak próbuje was poróżnić. On by zaprzeczył. Jego słowo przeciwko mojemu. To była pułapka. Poza tym -dodał - to nie moja tajemnica i nie ja powinienem ci ją zdradzać.
 - Powinieneś był mi powiedzieć. - Gniewnym ruchem wytarłam z twarzy śnieg. - Czuję się jak idiotka.
 - To i tak nieprawda - rzekł Peter, idąc w moją stronę z torbą golfową na ramieniu. Zauważyłam, że znów ma na sobie buty ojca. Czy włożył je specjalnie na tę okazję? -Nie spałem z Helen. Nawet jej nie lubię. Kocham cię. - Był coraz bliżej. - Powiedz Elliotowi, że mnie kochasz - wymamrotał. - No, skarbie. Powiedz mu i wrócimy do domu.
- Patrzyłam to na jednego, to na drugiego.
- Gwen - odezwał się Elliot. - Chciałem ci powiedzieć, ale nie mogłem.
 - Trzeba było wpaść w tę pułapkę! - krzyknęłam. -Trzeba było mi powiedzieć! Czemu wszyscy kłamią?

Pobiegłam do samochodu. Drżącymi rękami wcisnęłam kluczyk do stacyjki. W końcu udało mi się zapalić i odjechałam, zostawiając ich na trawniku. W lusterku wstecznym ujrzałam Petera, przechylonego na bok pod ciężarem torby, i Elliota, który odwrócił się i walnął go, po raz ostatni, prosto w brzuch. Peter zgiął się wpół. A Elliot wbił ręce w kieszenie i ruszył do domu; śnieg padał jednostajnie.

ROZDZIAŁ 28

Pojechałam do ojca. Było już późno. Dom tonął w ciemnościach. Nie miałam klucza, musiałam więc zapukać do drzwi jak ktoś obcy i może pasowało to do mojego stanu ducha. Nagle poczułam się, jakby otaczali mnie sami obcy ludzie, ja sama wydawałam się sobie obca. Zobaczyłam, że w sypialni ojca rozbłysło światło, a za chwilę zapaliła się lampa na ganku. Ojciec otworzył drzwi, nie odmykając jednak staroświeckiego łańcucha. Gdy zobaczył, że to ja, zatrzasnął drzwi, by zdjąć łańcuch i już po chwili otworzył je na oścież.

- Wchodź, wchodź - powiedział, rzucając okiem na zaśnieżony ogród za moimi plecami. Miał na sobie niebieski flanelowy szlafrok, który wyglądał na bardzo stary. Uderzyło mnie, że był to szlafrok wdowca. Zazwyczaj to żona sprawia mężowi nowy szlafrok. Nikt nie powiedział ojcu, że stary należy wyrzucić. Poczułam wzruszenie na widok chudych nóg i bosych stóp ojca. Przyszło mi na myśl, by powiedzieć, że nie chciałam mu przeszkadzać, przeprosić, pożegnać się i odejść. Tylko dokąd? Nie miałam dokąd pójść.

Weszłam do salonu. Wyglądał tak, jak go zostawiłam - pootwierane kartony, sterta książek o robótkach ręcznych, koc

na podłodze. Nie wyjaśniłam, dlaczego przyjechałam, a ojciec nie zadawał pytań. Spytał tylko:

- Chcesz zostać na noc? Skinęłam głową.

- Napijesz się czegoś ciepłego? Mogę zrobić kakao. Jesteś głodna?

- Nie - powiedziałam. - Chcę się tylko położyć. Prześpię się na kanapie.

- A czemu nie w swoim dawnym pokoju? - spytał. - Przygotuję ci łóżko, dam świeżą pościel.

- Nie. - Usiadłam na kanapie. - Tu mi dobrze. Na nic więcej nie mam siły.

- Położyłam się i zwinęłam w kłębek.

Ojciec stał nade mną, nie wiedząc, co robić dalej. W końcu schylił się, podniósł z podłogi koc mojej matki i okrył mnie nim.

- Będzie ci ciepło? Podkręcę kaloryfer.

- Jest dobrze - powiedziałam, podciągając wykończoną frędzlami krawędź koca aż pod brodę. - Nic mi nie będzie.

Rano zadzwoniłam do Eili.

- Bardzo przepraszam, że zostawiam cię na lodzie. Rozchorowałam się.

- Nie wciskaj mi kitu - odparła i domyśliłam się, że jest sama. Mówiła głosem Sheili. Pora była zbyt wczesna, by siliła się na Eilę. Ulżyło mi. Pragnęłam rozmowy z kimś prawdziwym. Miałam dosyć udawania.

- Przepraszam - powiedziałam. - Wszystko się spieprzyło. Tym razem nie wciskam ci kitu. Odeszłam od męża, a potem się dowiedziałam, że ma romans z moją najlepszą przyjaciółką. - Nie płakałam. Sama się sobie dziwiłam, że potrafię powiedzieć to tak chłodno. Wiedziałam jednak, że prawdopodobnie prędzej czy później się rozplacę, a gdy już zacznę, trudno mi będzie przestać.

- O cholera - zmartwiła się Eila. - Przykro mi.

- Powiedziałaś mi, że życie nie może rozpaść się na kawałki, ale ja w tej chwili czuję, że tak właśnie się stało.

- Och, nie należy mnie słuchać, kiedy próbuję filozofować. Nie mam pojęcia, jak działa świat. Mieszkam z pekińczykiem. - Westchnęła. - Mogę ci jakoś pomóc?

Westchnęłam.

- Owszem, możesz. Chciałabym się czegoś o tobie dowiedzieć. Czegoś prawdziwego. Nic związanego z Eilą. Czegoś o tobie.

- Coś prawdziwego. O mnie. - Zamyśliła się na chwilę. - Mój ojciec był skurwysynem. Matka pracowała jako recepcjonistka w gabinecie dentystycznym. Byłam brzydkim dzieckiem i ludzie brali mnie za chłopca. Trzy rzeczy. Pomogło?

- O dziwo tak - odparłam i była to prawda.

- He wolnego potrzebujesz?

- Nie stać mnie na zbyt wiele.

- Weź tydzień - zaproponowała. - Może być?

- Tak, dzięki.

Rozłączyłam się i wystukałam numer służbowy Faith. Potrzebowałam pomocy. Poprosiłam, żeby przywiozła mi kilka rzeczy z mieszkania.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytała ściszym głosem.

-Nie.

Nie chciałam z nikim rozmawiać. Włożyłam T-shirt ojca i spodnie od dresu. Peter dzwonił i zostawiał wiadomości. Domyślił się, że jestem u ojca, i dzwonił też na jego numer domowy, ale zdażyłam zapowiedzieć, że z nikim nie chcę rozmawiać. Słyszałam, jak ojciec w kuchni powtarza to przez telefon Peterowi.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy będzie gotowa. Zastanawiałam się, kiedy to nastąpi. Zdawało mi się, że

minie wiele lat. Nie miałam Peterowi nic do powiedzenia. Wciąż na nowo odtwarzałam w głowie nasz związek, zasta-

nawiając się, czy Helen była jego jedyną kochanką, czy składając mi przysięgę małżeńską, zamierzał być mi wierny, czy kiedykolwiek naprawdę mnie kochał. Nadal nie potrafiłam określić, czym jest małżeństwo, a mój mały eksperyment z naukowym spojrzeniem na własne życie okazał się niewypałem. Nic się nie wyjaśniło.

Poczta głosowa w moim telefonie była zapchana wiadomościami od Petera, Helen i Faith. Skasowałam wszystkie, naciskając guzik, gdy tylko usłyszałam głos któregoś z nich. To był refleks. „Nie - powiedziałam głośno, choć oprócz mnie nikogo nie było w pokoju. - Nic do mnie nie mówcie. Nie próbujcie wyjaśniać”.

Wysłuchałam tylko jednej wiadomości.

Od Elliota.

Oto co powiedział:

„Nie mam zamiaru przesładować cię telefonami jak ostatnio. Dzwonię pierwszy i ostatni raz. Jeśli o mnie chodzi, nic się nie zmieniło. Kocham cię. Od dawna. Nigdy nie przestanę cię kochać, próbowałem i nie wyszło”. Tu westchnął. „Nie wiem, dlaczego myślisz, że z kimś się spotykam. Mylisz się. Ale co do czegoś innego miałaś rację. Powinienem był rzucić się w pułapkę. Powinienem był ci powiedzieć, nawet jeśli uważałem, że pogrzebię w ten sposób szansę na bycie z tobą. Powinienem był wybrać prawdę. Za bardzo się bałem, że mogę cię stracić”. Znów zamilkł na chwilę. „To nie wszystko, co chcę ci powiedzieć. Mógłbym tak do ciebie mówić do końca życia. Ale na razie wystarczy. Nie będę cię dalej męczył”. I rozłączył się.

Rozplakałam się. Jakby ktoś rozdarł mi coś w środku i zostawił ziejącą dziurę. Nie myślałam o Elliocie, Peterze, Helen ani o nikim konkretnym. Po prostu szlochałam, zachłystując się powietrzem, i zdawało mi się, że już nigdy nie przestanę. Nawet gdy w końcu złapałam oddech, łzy płynęły dalej.

Ojciec odwołał zajęcia, by móc zrobić zakupy i mieć na mnie oko. Kiedy był w sklepie, wzięłam stare druty matki i otworzyłam karton pełen włóczek. Robiłam kiedyś raz czy dwa na szydełku podczas letnich kolonii, w college'u zaś wydzierałam na drutach koc. Nie wiedziałam, czy będę pamiętała, jak to się robi, okazało się jednak, że moje dłonie pamiętają. Łzy spływały mi po policzkach i spadały na włóczkę oraz spodnie dresowe, które miałam na sobie.

Ojciec wrócił i niosąc do kuchni siatki pełne zakupów, dostrzegł, że robię na drutach. Zatrzymał się na chwilę, jakby chciał coś powiedzieć, ale co? Przestraszył się tego widoku? Chciał mnie ostrzec? Nie spojrzałam na niego. Poszedł dalej.

Oplakiwałam, choć nie do końca wiedziałam co. Jednak przynajmniej na początku czułam, że nie muszę wiedzieć. Moja rozpacz wywoływała niepokój, a niepokój łagodziło robienie na drutach. Pomyślałam, że może oplakuję swoje małżeństwo i w pewnym sensie tak było, z drugiej strony nie byłam jednak pewna, czy było naprawdę moje i czy w związku z tym powinnam po nim rozpaczać. Czy kiedykolwiek byłam w nim całkowicie sobą? Wiedziałam, że bolesna odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. Mimo to małżeństwo w jakiś sposób mnie definiowało i choć nigdy nie czułam się zupełnie komfortowo w roli żony, nie szłam przez życie jako niewiadoma. Miałam bezpieczny, drobnomieszczański status. Czas najwyższy pożegnać się z nim.

Wiązało się to z pożegnaniem Petera. Przygotowywałam się do tego od jakiegoś czasu i na różne sposoby. Decyzja, by udawać żonę Elliota Hulla, pocałunek w łódce, a potem, po powrocie do codzienności, postanowienie, że będę obserwować własne małżeństwo jak naukowiec, to wszystko prowadziło mnie do wyjścia z wcześniejszej roli, odłączenia się od Petera. Czy nie zdawałam sobie sprawy, że już podczas rozmów z Vivian odkładałam zrealizowanie lekcji, których

mi udzieliła? Że próbuję opóźnić podjęcie życia odważnego i uczciwego? Wiedziałam również, że romans Petera nie jest do końca jego winą. Nie mówię, że powinnam była bardziej się starać, by nie przestał się mną interesować. Co to, to nie! Nie taka jest rola żony ani męża. Gdy jednak spojrzeć na problem z szerszej perspektywy, jego romans wyrósł z modelu małżeństwa, jaki wybrałam i pomogłam stworzyć. Małżeństwa, od którego nigdy zbyt wiele nie wymagałam, wygodnego, lecz nieciekawego, bez stuprocentowego zaangażowania i pełnego zaufania. W pewnym momencie zaczęłam wycofywać się z niego maleńkimi, niemal niezauważalnymi krokami.

Wiedziałam, że to już koniec, że w żaden sposób nie mogłabym już wrócić do Petera, że muszę zrzec się roli, która wiodła mnie przez życie. I to nie z powodu Elliota.

Była to wyłącznie moja decyzja i moja sprawa.

Poza tym okazało się, że Peter to nie jedyny problem. Za każdym razem, gdy nim myślałam, miałam poczucie głębszej straty. Myślałam o swojej matce, o jej śmierci, moim samotnym dzieciństwie. Nie rozumiałam, dlaczego tak się dzieje. Przychodziło mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie: nigdy nie wiesz, kiedy dopadnie cię żal za tym, co stracone. Niektórzy ludzie rozpaczają jeszcze zanim kogoś lub coś utracą, wiedząc, co ich czeka. Niektórzy zaczynają rozpaczać nagle, w miejscu publicznym, jak gdyby realność ich straty docierała do nich dopiero po skonfrontowaniu się z innymi. Jeszcze inni rozpaczają przez lata, dekady, żal wciąż powraca jak woda kapiąca z nieszczelnego kranu, powiększająca rdzawą plamę na powierzchni wanny. Opłakiwałam swoje małżeństwo, Petera, długie lata swego życia, przez co wracała do mnie przeszłość. Opłakiwałam coś, czego nie mogłam opłakiwać jako pięcioletnia dziewczynka, coś, czego wtedy nie rozumiałam, nie potrafiłam określić.

Jak opłakiwać coś, co mogło się mieć, ale czego nigdy się nie miało? Ta myśl prowadziła mnie do Elliota, zawsze wszystko kończyło się na Elliocie. Winiłam go za to, że nie powiedział mi o zdradzie Petera. Owszem, to nie do niego należało wyjawienie mi prawdy. Mimo to powinien był to zrobić. Czy mogę mu jeszcze ufać? Czy naprawdę z nikim się nie spotykał? Kim była ta ładna kobieta w jego samochodzie? Nie byłam pewna, czy to w ogóle możliwe, bym jeszcze kiedykolwiek odnalazła do niego drogę, byśmy zaczęli od nowa - od początku, a może od środka? Czy cała ta sytuacja nie była zbyt mętna? Kochałam go. Tylko tyle wiedziałam. Kochałam go, a teraz musiałam rozpaczać, ponieważ być może i jego utraciłam.

Jak odczuwałam tę rozpacz? Wyobraźcie sobie, że latacie i obserwujecie, jak w dole zmienia się krajobraz. Przed waszymi oczami przesuwają się pustynie, poszarpane skały, wąwozy i długie, kręte rzeki. Nie byłam przygotowana na taką rozpacz, na to, jak szybko zmieniała się w gniew, w miłość, w urażoną dumę. Czułam się naiwna, zraniona, a po chwili niewiarygodnie twarda i silna. Na moment dopadało mnie uczucie pustki. A potem wszystko zaczynało się od nowa.

Tego wieczoru do frontowych drzwi domu mego ojca zapukała Faith. Zobaczyłam ją przez okno. Trzymała w ręku pudełko domowych ciastek, a obok niej na ziemi stała moja walizka na kółkach. Coś w jej stoickiej posturze sprawiło, że zeszywniałam z pogardą, choć wiedziałam, że to nie w porządku z mojej strony. Przybyła mi na pomoc. Jak dobra przyjaciółka.

Ojciec wszedł do salonu.

- Otworzyć? - zapytał.

- Możesz ją wpuścić - odpowiedziałam.

Na jego twarzy odmalowała się olbrzymia ulga i zrozumiałam, jak bardzo nienawidził swej roli strażnika. Wyobraziłam sobie, jak przeżywał ten konflikt i to, że wciąż komuś musiał sprawiać zawód.

Nadal robiłam na drutach, choć nie miałam pojęcia, co dokładnie. Szalik? Chustę? Koc? Po prostu ćwiczyłam, ciasny ścieg, luźny ścieg, kolejne rządki. Szło mi coraz szybciej, druty stukały cichutko, włóczka przesuwiała się to górą, to dołem.

Słuchałam, jak ojciec i Faith wymieniają uprzejmości, potem zaczęli szeptać - bez wątpienia rozmawiali o mnie i moim stanie psychicznym - a po chwili Faith weszła do salonu i postawiła walizkę na podłodze. Nie podniosłam na nią wzroku. Zerknęłam tylko i zobaczyłam, że rozgląda się po pokoju wciąż pełnym robótek mojej matki i pustych kartonów. Nie mogłam się zmusić, by wszystko z powrotem spakować, teraz zaś zrozumiałam, że może to być odebrane jako kolejna oznaka mojej chwiejności umysłowej. Czy wyglądałam jak wariatka?

Faith postawiła na stoliku przede mną pudełko z ciastkami.

- Nie, dziękuję - odezwałam się.

- Och, Gwen - powiedziała. - Tak mi przykro. Przyśpieszyłam tempo.

- Nie mów tak, proszę. Nie lituj się nade mną. Mąż zdradził mnie z jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Nikt nie umarł. Nie ma co dramatyzować.

Faith usiadła, nie wiedząc, co robić dalej. Przyjechała z zamiarem okazania mi współczucia, a ja je odrzuciłam i teraz było ono jak nieotwarte pudełko leżące między nami.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała.

- Nie wiem.

- Porozmawiasz z nim? Wiem, że on bardzo by tego chciał. - Była to zapewne część jej misji.

- Jestem w środku rozmowy, która nagle się urwała - powiedziałam.

Faith zagapiła się na mnie, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

- Helen też chciałyby z tobą porozmawiać - dodała, tym razem bardziej nieśmiało. Domyśliłam się, że Helen zmusiła ją, by obiecała, że przekaże mi tę wiadomość, lecz sama nie była pewna, czy Helen na to zasługuje.

- Powiedz Helen, że Peter zostawił u niej zegarek. Nie mógł go znaleźć u nas. A na urodziny powinna mu kupić parę zamszowych butów do golfa.

- Nie sądzę, żeby mieli zamiar wymieniać prezenty urodzinowe.

- Czemu nie? - spytałam, zastanawiając się jednocześnie, czy rzeczywiście miałam zamiar być aż tak sarkastyczna. -Powinni spróbować. Są dla siebie stworzeni.

Faith oparła się o poduszkę i westchnęła.

- Po-prostu nie mogę w to uwierzyć. To takie okropne. Takie brzydkie i niepotrzebne. Co oni sobie do cholery myśleli? Jak mogli być tak samolubnymi idiotami? Jestem wściekła. - Uderzyła pięścią w leżącą na sofie poduszkę. To zwróciło moją uwagę. Po raz pierwszy naprawdę na nią spojrzałam. Wyglądała okropnie. Miała czerwone oczy, jakby przed chwilą płakała. Z makijażu pozostały tylko dwie szare smugi pod oczami. Zrobiło mi się jej żal, siedzącej tak w płaszczu, z dużą torebką na podłodze między butami. - Nie mam powodu być wkurzona, nie tak jak ty. Ale jestem wściekła na nich oboje.

Zrozumiałam, że i jej musiało być ciężko. To, co się stało, z pewnością wywróciło do góry nogami niektóre jej poglądy na temat małżeństwa albo przynajmniej sprawiło, że straciła grunt pod stopami. Nigdy do końca nie wiedziałam, jak głęboka jest jej wiara we własne małżeństwo, które zawsze wydawało mi się połączeniem dwóch skrajnie odmiennych osobowości. Nagle ze zdziwieniem stwierdziłam, że to ja ją pocieszam:

- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. To nigdy nie był mocny związek.

- Naprawdę? - zapytała. - W takim razie nabraliście mnie. Zawsze uważałam, że wy dwoje jesteście sobie tak bliscy, tworzycie jedną siłę. A równocześnie podziwiałam łatwość, z jaką wam to przychodzi. Zupełnie inaczej niż w moim małżeństwie. My się wiecznie kłócimy i wściekamy na siebie...

- A my nawet nie mieliśmy się o co kłócić i wściekać. Może na tym polegał problem. - Pomyślałam o matce Elliota, o tym jak mi powiedziała, że małżeństwo to bzdura, ale miłość nie. I powtórzyłam za Vivian: - Byłam nieszczęśliwą dziewczyną i nieszczęśliwie wybrałam sobie partnera.

Faith nachyliła się w moją stronę.

- Co masz na myśli?

- W ogóle nie powinnam była za niego wychodzić.

- Naprawdę tak myślisz? Skinęłam głową.

- Byliście szczęśliwi razem. Byliście przyjaciółmi.

- Byliśmy kolegami, nie przyjaciółmi.

Faith zamilkła, być może zmagając się z pytaniem, czy ona i Jason są kolegami czy przyjaciółmi. Czy ich związek również był zagrożony?

Wstała i przeszła się między stertami robótek. Schyliła się i podniosła stos swetrów, przesunęła dłońmi po nierównych ściegach. Potem wrzuciła je do jednego z pustych kartonów, wciskając tam dodatkowo kilka par rękawiczek. Najeżyłam się, ale nie kazałam jej przestać. Była pełna nerwowej energii. Próbowwała pomóc.

- Peter i ja mieliśmy sprawy, do których broniliśmy sobie nawzajem dostępu - próbowałam wyjaśnić. - To się nie zaczęło od jego romansu z Helen.

- Myślisz, że miał inne romanse? Przysiągł mi, że nie.

- Nie - odparłam sfrustrowana. - Nie o to chodzi. Nie dzieliliśmy się swoimi myślami. Codziennie podejmowaliśmy drobne decyzje, które sprawiały, że żyliśmy osobno. W końcu

nie łączyło nas nic poza uroczą gadką szmatką, taką, która mogła się ciągnąć w nieskończoność.

- Razem byliście tacy zabawni - powiedziała Faith. - Uwielbiałam wasze gadki szmatki.

- Ale skończyło się na tym, że żyliśmy obok siebie, a nie ze sobą. To właśnie sprawiło, że ten romans stał się możliwy.

Faith wcisnęła do kartonu kilka czapek. Wiedziałam, że gdy tylko wyjdzie, wyjmę wszystko z powrotem, pozwoliłam jednak, by dzięki temu drobnemu gestowi poczuła się użyteczna.

- Po prostu nic nie Wiedziałam. Chyba nikt nie wie, co dzieje się w związkach innych ludzi.

- Jeśli cię to pocieszy, Peter i ja też chyba tego nie wiedzieliśmy.

Faith zapakowała karton tak ciasno, jak się dało, po czym podeszła do swojej torebki. Wyciągnęła z niej oprawione w ramkę zdjęcie i podała mi je.

- Proszę - powiedziała.

Upuściłam robótkę na kolana i wzięłam fotografię. Oczywiście było to zdjęcie, które dostałam od Vivian - Elliot i Jennifer z matką w ogrodzie, przejrzysta zasłona. Zdążyłam już zapomnieć, że opowiedziałam o nim Faith, ale zrobiłam to przecież w cukierni, gdy próbowałam wytłumaczyć jej, co się naprawdę wydarzyło, i poniosłam porażkę.

- Mówiłaś, że dzięki temu zdjęciu czujesz się lepsza, silniejsza. Że czujesz, jak ktoś nad tobą czuwa. Pomyślałam, że właśnie teraz ci się przyda.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Spojrzałam na nią.

- To niesamowite, że pamiętałaś. Dziękuję.

- Mam nadzieję, że ci pomoże. - Faith wzięła torebkę, gotowa do wyjścia.

- Czy ty kochasz Elliota? - spytała, ale zaraz powstrzymała mnie gestem dłoni. - Nie odpowiadaj. Nie musisz odpowiadać. To tylko coś, co powiedział Peter, ale nie po to przyjechałam.

Nie odpowiedziałam.

- Czy przyjechałaś tylko po to, żeby przywieźć mi rzeczy, czy był jeszcze jakiś inny powód? - zapytałam.

- Chciałam sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

- I jest w porządku? Poklepała karton.

- Nie wiem - odparła.

- Ja też nie.

ROZDZIAŁ 29

Śnieg przestał padać równie nagle, jak zaczął. Na trawniku pozostały tylko kałuże zamarznętego błota. Siedziałam w migającym świetle telewizora, ale nie patrzyłam w ekran. Robiłam na drutach. Od czasu do czasu włóczka nagle rozmazywała mi się przed oczami, łza toczyła się po nosie i spływała na pozostające wciąż w ruchu palce, płakałam wtedy przez chwilę, ale nie przerywałam pracy.

Czemu wciąż robiłam na drutach? Czułam się w ten sposób dziwnie pożyteczna, niczym mała maszyna, i choć w sercu czułam martwą pustkę, moje dłonie wciąż żyły, działały, tworzyły. Oczko za oczkiem, motek włóczki nabierał kształtu.

Zdjęcie stało na stoliku. Od czasu do czasu zerkałam na nie ukradkiem. Czasem brałam je do ręki i od nowa przyglądałam się wszystkim szczegółom - pomarszczonej powierzchni wody, pyzatej, dziecinnej buzi Jennifer, długim nogom Vivian, zgiętym kolanom Elliota i jego kąpielówkom, zabłoconym wędkom. Ale przez większość czasu nie patrzyłam na fotografię, po prostu wiedziałam, że tam jest, że nade mną czuwa. Była teraz moja. Nie tylko odnalazła

mnie dzięki szczodrości Vivian oraz troskliwości, miłości i przyjaźni Faith, ale również w pewnym sensie wróciła do domu.

Ojciec gotował dla mnie swoje zwykle, pozbawione finezji dania.

Oglądał telewizję, siedząc obok mnie na kanapie. W pewnym momencie powiedział, że wyglądam, jakbym miała gorączkę

- Chcesz zmierzyć sobie temperaturę? Potrząsnęłam głową.

Od czasu do czasu wskazywał na ekran telewizora, wygłaszając jakąś nieszkodliwą uwagę typu:

- Spójrz tylko na to.

Patrzyłam i kiwałam głową, niewiele jednak do mnie docierało. Głównie dlatego, że byłam zmęczona, wyczerpana, jakbym nie spała od wielu lat.

Któregoś popołudnia zasnąłam i obudziło mnie pukanie do drzwi.

Zawołałam ojca, ale nie odpowiadał. Wyjrzałam przez okno. Nie było

jego samochodu. Zamiast tego ujrzałam niebieskiego pick-upa

zaparkowanego na krawężniku i nieznanego mi mężczyznę stojącego na ganku. Znow przeniosłam wzrok na samochód. Na miejscu pasażera

poruszała się drobna figurka, nie mogłam jednak dojrzeć, kto to. Na

tylnym siedzeniu leżało coś, co przypominało wiolonczelę w czarnym futerale.

Mężczyzna zapukał jeszcze raz, cofnął się i z rękami w kieszeniach

obrzucił wzrokiem okna na piętrze. Potem ruszył z powrotem do auta, ale w tym momencie postać na siedzeniu pasażera znieruchomiała i opuściła szybę.

Była to Bib.

Z okna samochodu wyłoniła się jej koścista sylwetka i drobna, napięta buzia. Wychyliła się i zaczęła machać rękami. Musiała zauważyć mnie w oknie. Serce zabiło mi szybciej. Bib! Tak się ucieszyłam na jej widok, że zapragnęłam puścić się pędem po trawniku, wykrzykując jej imię.

Mężczyzna zawrócił i doszłam do wniosku, że musi to być Sonny, mąż Jennifer, perkusista. Tylko czemu woził ze sobą wiolonczelę? Nie wiedziałam. Ale widok Bib zaparł mi dech w piersiach. Bib tu była. Pojawiła się, a teraz kopniakiem otwierała drzwi auta i już pędziła w stronę domu z rozpostartymi ramionami jak jeden z tych orłów, których tak bardzo się bała. Może uniesie mnie nad ziemię, ale nie jak dziewięciokilowe ja-gniątko, żeby mnie zjeść, nie. Może uniesie mnie i uratuje! Tak po prostu!

Pobiegłam do drzwi, otworzyłam je szeroko i wyszłam boso na zimny ganek. Oślepiło mnie słońce. Bib biegła, potykając się, i już po chwili ścisnęła mnie w pasie tak mocno, że musiałam chwycić się żelaznej poręczy.

- Mamy dla ciebie zaproszenie! Musisz przyjechać! Wszystko poszło spać! - wykrzyczała.

- Co poszło spać? Co ty mówisz, Bib?

- Wszystko poszło spać! Wszystko, co złe, usnęło!

- Bib próbuje ci powiedzieć, że choroba Vivian się cofnęła - odezwał się mężczyzna.

- To niesamowite! - zawołałam i pomyślałam o Vivian siedzącej w łóżku z zaróżowionymi policzkami. Czy odzyskała apetyt? Czy znów mogła sama czytać swoje ukochane książki? Zalała mnie fala ulgi. - Dobrze się czuje? Jak wygląda? Czy wciąż jeszcze jest słaba?

- Odzyskuje siły powoli, ale systematycznie. Wszystkim lekarzom poopadaly szczęki. Nie wiedzą, jak się zachować.

Pokręciłam głową. Odebrało mi mowę. Pomyślałam o tym, że Vivian wierzyła w cuda, ale tylko dlatego że, jak to ujęła, nie miała wyboru. Wyobraziłam ją sobie na środku pola z wielkimi grabiami w dłoni.

- Lekarzom jest głupio, bo się pomylili! - powiedziała Bib.

Sonny przedstawił się, podchodząc bliżej i wyciągając rękę. Miał wydatny tors i był potężniejszy, niż się spodziewałam, ale przystojny i pełen ciepła.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Domyśliłam się, że to ty - powiedziałam. - Jestem Gwen.

- Wiem - odparł. - Wysłano mnie z misją odnalezienia cię.

- I udało nam się! - zawołała Bib. - Odnależliśmy cię!

- Właściwie to zasługa Bib - uściślił Sonny. - Elliot powiedział, że pewnie pojechałaś do ojca, ale wiedział tylko, że twój ojciec mieszka w mieście i nie ma go w książce telefonicznej. - Zerknął na żywoplot, jakby

zrozumiał, że niebezpiecznie zbliża się do tematu, o którym wiedział więcej niż powinien, czyli do tego, że zostawiłam męża i ukryłam się tu przed światem. Zaskoczył mnie, wymieniając imię Elliota, choć

właściwie nie było w tym nic dziwnego. Równocześnie sprawiło mi to

przyjemność. Uwielbiałam słyszeć jego imię z ust innych ludzi. - Bib zapamiętała wszystko, co opowiedziałaś jej o swoim dzieciństwie: nazwę ulicy, na której dorastałaś, kolor domu, nazwisko sąsiadów, co bardzo

nam pomogło, bo mają je wypisane na skrzynce na listy: Fogelmanowie.

- Naprawdę ci o tym wszystkim opowiadałam? - zwróciłam się do Bib.

- Tak, kiedy płakałam - odparła dziewczynka. - Żebyś myślała o czymś innym, nie o tym, że płaczę.

- Ładny dom - powiedział Sonny.

- Wejdziecie do środka? - spytałam, przestępując z nogi na nogę, by złagodzić kłujące zimno.

- Nie, nie. Nie trzeba - odparł Sonny. - Nie chcemy przeszkadzać. ..

- Mamy dla ciebie zaproszenie! - przerwała mu Bib. - Do domku nad jeziorem! Urządzamy niepogrzeb!

- Niepogrzeb?

- Pomysł Vivian - wyjaśnił Sonny, po czym wyjął z kieszeni kurtki białą kopertę. - Chciała mieć pewność, że to cię odnajdzie.

250

- A więc to Vivian wysłała was z misją? - zapytałam. Wcześniej zakładałam, że zrobił to Elliot.

- Tak - potwierdził Sonny, a dostrzegłszy w moim głosie cień rozczarowania, dodał: - Ale wiem na pewno, że Elliot byłby zachwycony, gdybyś przyjechała.

- Przyjeźdź! Musisz przyjechać! Będą Nielilie, nieciasto i niekondolencje! Będzie niesmutno!

Spojrzałam na zaproszenie, obróciłam je w palcach. Elliot, Elliot.

- Dziękuję - powiedziałam. - Pomyślę o tym. Postaram się.

Ojciec wrócił do domu, dźwigając pod pachą stertę papierów, a w dłoni mocno wiekową skórzaną teczkę - kolejny rekwizyt wdowca. Podobnie jak szlafrok było to coś, co żona już dziesięć lat temu wymieniłaby na nowy egzemplarz. Zastał mnie na kanapie ściskającą w dłoni zaproszenie w białej kopercie.

Wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić na to, by pojechać na niepogrzeb. Jeszcze nie teraz. Wciąż nie zdołałam uporać się ze swoją stratą. Wiedziałam, że zajmie mi to dużo czasu. W tej chwili jednak czułam, że muszę odnaleźć najgłębiej ukryte uczucia, wydobyć je na światło dzienne, na powietrze, i przekonać się, co odnajdę.

- Chcę, żebyś zabrał mnie na tamten most - powiedziałam. Ojciec wyczuł, że nie mogę dłużej czekać.

- Teraz? - zapytał.

- Tak, teraz.

Po około piętnastu minutach jazdy znaleźliśmy się wreszcie na krętej szosie poza miastem. W samochodzie panowała cisza. Mój ojciec zawsze okazywał szacunek czyjemuś smutkowi.

W końcu ujrzałam przed sobą kamienny most i płynącą pod nim rzekę.

Ojciec zatrzymał się na poboczu, tak daleko

od drogi, że drzwi z mojej strony blokowały krzaki. Gdy wyszedł z samochodu, prześliznęłam się więc na siedzenie kierowcy i wysiadłam drugą stroną.

Na zewnątrz było przenikliwie zimno. Wiatr burzył powierzchnię wody. Czekałam, aż pojawi się jakieś uczucie, realistyczne wspomnienie tamtej nocy. Spodziewałam się, że poczuję bliskość z matką, nagle ją zrozumiem, doznam jakiegoś olśnienia.

Nic z tego.

Spojrzałam na solidne filary mostu i płynącą pod nim rzekę.

- Jak to się stało? - spytałam. - Z tego mostu nie da się spaść do wody.

- Nieźle go zabezpieczyli od tamtego czasu, co? Stałam w miejscu, to wpatrując się w wodę, to podnosząc wzrok do nieba. Policzki zeszywniały mi z zimna.

- Wszystkie twoje teorie na temat miłości dotyczą bezpieczeństwa - powiedziałam.

- Teorie na temat miłości? Nie mam żadnych - zaprotestował skromnie.

- Owszem, masz - odrzekłam. - Kochałeś ją i ją straciłeś. Od tamtego czasu postanowiłeś uważać z miłością. Nie potrafiłeś okazywać jej z otwartym sercem, nawet mnie. Pomyślałeś: nigdy więcej.

Ojciec spojrzał na drugą stronę rzeki, a w jego oczach zalśniły łzy.

- Żałuję, że tak się stało - powiedział. - Ale zawsze tak bardzo mi ją przypominałaś...

Wiedziałam, że musiało mu być bardzo trudno. Wiedziałam to już w dzieciństwie i właśnie dlatego nigdy wcześniej nie zmuszałam go do podobnych rozmów. Właściwie nie zmuszałam go do czasu, gdy poznałam Elliota. Powoli zaczynałam rozumieć, jak bardzo Elliot mnie zmienił, jak otworzył coś we mnie, i teraz domagałam się odpowiedzi.

- Nie tylko nauczyłeś mnie przyjmować miłość w małych dawkach. Nauczyłeś mnie również strachu przed miłością wszechogarniającą, taką, której utrata może zniszczyć.

Ojciec potrząsnął głową ze złością. Po raz pierwszy w życiu widziałam go naprawdę rozgniewanego. Chwycił mnie za ramię.

- Nie, Gwen - powiedział. - Ja nie wierzę w miłość w małych dawkach. Nic bym nie zmienił, nawet gdybym mógł. Zakochałbym się w twojej matce jeszcze i sto razy mocniej. Kochałem ją w jedyny sposób, w jaki można było ją kochać. - Odwrócił wzrok i pozwolił, żeby dłoń ześliznęła mu się z mojego ramienia.

- Ale to cię zniszczyło - powiedziałam. - Prawda? Spójrz na swoje życie! Nagle, ot tak po prostu, przeszła mu złość. Uśmiechnął się słabo i pokręcił głową. Czy zdawał sobie sprawę, jak jego życie wyglądało dla osób z zewnątrz?

- Ja wciąż ją kocham - powiedział. - Ponieważ boję się, że jeśli przestanę ją kochać, to o niej zapomnę. A na to nie mogę pozwolić, nigdy. Ale nie wierzę w... jak ty to określiłaś? W miłość w małych dawkach. Nie wierzę w bezpieczną miłość.

Gdzieś w oddali rozległa się syrena. Oboje spojrzeliśmy w niebo. Wiatr potargał mi włosy. Odgarnęłam je z twarzy i jedną ręką przytrzymałam z tyłu głowy.

- A w jaką miłość wierzysz? - zapytałam cicho, prawie szeptem.

- W tę wszechogarniającą. - Umilkł na chwilę, a potem dodał. - Masz rację. Rzeczywiście mam swoje teorie na temat miłości, ale nigdy się nimi z tobą nie dzieliłem.

- Domyśliłam się, jak brzmią, ale nie miałam racji. - Na krótką chwilę oświetliły nas światła przejeżdżającego samochodu. - Wszystko zrozumiałam na opak.

- Chyba tak - zgodził się, grzebiąc butem w żwirze pobocza. - Naprawdę kochasz Petera?

Potrząsnęłam głową.

- Nie - powiedziałam. - Zdradził mnie i nienawidzę go za to, ale prawda jest taka, że on zawsze wydzielał mi miłość w małych dawkach. Od samego początku.

- A czy kochasz kogoś innego? - Wiedziałam, że w normalnych okolicznościach nigdy nie zadałby mi tego pytania, uznałby je za co najmniej wścibskie. Wiedział jednak, że teraz sprawy między nami wyglądają inaczej i że musimy pytać o trudne rzeczy. Aż do tej chwili nie uświadamiałam sobie, jak rozpaczliwie pragnęłam, by kiedyś zadał mi takie osobiste i bezpośrednie pytanie.

- Kocham Elliota Hulla - powiedziałam.

- Profesora filozofii? Tego myśliciela? - Uśmiechnął się. Skinęłam głową.

- Cóż - powiedział. - Życie jest skomplikowane.

- Chyba tak.

- Proponuję, żebyś nie działała ostrożnie.

ROZDZIAŁ 30

Na zaproszeniu na niepogrzeb wydrukowane były wytyczne: „Strój: swobodny, nieczarny”. Tej soboty obudziłam się wcześniej i włożyłam bladobłękitną sukienkę. Zastałam ojca pogrążonego w pracy przy stole w jadalni.

- Czy węgorki są dziś rozmowne? - zapytałam.
- Ubrałaś się. Wychodzisz? -Tak.
- Pięknie wyglądasz - powiedział.
- Dziękuję.
- Będiesz rozmawiać ze swoim myślicielem?
- Mam zamiar spróbować.

Wtedy wstał i objął mnie mocnym niedźwiedzim uściskiem, niemal unosząc nad ziemię. Poczułam się lekka jak powietrze, jakbym była tylko małą dziewczynką. Nie był to uścisk kogoś, kto wydziela miłość w małych dawkach, raczej kogoś, kto postanowił zmienić swoje życie. Miałam uczucie, jakby mi zwrócono rzecz, którą zgubiłam tak dawno, że już nie pamiętałam o jej istnieniu, ale gdy ją odzyskałam, poczułam się dobrze i wiedziałam, że jest moja.

Niepogrzeb miał się odbyć w domku nad jeziorem i rozpocząć się w samo południe. Skierowałam się na wschód i kilka godzin później jechałam tymi samymi zakurzonymi drogami, którymi Elliot wiozł mnie w kabriolecie swojej matki. Nie wiedziałam, czego oczekiwać po niepogrzebie, po Elliocie, po sobie samej. Nie byłam nawet przekonana, że gdy już dojadę, będę w stanie wysiąść z samochodu i dojść do drzwi. Jak mam zacząć mówić do niego, skoro nawet nie wiem, co chcę mu powiedzieć? Czy jestem gotowa na Elliota Hulla - na to, by go kochać i być przez niego kochaną?

Zwolniłam, zbliżając się do długiego podjazdu, wzdłuż którego zaparkowało już sporo samochodów. Zaskoczyła mnie ich liczba - ale w końcu była to duża impreza. Czego się spodziewałam? Cichego sam na sam z Elliotem na łódce? Przyjechałam nieprzygotowana. Nie miałam ze sobą symbolicznych grabi, które mogłabym trzymać, stojąc na środku pola. Rozpaczliwie pragnęłam ujrzeć Vivian zdrową i odzyskującą siły, ale jakoś nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

Minęłam wjazd do domu i jechałam dalej, aż dotarłam do stacji benzynowej. Zaparkowałam i opierając ręce na kierownicy, zaczęłam oddychać głęboko. Potem przyglądałam się ludziom, którzy wchodzili i wychodzili ze sklepiku przy stacji - trójce dzieciaków na brudnych rowerach, udęczonej młodej matce z niemowlęciem, które ciągnęło ją za włosy, kilku robotnikom budowlanym i mężczyźnie za ladą wpatrzonemu w umocowany pod sufitem telewizor.

Zrozumiałam, że zostawiłam za sobą niezłatwioną sprawę. Nie mogę zobaczyć się z Elliotem, póki nie porozmawiam z Peterem. Nie potrzebowałam pozwolenia na spotkanie z Elliotem ani zwolnienia ze zobowiązań, to przecież wymagałoby czasu. Z emocjonalnego punktu widzenia -wielu lat. Czego więc potrzebowałam? Może tylko tego, by usłyszeć, jak Peter na trzeźwo przyznaje się do winy.

Otworzyłam kłapkę telefonu i wystukałam numer. Odebrał po jednym dzwonku. -Halo?

- Cześć.

- Gwen - powiedział. - Możemy już porozmawiać? - W jego głosie brzmiała skrucha.

- Przez jakiś czas nie mogłam cię słuchać, cokolwiek chciałeś mi powiedzieć.

- A teraz? - zapytał.

- Spróbuj.

Na chwilę zapadła cisza.

- Przykro mi.

- Mnie również - powiedziałam.

- Nie mów tego takim tonem.

Nawet nie wiedziałam, że mówię jakimś specjalnym tonem.

- To znaczy?

- Jakby ci było przykro, że w ogóle związaliśmy się ze sobą.

- A z jakiego powodu tobie jest przykro? - zapytałam, wpatrując się w okno sklepu, w rzędy półek zapchanych różnokolorowym śmieciem.

- Za cały ten bałagan z Helen. To było głupie. Idiotyczne. Bez znaczenia.

Po prostu chciałem się odegrać.

- Odegrać się? Czy to znaczy, że się buntowałeś? Przeciwno mnie? - poczułam się, jakby mnie o coś oskarżał.

- Nie o to mi chodziło, tylko o to, że to było idiotyczne i głupie.

- A mówiąc: „cały ten bałagan z Helen”, masz na myśli fakt, że sypiałeś z moją najlepszą przyjaciółką?

- Tak - powiedział wolno. - Masz rację.

- Nie jest mi przykro, że w ogóle związaliśmy się ze sobą.

- To dobrze - westchnął. - Nie masz pojęcia, jak dobrze to usłyszeć.

Od razu mu przerwałam:

- Ale nie wrócę do ciebie.

Tego się nie spodziewał. Zaczął wyrzucać z siebie chaotyczne zdania:

- Zjedźmy razem lunch. Porozmawiajmy. Powinniśmy iść na terapię.

Faith mówi, że terapia może działać cuda, albo po prostu lunch, jeśli tak będzie łatwiej.

- Nie - powiedziałam.

Jestem kobietą na środku pola z wielkimi grabiami i to już koniec. Już po wszystkim, skończyłam, pomyślałam jednocześnie.

- Możemy jeszcze uratować to, co jest między nami. Możemy wrócić do tego, co było najlepsze w naszym związku.

Skoro byłam nieszczęśliwą dziewczyną, która popełniła błąd, nie chciałam popełniać go jeszcze raz, i to wtedy, gdy zaczęłam się czuć silniejsza.

- Chcę czegoś więcej niż to, co było najlepsze w naszym związku.

- Jak to? - powiedział. - Między nami było coś wspaniałego. Jak możesz chcieć więcej? Byliśmy idealną parą.

- Pewna wersja mnie była idealna w parze z tobą, ale to nie była ta osoba, którą pragnę być. - Mężczyzna za ladą patrzył teraz na mnie. Może obserwował mnie już od jakiegoś czasu, zastanawiając się, czy mam zamiar wejść, czy tylko się rozglądam. - Muszę kończyć.

- Nie - powiedział Peter.

- Przykro mi.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości. W żadnym wypadku. - I rozłączył się.

Gdy dotarłam do podjazdu, kilka samochodów zdążyło już zniknąć.

Wzdłuż ścieżki prowadzącej do frontowych drzwi ustawione były małe lampiony. Kilkoro dzieciaków w puchowych kurtkach biegało po trawniku. Znalazłam miejsce i zaparkowałam.

Idąc w stronę drzwi, dostrzegłam Bib w kozakach i czapce narciarskiej. Zwiewna biała sukienka trzepotała wokół jej odzianych w rajstopy kolan. Policzki miała czerwone od biegu. Nie chciałam przerywać jej zabawy. Zapukałam do drzwi. Dobiegł mnie zgiełk przerywany wybuchami śmiechu. Nikt nie otwierał, weszłam więc sama.

Szpitalne łóżko zniknęło. Na jego miejscu stało kilka osób ze szklankami czegoś, co wyglądało na cydr. Był wśród nich Sonny, a także kobieta, którą widziałam w samochodzie Elliota. Na jej widok przestraszyłam się i zrobiłam krok do tyłu. Czy Elliot wciąż się z nią spotykał? Czyżby mnie okłamał? Poczulałam, że się czerwienię. Położyłam rękę na klamce, gotowa zawrócić. Jeszcze nie było za późno. Nikt mnie nie zauważył, nawet Bib w ogrodzie.

Ale wtedy usłyszałam swoje imię.

Podniosłam wzrok i ujrzałam, jak Sonny szybkim krokiem idzie w moją stronę.

- Nie wiedziałem, czy przyjedziesz.

- Ja też nie.

- Mirando! - zawołał do tamtej kobiety. Spojrzała na nas. Była elegancka, trzymała swoją szklaneczkę cydru i uśmiechała się. - Chodź, poznasz Gwen.

- Och! - powiedziała.

- Nie, nie - szepnęłam do Sonny'ego. - Nie trzeba. - Próbowałam jakoś się wycofać.

Przez moment patrzył na mnie zdezorientowany, ale zaraz przedstawił nas sobie.

- Gwen, to moja siostra Miranda. Zatrzymała się tu na jakiś czas. Jest pielęgniarzką i akurat ma w życiu okres przejściowy, przyjechała więc i bardzo pomaga Vivian.

- Och - powiedziałam. - Cześć. Jestem Gwen.

- Wiem - odrzekła, ujmując moją dłoń. - Tyle o tobie słyszałam.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy? - zaśmiałam się nerwowo. Byłam tak zmieszana, że nie zdobyłam się na mniej banalną reakcję.

- Anielsko dobre - odparła.

- Zaprowadzę cię do Vivian. - Sonny wziął mnie pod rękę i powiódł do kuchni.

Vivian siedziała na sofie, tej, której obecność w tym miejscu kiedyś mnie zdziwiła. Z pomocą jakiejś kobiety w podobnym wieku trzymała w ramionach Jeżozwierza. Urósł jak na drożdżach. Obie zachwyciły się właśnie jego tuszą.

- Spójrz na te podbródki! Te uda! - wołała Vivian. - Te gabaryty!

- Zobacz, co znalazłem! - powiedział Sonny. Vivian podniosła wzrok, spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się radośnie. Z dumą pokazała mi niemowlę.

- Czy to nie istny olbrzym? Taki zdrowy! Chodź tu i pogratuluj mi, że żyję.

Kobieta siedząca obok przejęła niemowlę, a potem wstała, by pokazać je pozostałym. Podeszłam do Vivian, usiadłam obok niej i mocno ją przytuliłam. Pomyślałam, że ten uścisk mógłby się nigdy nie skończyć i nie skończył się. Po dłuższej chwili ona wciąż mnie obejmowała.

- Cud - powiedziała. - Widzisz, kiedy nie masz wyboru, musisz wierzyć w cuda.

Przytrzymała mnie za ramiona i spojrzała mi w oczy. Rozpłakałam się.

Wiedziałam już, że żal może uderzyć w każdej chwili, ale to było coś więcej niż żal. Ten płacz był pełen radości. Chyba nigdy w życiu nie czułam bardziej, że mam matkę, niż w tamtej chwili. Spodziewałam się, że matka pojawi się na moście nad rzeką, ale tak się nie stało. A teraz czułam, że jest tutaj, w Vivian, w tym właśnie momencie, podczas niepogrzebu, na sofie w kuchni.

Jennifer stanęła w progu.

- Gwen! - zawołała. - Przyjechałaś! - Rozejrzała się po pokoju, bez wątplenia w poszukiwaniu Elliota.

Vivian uśmiechnęła się i skinieniem głowy wskazała na wychodzące na tyły domu drzwi tarasu.

- Wyszedł zaczerpnąć powietrza. Niepogrzeb też może stać się ciężki do zniesienia. Idź - powiedziała.

Spojrzałam na Jennifer.

- No, idź - powtórzyła za matką.

Wyszłam z domu, przeszłam przez taras i ujrzałam go, jak stoi zapatrzony na pomost, łódki i jezioro. Zaskoczył mnie ten prosty i zdumiewający fakt jego istnienia. Elliot Hull - tuż przede mną. Mężczyzna patrzący na jezioro. Był człowiekiem, którego kochałam od pierwszego spotkania podczas imprezy integracyjnej na pierwszym roku studiów, gdy byliśmy tylko parą dzieciaków, którym kazano komplementować nawzajem swoje buty.

Zeszłam po schodkach tarasu, a on odwrócił się, pewnie nie spodziewał się nikogo zobaczyć, ale zobaczył mnie. Zatrzymał się i uśmiechnął.

Stałam zupełnie bez ruchu, niepewna, co zrobić dalej, ale nagle przestałam się martwić o to, co mam powiedzieć.

Ruszył w moją stronę. Szedł coraz szybciej i wiedziałam, co zaraz zrobi.

Wiedziałam, że tym razem podniesie do góry właściwą dziewczynę.

Podniesie mnie i okręci się ze mną w koło. Ostatnie metry przebył niemal biegiem. Objął mnie w talii, uniósł nad ziemię i zaczęliśmy się kręcić w kółko, w kółko, w kółko...